

Prof. Przemysław Sadura
Wszyscy chcą być populistami**Kuczek z Pawlakiem**
Co by na to powiedział Witkacy?**Anna Wyrwik**
Mur na granicy nic nie dał**Turbiny wiatrowe**
– problem nierozwiązany**Ewa Wrzosek**

Prokurator wykleta

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



TRZY USTROJE, JEDNO ŻYCIE

Historia widziana z bliska

Bardzo osobista relacja z ostatnich dekad naszej historii

Prof. Andrzej Karpiński pisze o wydarzeniach tak, jak je wtedy widział. W książce jest wiele faktów dotychczas przemilczanych lub zakłamanych.



Dostępna także
w formie e-booka

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



Pora na zmiany

Chyba żadne środowisko nie dostaje po głowie tak mocno jak wyborcy lewicy. Na domiar złego co roku jest gorzej i gorzej. Jeśli czegoś przybysza, to wstydu za to, co robią nominaci Czarzastego i Biedronia pod szyldem Nowej Lewicy.

Skarżą się nam czytelnicy, że dla ogółu Polaków dzisiejsza lewica ma twarz wicemarszałka. I kolejnych skandalistów. Gdy skryli w Sejmie Wieczorka, pamiętanego z wielu afer w Szczecinie i z kompletnie nieudanego kontaktu z nauką polską, pojawiła się ministra Kotuła. Ta z kolei po oszustwach co do swojego wykształcenia powinna mieć już przed nazwiskiem tytuł była ministra. Gdy koleżanki ją obroniły, zaczęły się problemy z Andrzejem Szejną, który z wiadomych powodów nigdy nie powinien pełnić żadnych funkcji. Jeszcze nie tak dawno w województwie świętokrzyskim lewica miała licznych wyborców i wpływy. Pod rządami Szejny w tym regionie dogorywa. Jeśli ktoś ma wątpliwości, kim on jest, przypomnę jego słowa w Radiu Kielce w 2019 r., po tym jak go wybrano do Sejmu, z mizernym wynikiem 4,27% głosów: „Jestem wzruszony, że poprowadziłem Lewicę jak marszałek Piłsudski – też socjalista – do powrotu do niepodległości”. Tego na trzeźwo nie da się powiedzieć. Słuchać na trzeźwo też trudno.

O nominatach Czarzastego coraz więcej wiadomo, bo ich wpadki są opisywane przez media. Mniej wiadomo o chytruskach, których powsadzali na posady Biedroń ze

Śmiszkiem. Patronat nad tą ekipą objął Krzysztof Gawkowski, nieustrudzony organizator konferencji prasowych z zapowiedziami, czego to jako wicepremier niebawem nie zrobi. Trzeba będzie długo żyć, żeby zobaczyć pierwsze, skromne efekty tej propagandy.

Co można powiedzieć o tej ekipie? Jak nie oszuści, to w najlepszym razie ludzie o bardzo skromnych umiejętnościach. Daleko im do wymagań, jakie muszą spełniać urzędnicy państwowi wysokiego szczebla. A takie funkcje w koalicji rządzącej pełnią, kompromitując siebie i wprawiając w osłupienie tych, którzy muszą mieć z nimi kontakt. By być sprawiedliwym, wspomnę też o tych, którzy, choć są z mandatu Czarzastego, pracują dobrze i z sensem. A tym, co ich obciąża, jest bardzo mocno rozwinięty oportunizm. Polega to choćby na gotowości do wykonywania każdych, nawet kompromitujących, poleceń kierownictwa partii. Zatrudniają więc u siebie po protekcji bądź nieudaczników, bądź hochsztaplerów nastawionych na interesy.

Produkt polityczny Czarzastego i Biedronia schodzi ze sceny w atmosferze skandali. Zanim ostatecznie się wywróci, usłyszymy jeszcze sporo o tym, co kryje się za kulisami.

A na koniec dobra wiadomość. Wiadomo już, jak w żadnym wypadku nie może wyglądać partia lewicowa. I kogo trzeba trzymać z daleka od tej nazwy. Pora więc na zmiany.

BAKOWSKI



PAMIĘTAMY o KTT

15 lat temu odszedł
Krzysztof Teodor Toeplitz,
ale jego słowa żyją

Szykujemy
książkę
z jego
felietonami!



I zapraszamy do lektury ponad
400 tekstów naszego Autora

tygodnikprzeglad.pl

Kliknij w baner ARCHIWUM

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Prokurator wyklęta**
Jak PiS niszczyło i niszczy Ewę Wrzosek
- 11 Wszyscy chcą być populistami**
– rozmowa z prof. Przemysławem Sadurą
- 15 Turbiny wiatrowe**
– problem nierozwiązany
Wielkie pieniądze na zieloną energetykę
- 18 Pogranicze**
– świat kryzysu humanitarnego
Podlasie się „przyzwyczaiło”
- 22 Pudrowanie wirusa**
Nieudolna promocja szczepień na HPV
- 26 Walka o kawałek ziemi**
Olsztyn kontra gmina Purda
- 44 O krok od plagiatu**
Nieprzewodnik po grodziskach Opolszczyzny
- 46 Ostatnie ferie**
Licealistki zaginione w Zakopanem

SYLWETKI

- 30 Nieuctwo jest przyczyną wszystkich nieszczęść**
Spuścizna prof. Łukasza Turskiego

OPINIE

- 32 Wiesław Gałązka**
Political fiction

HISTORIA

- 36 Kto komu powinien dziękować**
Gomułka: polityka Becka uratowała ZSRR

KULTURA

- 38 Co by na to powiedział Witkacy?**
– rozmowa z Przemysławem Pawlakiem
- 42 Kulturalia**
- 66 Julia Kuźniar. Niczym rzeka**

ZAGRANICA

- 50 Dokąd zmierza „bałkańska Katalonia?”**
Niepodległościowe ambicje Wojwodiny
- 54 Francuskie miasteczka na celowniku karteli**
Plaga narkotyków dotknęła prowincję
- 56 Jak wybielić cały naród**
MAGA nienawidzi RPA

EKOLOGIA

- 59 Polski Kongres Klimatyczny:**
albo się zdekarbonizujesz, albo zginiesz!

ZWIERZĘTA

- 60 Długi sen oposa**
Wszystkie gatunki zwierząt śpią

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Pora na zmiany
- 25 Jan Widacki**
Zgoda narodowa
- 29 Andrzej Romanowski**
Hennelowa
- 35 Stanisław Filipowicz**
Ołtarze tolerancji
- 43 Tomasz Jastrun**
Dojrzewanie
- 49 Roman Kurkiewicz**
W Oscara pogromem
- 53 Wojciech Kuczok**
Proustota życia literackiego

38

KULTURA

CO BY NA TO POWIEDZIAŁ WITKACY?

– rozmowa
z Przemysławem
Pawlakiem



56

ZAGRANICA

JAK WYBIELIĆ CAŁY NARÓD

MAGA nienawidzi RPA



60

ZWIERZĘTA

DŁUGI SEN OPOSA

Wszystkie gatunki zwierząt śpią

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ALBERT ZAWADA/AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl 04a816f555



✉ Co naprawdę wydarzyło się w Markowej



Wbrew twierdzeniom prof. Jana Grabowskiego muzea i pomniki służą nie do pełnego odwzorowywania określonych zdarzeń, ale do przekazywania postaw i zachowań ludzkich, które dane społeczeństwo chce promować. Są więc skierowane

w przyszłość, a nie w przeszłość. My na cokoły wynosimy ratującą Żydów rodzinę Ulmów, a np. za naszą wschodnią granicą wynosi się Romana Szuchewycza, odpowiedzialnego za zbrodnie na Polakach. Żydzi także szczytą się powstańcami z warszawskiego getta, a nie kilkakrotnie liczniejnymi funkcjonariuszami żydowskiej policji z tego samego getta. Żadna polska władza nie upoważniała opisywanych przez prof. Grabowskiego ludzi do mordowania i rabowania swoich pobratymców. Inaczej mówiąc, nie odbywało się to pod flagą białą-czerwoną w imię przywracania polskości tych terenów, tylko głównie z pobudek kryminalnych. Mieszanina do tego Polski jest co najmniej nadużyciem, gdyż w owym czasie Polska na tych terenach żadnej jurysdykcji nie miała. Normalnie przed takimi zachowaniami mniej lub bardziej zdemoralizowanych grup broni tzw. zdrowy rdzeń narodu, ale ten miał w tym czasie przetrzącony kręgosłup. Niżej podpisany został urodzony po wojnie, ale jego ojciec żył w tych czasach. I jaka była jego jako przeciętnego Polaka wina i odpowiedzialność za to, co się stało z Żydami? Mój ojciec jako ochotnik w 1939 r. wziął udział w obronie Gdyni w szwadronie krakusów. Dostał się do niewoli niemieckiej, spędził rok w stalagu, a następnie do końca wojny był robotnikiem przymusowym w Niemczech. Los mojej matki był podobny, tyle że do Niemiec trafiła później, po zajęciu przez Niemców jej rodzinnych Świątcian. Ani nie zabijali Żydów, ani nie mogli ich bronić. Ta część historii dla milionów Polaków wywiezionych do Niemiec czy na Syberię (jak inna część mojej rodziny) stała się poza nimi, a nie z ich woli.

Wiesław W. Jędrzejczak

f Europa stawia się Trumpowi



Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Europa wreszcie dostrzega, że bogate dotychczas Stany Zjednoczone były kreowane na strażnika demokracji. Ale

demokracja ma różne oblicza, gdy chodzi o ekonomię. Zamykaliśmy oczy, gdy Stany pod pretekstem walki z czymś tam walczyły z jakimś państwem. Często była to walka o swoje – taki ukryty kolonializm. W czasie zimnej wojny sprawa była jasna: komuniści to wrogowie. Po upadku komunizmu pojawił się kolejny pretekst – terroryzm, ale swoiście traktowany. Kiedy Turcy pacyfikują Kurdów, to walczą z terrorystami, kiedy Kurdowie pomagali zwalczać talibów, to byli OK. Kiedy Palestyńczycy pozamykani w gettach chcą przestrzegania kadłubowych praw, to są terrorystami, ale Żydzi dokonujący masakr ludności cywilnej to obrońcy państwa. To jest oszustwo w wydaniu amerykańskim. Trump pokazuje: my rządymy światem, a wy macie słuchać. Dobrał sobie Putina, bo Rosja jest słaba, ale agresywna i patrzy w stronę Chin. A obecne Chiny to już nie dziura, ale coraz nowocześniejszy i silny kraj. Dla Stanów trudny orzech do zgryzienia. Co najgorsze, dotąd podzielona Europa, która siedziała w kieszeni Stanów, zaczyna się emancypować. Czyli czwórka do podziału świata. Po co?! Kalkulacja Trumpa jest czytelna – zbliżyć się do Rosji, odciągając ją od Chin, rozbić jedność europejską i stworzyć coś pod kontrolą Stanów i Rosji. Wtedy, mając oczyszczone zaplecze, starać się rzucić na kolana Chiny. Kto wygra tę rozgrywkę?

Jakub Włodzimierz Żak

ZDJĘCIE TYGODNIA

289 068 047,77 zł – tyle zebrano podczas 33. finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. W zbiórce wzięło udział 1686 sztabów, kwestowało 120 tys. wolontariuszy. Pieniądze zostaną przeznaczone na sprzęt medyczny dla dziecięcej onkologii i hematologii.



Ponad 1,3 tys. cudzoziemców łamiących prawo zostało deportowanych z Polski w ciągu dwóch miesięcy. Najwięcej wśród nich było obywateli Gruzji (260), Białorusi (220), Mołdawii (150), Kolumbii (90) i Ukrainy (ponad 80).

W lutym liczba bezrobotnych zarejestrowanych w urzędach pracy wyniosła 846,6 tys. osób (5,4%) – dane GUS.

Rekordzistą wśród prezesów banków w Polsce jest Michał Gajewski, prezes Santander BP, który w 2024 r. zarobił 7,15 mln zł. Mało, bo szefowa Grupy Santander Ana Botín otrzymała 12,1 mln euro. Prezes Millennium João Brás Jorge zarobił 5,45 mln zł. Przemysław Gdański, prezes BNP Paribas BP – 4,81 mln zł. Tak godne zarobki prezesów osładzają życie klientom. Zawsze to milej być złupionym przez kogoś, kto już rozwiązał swoje problemy na resztę życia.

Z ok. 700 tys. umów kredytów frankowych czynnych jest jeszcze ponad 300 tys. 123 tys. spraw zakończyło się ugodami. Sądy rozstrzygnęły w pierwszej instancji 190 tys. spraw, a 34 tys. w drugiej instancji.

ZUS przekazał informację o absencji chorobowej wśród ubezpieczonych w 2024 r. Wystawiono 22,2 mln zaświadczeń lekarskich i zwolnień na 240 mln dni. Najwięcej przybyło zwolnień jednodniowych – wzrost o 14,3% w ciągu roku.

Spadła liczba gospodarstw rolnych. W 2024 r. było ich 1 208 129. Ubyło 25 519. Najwięcej gospodarstw ma poniżej 5 ha – 617 997.

Sepp Blatter, były prezes FIFA, i Michel Platini, były prezes UEFA, oskarżeni o oszustwo finansowe, zostali powtórnie uniewinnieni przez szwajcarski sąd.

Rada Miasta Szczecin przyjęła uchwałę wyrażającą zgodę na utworzenie Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry, która obejmuje unikatowe przyrodniczo obszary Międzyodrza, czyli tereny gmin Szczecin, Kołbaskowo i Widuchowa.

W 1989 r. polska flota liczyła ok. 500 statków. Co z tego zostało? 88 statków, z których tylko 14 pływa pod polską banderą.

Według raportu NIK w Polsce z chorobą nowotworową żyje 1,17 mln osób. Umieralność jest wyższa niż na Zachodzie, wśród mężczyzn o 30%, wśród kobiet o 25%. Żle działają Krajowa Sieć Onkologiczna i Krajowy Rejestr Nowotworów. Główna odpowiedzialność spada na Ministerstwo Zdrowia z czasów PiS. Ale też na obecne.

Ośmioro aktywistów Ostatniego Pokolenia skazano w związku z blokadą mostów w stolicy na 30 dni prac społecznych, a trójkę na 10 i 15 dni aresztu.

Przybywa śmieci w kosmosie. Szacuje się, że wokół Ziemi krąży około pół miliona szczątków rakiet i innych obiektów.

W Polsce żyje ok. 8,1 mln psów (czwarte miejsce w Europie) i 7,2 mln kotów (drugie miejsce w Europie). Na ich dietę, zdrowie i wygląd wydajemy ponad 5 mld zł.

PRZEBŁYSKI

Sakiewicz w kontrze do Kaczyńskiego

Dwie telewizje adresowane do prawej strony to jak na skłóconą prawicę o jedną za dużo. TV Republika Sakiewicza i wPolsce24 Karnowskich już otwarcie ze sobą konkurują. Jeńców nie biorą. Żadnych pieszczot. Tylko nawalanka. Nikt tak boleśnie nie obnażył Republiki jak stacja Karnowskich, która bezlitośnie drwiła z pokazywanego na żywo nerwowego dreptania prezydenta Dudy czekającego na Trumpa. Dudę Republika ośmieszyła, ale sobie nabiła oglądalność. Konkurencji do Dudy nie dopuściła. Nawalanka ma też drugie dno. Telewizja wPolsce24 jest wiernym odbiciem poglądów Kaczyńskiego. Nie to, co Republika, która chce go zastąpić. Na wiecach Nawrockiego często słychać skandowanie: „Republika!”. Sakiewiczowi od dawna marzy się nowa partia.



Talibowi bije dzwon

Choć powoli, to dociera do głowy Macieja Świrskiego, pisowskiego taliba, którym się ogłosił, że coraz głośniej bije mu dzwon. Obsadzony przez PiS w roli przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji dał się poznać jako osobnik tak ideologicznie zacietrzewiony, że afgańscy talibowie mogą przy nim uchodzić za liberałów. Nad głową Świrskiego wisi wiele poważnych zarzutów. Na początek grozi mu postawienie przed Trybunałem Stanu. Talib broni się równie nieudolnie, jak kierował KRRiT. Mówi, że to propagandowa nagonka. Albo cyrk białorusko-kafkowski. Ale nawet Kafka miał zbyt małą wyobraźnię, by przewidzieć takie indywiduum na ważnej posadzie.

Milionerzy z SDP

Szczytów jest wiele. Nie tylko w górach. Ten, o którym piszemy, to szczyt bezczelności. Bezgranicznej. W biuletynie Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich grupa gorących zwolenników i zajadłych apologetów PiS prezentuje się w roli obrońców dziennikarzy i wolności słowa. Któż się ubrał w te obrończe togi? Jolanta Hajdasz, od lat żyjąca sobie z sutych zarobków, które ma z tytułu zasiadania w rozmaitych przybudówkach SDP. Tomasz Sakiewicz („Gazeta Polska” i TV Republika) oraz Michał Karnowski („Sieci”) to rekordziści w pozyskiwaniu kasy, gdy rządziło PiS. Dziesiątki MILIONÓW ZŁOTYCH ze spółek skarbu państwa, ministerstw i agencji rządowych to dla SDP bilet do stania na straży wolności prasy. Chyba nie tej prasy ani nie tych mediów, które PiS gnębiło i głodziło?



Morawiecki kontra Banaś, czyli obrazek z życia prawicy

Mateusz Morawiecki był przesłuchiwany w NIK. W trzech sprawach: Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, Polskiej Fundacji Rozwoju, a także KNF i GetBacku. Czyli patologii, łapówek i oszustw. „To są obszary, gdzie wątek pana premiera się przejawia”, mówił po przesłuchaniu prezes NIK Marian Banaś. A Morawiecki pisał na platformie X, że Banaś to „krakowski hotelarz”, przypominając sprawę z jego kamienicą i pokojami na godziny. Hm... Sprawa kamienicy była znana, gdy Morawiecki powoływał Banasia na swojego ministra finansów, a potem wybierał go na prezesa NIK. „Życiorys Banasia to życiorys prawdziwego patrioty”, zachwycał się. Łatwo w Polsce przejść od zera do bohatera, w drugą stronę też...



PYTANIE TYGODNIA | Czy uzależnić świadczenie 800+ od zaszczepienia dzieci?

PROF. MICHAŁ WRÓBLEWSKI,
filozof i socjolog, UMK

Pomysł powiązania świadczeń społecznych ze szczepieniami obowiązkowymi wart jest rozważenia z kilku powodów. Jesteśmy świadkami kryzysu programów prosczepiennych, dlatego potrzebujemy zdecydowanych działań. Lawinowy przyrost odmów szczepień, rekordowe poziomy zakażeń na odrę i grypę czy przypadek dawno niediagnozowanej w naszym kraju błonicy – to wszystko sygnały, że polityka szczepionkowa w Polsce nie działa tak, jak powinna. Są dowody na to, że takie rozwiązanie może być skuteczne. Myślę o Australii i polityce „No Jab, No Pay”, która polega na tym, że dzieciom bez szczepień ochronnych nie przysługują niektóre świadczenia. Wypłacanie ludziom uchylającym się od szczepień świadczeń pieniężnych wydaje się ponadto niesprawiedliwe. Osoby niezaszczepione są zagrożeniem dla zdrowia własnego i innych, w związku z tym mogą bardziej obciążać i tak już

niewydolny system ochrony zdrowia, który – podobnie jak 800+ – jest przecież finansowany z naszych podatków.

DOMINIKA KUNA,
prawniczka, USWPS

Taki ruch może się wydawać kontrowersyjny. Wprowadzenie regulacji ograniczających prawa obywatelskie musi nastąpić zgodnie z prawem. Trzeba jednak zwrócić uwagę na konieczność zadbania o dobro dziecka, w tej sytuacji o ochronę zdrowia i życia. Ostatni przypadek z błonicą pokazuje, że możemy mieć wątpliwości, czy aby działanie rodziców (a w zasadzie zaniechanie) nie naruszyło dobra dziecka. Zarazem warto się zastanowić nad skutecznością takiego uzależnienia wypłat 800+ od szczepień. Obecnie mamy system kar za brak szczepień, który nie jest zbyt skuteczny. Być może pewnym rozwiązaniem byłoby zwiększenie uważności społeczeństwa i edukowanie, przede wszystkim rodziców.

JAKUB ZAWIŁA-NIEDŹWIECKI,
bioetyk, Centrum Bioetyki i Bioprawa UW

Ze względu na kryzys zdrowia publicznego związany z unikaniem szczepień jakieś rozwiązania są konieczne i pilne. Metoda polegająca na odbieraniu świadczeń jest bardzo kusząca ze względu na jej prostotę i doniesienia o skuteczności (głównie z Australii). Z perspektywy etycznej: po pierwsze, świadczenie 800+ miało być adresowane do dziecka, więc dziecko poniesie, poza brakiem uodpornienia na niebezpieczne choroby, kolejne dotkliwe konsekwencje działań rodziców. Po drugie, rozwiązanie to będzie niesprawiedliwie oddziaływało na różne grupy społecznoekonomiczne: od rzeczywistego przymusu ekonomicznego do całkowicie pomijalnej kwestii dla osób zamożnych. Istniejące dane dotyczą krajów ze znacznie bardziej hojnymi świadczeniami. Czy takie rozwiązanie rzeczywiście byłoby skuteczne w Polsce? Nie wiem.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

PROKURATOR WYKLĘTA

**Ewa Wrzosek za czasów rządów PiS
była represjonowana, bo walczyła o praworządność.
Teraz też odsądza się ją od czci i wiary**

Andrzej Sikorski

„Nie ma w prokuraturze (...) prokuratora bardziej zawziętego, bardziej nienawistnego, bardziej upolitycznionego i upartyjnionego w sensie zachowania, pełnego jadu wobec środowiska, które reprezentuje i uosabia przede wszystkim Jarosław Kaczyński, niż właśnie pani Wrzosek”, stwierdził Zbigniew Ziobro. Były minister sprawiedliwości i prokurator generalny odniósł się w ten sposób do śmierci Barbary Skrzypek. Zaufana prezesa Prawa i Sprawiedliwości zmarła w swoim domu na zawał serca trzy dni po przesłuchaniu w prokuraturze przeprowadzonym przez Ewę Wrzosek w śledztwie dotyczącym tzw. dwóch wież.

Fala hejtu i gróźb

Politycy PiS i wspierające ich media rozpętały nagonkę na panią prokurator, obwiniając ją o śmierć byłej sekretarki Jarosława Kaczyńskiego. Wrzosek została okrzyknięta „morderczynią” i „funkcjonariuszką partyjną”. A zbuntowany zastępca prokuratora generalnego Michał Ostrowski powiedział, że „ta sytuacja budzi poważne wątpliwości, czy pani Barbara Skrzypek zmarła z przyczyn naturalnych, czy wskutek tego przesłuchania”. Ostrowski nie rozwinął swojej myśli, ale dla wyznawców PiS przekaz był jednoznaczny: Wrzosek musiała znęcać się fizycznie i psychicznie nad przesłuchiwaną. Prawdopodobnie przystawiała jej pistolet do głowy, biła pałką, oblewała zimną wodą, świeciła lampą po oczach i groziła wieloletnią odsiadką, by

wymusić zeznania obciążające Kaczyńskiego. Problem w tym, że Barbara Skrzypek nie wniosła żadnych uwag co do czynności przesłuchania, nie złożyła żadnych skarg na niewłaściwe traktowanie. Nic o jakichkolwiek torturach nie powiedziała przesłuchanej, z którym rozmawiała po wyjściu z prokuratury.

Na Ewę Wrzosek wylała się fala hejtu, dostała też liczne groźby, w tym pozbawienia życia. W czasie manifestacji zorganizowanej przez PiS pod Prokuraturą Okręgową

perfidny, to w tzw. liberalnych, antypisowskich mediach pojawiły się głosy, że prokurator Wrzosek powinna zostać odsunięta od śledztwa dotyczącego „dwóch wież” i w ogóle od prowadzenia postępowań związanych z rozliczaniem PiS. Zarzucano jej zbytnią aktywność w mediach (i kontrowersyjne wypowiedzi, m.in. że Roman Giertych byłby lepszym ministrem sprawiedliwości niż Adam Bodnar), wybujałe ambicje (podobno chciała być szefową CBA i startowała w konkursie na szefa

Z obawy o bezpieczeństwo prokurator Wrzosek przydzielono jej ochronę.

w Warszawie Jacek Ozdoba w rozmowie z kolegami partyjnymi powiedział, że pchnie Wrzosek „i niech sp...”, na co Marek Suski „przestrzegął”: „Ale delikatnie, żeby się nie przewróciła”. Natomiast pisowska lustratorka Dorota Kania opublikowała w mediach społecznościowych wyniesiony z Instytutu Pamięci Narodowej wniosek paszportowy Wrzosek z danymi osobowymi, m.in. numerem PESEL, ówczesnym nazwiskiem i adresem zamieszkania.

Z obawy o bezpieczeństwo pani prokurator przydzielono ochronę. W poniedziałek 24 marca chciałem umówić się z nią na rozmowę, ale stanowczo odmówiła. Dzień później w mediach społecznościowych poinformowała, że do czasu zakończenia śledztwa w sprawie „dwóch wież” zawiesza aktywność medialną i nie będzie rozmawiać z dziennikarzami.

Choć śmierć Barbary Skrzypek została wykorzystana przez Jarosława Kaczyńskiego i jego obóz w sposób

Prokuratury Krajowej), a nawet brak doświadczenia (dotychczas pracowała w prokuraturze rejonowej, gdzie nie prowadzi się zbyt skomplikowanych spraw). Jednak główny zarzut sprowadza się do tego, że Wrzosek w odbiorze społecznym nie jest postrzegana jako gwarant bezstronności i obiektywizmu, co PiS będzie wykorzystywało, krzycząc o rzekomych prześladowaniach opozycji. A przecież Jarosław Kaczyński i spółka wynajdą najdrobniejszy pretekst, aby tylko postawić się w roli ofiary.

Ewa Wrzosek nie ma powodów, by kochać PiS, podobnie jak kilkuset innych prokuratorów represjonowanych w latach 2016-2023 tylko za to, że nie sprzeniewierzyli się ślubowaniu prokuratorskiemu. Czy właśnie dlatego należy odsunąć tych prawników od prowadzenia spraw, w których przewijają się nazwiska polityków dawnej partii rządzącej? Wydaje się to mocno dyskusyjne.



Prokurator Ewa Wrzosek podczas konferencji na temat przesłuchania Barbary Skrzypek. Warszawa, 17 marca 2025 r.

Ewa Wrzosek widziała, jak za czasów Zbigniewa Ziobry funkcjonuje upolityczniona prokuratura, jak chroniono polityków PiS i ludzi związanych z tą partią, którzy dopuszczali się przestępstw, i jak wszczynano niezasadnie śledztwa, aby tylko pognać osoby niewygodne dla ówczesnej władzy.

Wybory w cieniu epidemii

Prokurator Wrzosek nie była znana opinii publicznej aż do kwietnia 2020 r. Wtedy to Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów wpłynęło zawiadomienie osoby prywatnej o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez rzecznika PiS Radosława Fogla. Poseł w imieniu Jarosława Kaczyńskiego ogłosił, że w czasie obowiązującego na terytorium Polski stanu epidemii przeprowadzone zostaną wybory prezydenckie. Organizowanie wyborów, gdy śmiertelny wirus siał spustoszenie, nie tylko było szaleństwem, ale też wypełniało znamiona art. 165 par. 1 pkt 1 Kodeksu karnego. Przepis ten stanowi, że „kto sprowadza niebezpieczeństwo dla życia lub zdrowia wielu osób albo dla mienia w wielkich rozmiarach, powodując zagrożenie

epidemiologiczne lub szerzenie się choroby zakaźnej”, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu. Jednak Jarosław Kaczyński, nie licząc się z życiem Polaków, parł do wyborów za wszelką cenę, bo obawiał się, że przełożenie głosowania może zagrozić reelekcji Andrzeja Dudy.

Zawiadomienie trafiło do prokurator Wrzosek, a ta nie miała innego wyjścia, jak tylko wszcząć śledztwo.

Prokurator Wrzosek delegowano karnie do oddalonej od Warszawy o ponad 300 km prokuratury w Śremie. Polecenie wydał Bogdan Świączkowski.

Reakcja zwierzchników była błyskawiczna. Śledztwo zostało jej odebrane i natychmiast umorzone. Zrobiła to wiceszefowa mokotowskiej prokuratury Edyta Dudzińska. Choć akurat w tym dniu miała wolne, specjalnie pojawiła się w pracy, aby ukłócić łeb sprawie.

Dyscyplinarki i karna delegacja

Przed sejmową komisją śledczą ds. wyborów kopertowych Wrzosek wyjaśniała, że zamierzała

przesłuchać premiera Mateusza Morawieckiego, wicepremiera Jacka Sasina i Jarosława Kaczyńskiego. Mówiła także o represjach, które ją dotknęły. A były to postępowania dyscyplinarne i karne inicjowane przez prokuratora krajowego Bogdana Świączkowskiego. Wrzosek już wcześniej była na celowniku przełożonych, bo jako członkini stowarzyszenia niezależnych prokuratorów Lex Super Omnia aktywnie sprzeciwiała się upolitycznianiu przez PiS prokuratury i sądownictwa. Między innymi przemawiała w grudniu 2017 r. w Sejmie podczas obywatelskiego wysłuchania publicznego w sprawie tzw. ustaw sądowych przygotowanych przez PiS i na wiecu przed Sądem Najwyższym w 2018 r. Brała też udział w kampanii inicjatywy Wolne Sądy „We disagree” i w spotkaniach edukacyjnych w ramach akcji „Tour de Konstytucja” objętej patronatem rzecznika praw obywatelskich.

„Planowane i tak gwałtownie forsowane aktualnie w Sejmie zmiany ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa i Sądzie Najwyższym stanowią domknięcie zamierzonego planu przejęcia przez większość rządzącą wymiaru sprawiedliwości. To przejmowanie wymiaru sprawiedliwości zaczęło się od zmiany ustawy o prokuraturze. Zniesieniem rozdziału funkcji prokuratora generalnego od ministra sprawiedliwości. Z chwi-

łą przejęcia prokuratury minister, polityk uzyskał nieograniczone praktycznie prawo wpływania na bieżącą działalność prokuratury. Na to, kogo i w jaki sposób oskarżamy, czy i jakie dowody gromadzimy, czy wycofujemy z sądów akty oskarżenia, które zostały wniesione poprzednio, a które aktualna władza uważa za niepolityczne. Nie gódźmy się na to i nie pozwólmy, aby wymiar sprawiedliwości został zagarnięty przez aktualną władzę polityczną. Każda władza ma pokusę opanowania i uczynienia ▶

► spolegliwym pozostałych organów, a zwłaszcza organów sprawiedliwości. Każda władza demoralizuje, a władza absolutna demoralizuje absolutnie”, mówiła Wrzosek podczas jednego z wystąpień w 2018 r.

Swoim prospołecznym i proobywatelskim postępowaniem pani prokurator miała – zdaniem rzecznika dyscyplinarnego – „demonstrować publicznie swoje poglądy”, „naruszać powagę urzędu prokuratorskiego i zachowywać się jak polityk w prokuratorskiej todze”.

Potem było karne delegowanie na pół roku do oddalonej od Warszawy o ponad 300 km Prokuratury Rejonowej w Śremie. Polecenie wydał osobiście Bogdan Święczkowski. Przeprowadzka odbywała się w warunkach bojowych, niepokorna prokurator dostała na nią mniej niż 48 godzin.

Ewa Wrzosek była nielegalnie inwigilowana Pegasusem. Pomędzy czerwcem a sierpniem 2021 r. jej telefon został zaatakowany co najmniej sześciokrotnie.

„Jest to kara. To nie jest delegacja, która ma na celu polepszenie stanu kadrowego Prokuratury Rejonowej w Śremie, gdzie zostałam delegowana, czy też możliwość jakiegoś załatwienia tam spraw na lepszym poziomie niż tu, na Mokotowie. Jednym podpisem pan prokurator Święczkowski przewrócił moje życie rodzinne, zawodowe, osobiste do góry nogami. Proszę mieć na uwadze, że mamy stan pandemii. Hotele są nieczynne. Nie wiem, jak pan prokurator Święczkowski wyobrażał sobie przeniesienie na sześć miesięcy tak z chwili na chwilę. Bo ten okres to już jest mniej niż 24 godziny, kiedy praktycznie nic nie można załatwić. Nie będę przecież nocować w pracy na karimacie. Muszę to swoje życie tam na miejscu jakoś zorganizować. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację, że z chwili na chwilę otrzymujecie informację, że musicie 300 km dalej pracować, mieszkać i nikogo nie interesuje, jak to sobie zorganizujecie, jakie to zmiany powoduje w waszym życiu rodzinnym i osobistym. (...) Mam dwójkę dzieci. Mam

matkę seniorkę, którą się opiekuję. Ja sobie po prostu nie wyobrażam jej reakcji, kiedy będzie miała świadomość, że jej córka nie będzie mogła się nią na co dzień zająć. Przyznam szczerze, że jeszcze jej tej informacji nie przekazałam”, mówiła Wrzosek w rozmowie z TVN 24 tuż po otrzymaniu wiadomości o karnej delegacji.

W sieciach Pegasus

Jesienią 2021 r. wyszło na jaw, że Ewa Wrzosek była nielegalnie inwigilowana cyberbronią Pegasus. Oprogramowanie to pozwala na ściąganie danych z telefonu, daje dostęp do wszystkich haseł, zdjęć, dokumentów, kamery i mikrofonu. Umożliwia również manipulowanie treściami i wprowadzanie na zhakowane urządzenie treści, których na

nim nie było. Zdaniem analityków z Citizen Lab pomiędzy czerwcem a sierpniem 2021 r. telefon Wrzosek został zaatakowany co najmniej sześciokrotnie.

„Jestem prokuratorem, nie robię nic nielegalnie, nie łamię prawa. Więc odbieram to jako czysty odwet za wszczęcie wiosną 2020 r. śledztwa w sprawie prezydenckich wyborów kopertowych. Włamujący się chcieli uzyskać wgląd w moje życie zawodowe, osobiste, w moją aktywność życiową. Nie wiem, w jakim celu. Może sądzili, że pozyskają jakieś poufne informacje. Bądź materiały na przyszłość do szantażowania mnie, skompromitowania. Albo szukali haków do wytoczenia mi jakiegokolwiek sprawy. Po prostu szeroko zarzucono sieć na zasadzie, że a nuż coś się złapie”, tłumaczyła Wrzosek w rozmowie z OKO.press.

Okazało się, że jej przewidywania były trafne. Na podstawie wykradzionych i sfabrykowanych treści Prokuratura Regionalna w Szczecinie (na czele której stał Artur Maludy, wierny żołnierz Zbigniewa Ziobry do zadań

specjalnych) chciała postawić Wrzosek zarzuty w związku z rzekomym nakłanianiem innej warszawskiej prokuratorki do ujawnienia banalnej informacji ze śledztwa dotyczącego wypadku spowodowanego przez kierowcę warszawskiego autobusu. A chodziło o to, czy kierowca był pod wpływem narkotyków. Wrzosek miała to zrobić na prośbę Michała Domaradzkiego – szefa stołecznego Biura Bezpieczeństwa i Zarządzania Kryzysowego (i byłego komendanta stołecznej policji), który został zatrzymany w swoim gabinecie po spektakularnej akcji CBA. Domaradzki miał zaś dalej przekazać informację Rafałowi Trzaskowskiemu i tym samym przyjąć korzyść osobistą w postaci „przychylności przełożonego”.

W związku z rzekomym przeciekami Wrzosek została odsunięta od pracy na 11 miesięcy, co wiązało się m.in. z obniżeniem wynagrodzenia. Jak orzekł potem Sąd Najwyższy, nie było żadnych przesłanek przemawiających za taką formą represji.

Już po zmianie władzy, w grudniu 2023 r. Ewa Wrzosek mówiła: „Czuję ulgę, że to wszystko już za mną. Że nie muszę budzić się przed szóstą rano i wychodzić z domu z obawy, że do drzwi zapuka prokurator od Ziobry w asyście funkcjonariuszy CBA i ekipy z TVP. Że moje córki nie muszą znać na pamięć numeru telefonu do mojego adwokata. A moja matka wie, że jestem w pobliżu, a nie na karnej delegacji 350 km od domu. Żaden prokurator nigdy nie powinien mierzyć się z takimi sytuacjami tylko dlatego, że postanowił o tym jakiś niedowartościowany polityk z poczuciem bezkarności i tytułem prokuratora generalnego”.

Przez siedem lat, kiedy PiS trzymało pod butem prokuraturę, Ewa Wrzosek, zamiast całkowicie skupić się na walce z przestępczością, musiała się bronić przed represjami przełożonych i atakami ze strony polityków PiS. Ale hejt trwa. Życie w nieustannym stresie, pod ciągłym ostrzałem i w niepewności, co przyniesie kolejny dzień, nie pozostało bez wpływu na panią prokurator i jej bliskich. Taką cenę płaci się za przyzwyczajenie.

Andrzej Sikorski

WSZYSCY CHCĄ BYĆ POPULISTAMI

Dlaczego lewicy spada, a Konfederacji rośnie?

Rozmawia Robert Walenciak

Co się stało, że młodzi odwrócili się od lewicy? Mam wyniki late poll z października 2023 r. W grupie 18-29 lat na lewicę głosowało 17,5% Polaków, a na Konfederację 16,9%. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Co się zdarzyło przez te kilkanaście miesięcy, że mamy takie przesunięcie?

– To nie jest do końca przesunięcie w sensie przepływu, bo nie jest tak, że osoby, które głosowały na lewicę, teraz przerycają poparcie na Konfederację. Na rocznicę wyborów robiliśmy ze Sławkiem Sierakowskim w Instytucie Krytyki Politycznej badanie. Pokazywało, że lewica nie traci tak naprawdę młodych wyborczyń, bo to głównie o młode kobiety chodziło. Nie traci ich nawet na rzecz Koalicji Obywatelskiej. One po prostu planują zostać w domu. **Dlaczego? To ważna dla lewicy grupa.**

– Wśród młodych kobiet odselek głosujących na lewicę był, jeśli pamiętam, ponadtrzykrotnie wyższy niż ogólnopolski wynik lewicy. To był ten hardcorowy lewicowy elektorat. Mówiło się wtedy, że lewica jest kobietą, tylko problem był z męskimi liderami.

Rozczarowane

I co się zmieniło?

– Kobiety są rozczarowane postawą koalicji rządowej. Liczyłem, że Magda Biejat będzie je mobilizować, ale sztab poprowadził tę kampanię tak, jak poprowadził,



PROF. PRZEMYSŁAW SADURA

– szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Prof. UW, dr hab. Przemysław Sadura – socjolog, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej. Współautor (ze Sławomirem Sierakowskim) książki „Społeczeństwo populistów”.

przynajmniej na razie. Zamiast eksponować, że to kobieta, i mocno wybić agendę kobiecą, Biejat była niemal przebiegana za faceta, a o tym, że jest kobietą, przypomniła dopiero w okolicach 8 marca. Teraz trochę to wróciło do równowagi. Ale tylko trochę. A przecież jest jedyną kobietą w tych wyborach!

I powinna to wykorzystać?

– Nawet jeśli uważamy, że mamy czas wojny i społeczeństwo ogląda się na silnego lidera, i tak sprawę płci śmiało można przekuć w atut. A tego jej sztab nie zrobił. Przyszan, liczyłem, że to ona zmobilizuje kobiety, dla siebie, a później, w II turze, dla Trzaskowskiego. Ale wygląda na to, że Trzaskowski sam będzie je mobilizował.

Uda mu się?

– Wydaje mi się, że jeszcze w tych wyborach prezydenckich, trochę na zasadzie starej logiki polaryzacji – dokończenia odsuwania PiS od władzy, uda się odświeżyć emocje z października 2023 r. I część tych osób pójdzie i zagłosuje. Gorzej, że na tym się kończy pewna epoka. Wszystkie sondaże wskazują, że po następnych wyborach parlamentarnych nie da się stworzyć rządu większościowego bez Konfederacji. To ona będzie głównym beneficjentem demokracji, będzie mogła rozważać, czy chce wejść w koalicję z PiS, czy może z KO, bo i taki scenariusz nie jest wykluczony.

Dlaczego młode kobiety, które głosowały w październiku 2023 r. na lewicę, odsunęły się na bok?

Co je zniechęciło? Powodem było ▶

► odrzucenie projektu ustawy depenalizującej aborcję?

– To nie był chyba jeden moment. One w zasadzie od razu po październiku 2023 r. były w pewnym sensie zdemobilizowane. W badaniu, które prowadziłem tuż po wyborach, już deklarowały, że nie zamierzają wziąć udziału w wyborach europejskich. Widać było, że zmobilizowały się raz, żeby pokazać PiS czerwoną kartkę.

Cudu nie było. Planu nie było

Liczyły, że to wystarczy i że po wygranych wyborach wszystko się stanie...

– Chyba uwierzyły, że wydarzy się jakiś cud. A potem się okazało, że koalicja rządowa nie jest w stanie dogadać się co do tego, w jaki sposób, kolokwialnie mówiąc, dowieźć prawa

było. Przez to mamy ogólne poczucie rozczarowania i zniechęcenia.

Dochodzi do tego tzw. kwestia sprawczości.

– To Tusk jest postrzegany jako główny lider, który o wszystkim decyduje. Elektoratowi KO, zwłaszcza temu najbardziej radykalnemu, to się podoba. Tusk wchodzi w buty populisty centrowego. Te wszystkie ustawki dla mediów, to, jak kieruje Radą Ministrów, jak obsobacza, jak ręcznie steruje... Mamy jednak taką trochę wschodnią kulturę polityczną. **Wojna za progiem, poczucie zagrożenia... To także narzuca narrację.**

– Tusk wykorzystuje tę sytuację. Mamy czas wojny, a on na tej fali płynie. Ta narracja go buduje. I tworzy pewien klimat, trudny dla lewicy. Ale, jak się okazuje, pomaga to Trzaskowskiemu. Poza tym Trzaskowski jest silny słabością kontrkandydata z PiS.

Dla młodych wyborców spór Kaczyński-Tusk to walka dinozaurów, Jurassic Park.

kobiet. Nie potrafi się zachować w sytuacji, w której wiadomo, że prezydent jest wielkim hamulcowym i weta. Koalicja mogłaby w takiej sytuacji przynajmniej tymczasowo zabezpieczyć część praw kobiet rozporządzeniami, a także wykonać symboliczny gest, wysyłając prezydentowi do podpisu jakąś prokobiecą ustawę. Ani jednego, ani drugiego Polki nie dostały. Sposób, w jaki marszałek Hołownia przesunął debatę na temat zmiany przepisów aborcyjnych, był fatalny. Przegłosowanie ramię w ramię z Konfederacją partnerów z koalicji rządowej to był skandal. W efekcie za grzechy Hołowni płaci lewica, bo to jej elektorat zostaje w domach.

Czyli lewicy zabrakło zwykłych politycznych umiejętności, żeby coś załatwić, utargować. Zadziałać tak, żeby te młode kobiety przy sobie przytrzymać.

– Tak. A przecież wiadomo było, że po wyborach przyjdzie rządzić rozporządzeniami, bo raczej nie ustawami. Lewica i Koalicja Obywatelska powinny zatem mieć przygotowany jakiś plan na taką sytuację. Ale go nie

To na pewno.

– Nie wiem, co się stało prezesowi, że ostatecznie ten przeciągający się casting doprowadził do wyłonienia kandydata, który... Ta strategia, że kandydat ani nie jest dobry, ani nie jest członkiem PiS, spowodowała, że Nawrocki nawet wyborców PiS do siebie nie przekonał. Ma wynik niższy niż notowania popierającej go partii.

Kim się żywi Konfederacja?

A to żywi Konfederację i Sławomira Mentzena. Czy to jest elektorat protestu, czy elektorat rozczarowanych pisowców? Bo z 7,16% skoczyć na 17% w ciągu roku... Skądś te 10% musieli dobrać.

– To może być nawet więcej. Mentzen nabiera wiatru w żagle. Jeżeli by spróbować spojrzeć w przyszłość na zasadzie przedłużenia trendów, może się okazać, że to on wejdzie do drugiej tury. Byłoby to zjawisko absolutnie niespodziewane. Przy tak dużej polaryzacji oznaczałoby koniec pewnej epoki. Wejście do gry zupełnie nowej siły.

Skąd bierze się tak duże poparcie dla Konfederacji i jej kandydata?

– Z kilku źródeł. Po pierwsze, to jest tradycyjny elektorat konfederacki, który ta formacja zawsze miała, złożony przede wszystkim z młodych mężczyzn o poglądach mocno prawicowych. W zasadzie tak długo, jak istnieje III RP, zawsze startowała jakaś partia, która była odpowiednikiem Konfederacji. To były różne ruchy, które firmował Janusz Korwin-Mikke. Mnóstwo jest więc w Polsce mężczyzn dwudziestoparoletnich, trzydziesto-, a nawet już czterdziestoparolatników, którzy mają w biografii doświadczenie głosowania na Konfederację czy na kogoś z poprzedzających ją ugrupowań. Oni potem wydorośleli, uznali, że nie warto głosować na partię zbyt radykalną. Teraz jednak Konfederacja zaczyna się prezentować jako siła niemal mainstreamowa. I to ich zachęca, żeby spróbować jeszcze raz.

Mainstreamowa – to znaczy, że jej hasła przejmują inne partie, bardziej centrowe, czy raczej ona zlagodziła przekaz?

– Ona zaczęła dyktować warunki i narrację mainstreamowi. Dlatego, że jest tą siłą, bez której trudno będzie w przyszłości rządzić. Nikt więc jej nie izoluje. Dziś wszystko jej pomaga. Nawet Braun, rozłamowiec – wydawało się, że kiedy wysunie swoją kandydaturę, to konfederatom zaszkodzi. Nie zaszkodził. Ba, bierze na siebie ten image szura, więc legitymizuje Mentzena jako opcję już dorosłą, poważną.

Po drugie, Konfederacja zmieniała podejście do liberalnego elektoratu. Już wyraźny wzrost jej notowań wiosną 2023 r. zwiastował ten proces, choć wówczas był to pik tymczasowy.

Bo w październiku 2023 r. spadło im do 7,16%.

– Robiłem wówczas duże badania fokusowe, nowego i starego elektoratu Konfederacji. I pojawiły się młode osoby, które w pewnym momencie zaczęły deklarować głosowanie na nią. Mało o tej partii wiedziały – trochę rzeczy związanych z programem ekonomicznym, przede wszystkim z niechęcią do podatków. A młodzi, od kiedy zostali

zwolnieni przez PiS z ich płacenia, zaczęli wierzyć, że świat bez podatków jest możliwy. To taki prezent, który Konfederacja dostała od PiS, bo przecież PiS na tym nic nie skorzystało. No i zarazem zatruty owoc dla lewicy.

Do Konfederacji napływał więc taki elektorat, który był liberalny i nic

AfD do pewnego stopnia: że można np. być gejem czy lesbijką, a jednocześnie liderem czy liderką skrajnie prawicowej formacji, co do niedawna wydawało się niemożliwe, nierymujące się jedno z drugim. To będzie taki wybiórczy populizm. Konfederacja zresztą pokazała, że mogą się tam pomieścić nurty wręcz wykluczające się.

stwierdzili, że to chyba jednak nie było mniejsze zło.

Co lewica wybrała źle

Jeżeli Konfederacja potrafiła sobie zbudować wielonurtowość, to dlaczego lewica tego nie umiała?

– Ona wręcz się zawęża. A gdybyśmy sięgnęli głęboko w przeszłość, to SLD, zanim stał się partią, był rzeczywście sojuszem różnych podmiotów, związków zawodowych, stowarzyszeń. To była szeroka, wielonurtowa lewicowa koalicja. I to zostało w którymś momencie zaprzepaszczone.

Wtedy, gdy powstawała jedna partia – SLD.

– To wzmacniało przywództwo, zwiększało więc skuteczność zarządzania partią. No i było w duchu tego, jak ewoluowała scena polityczna. Czyli szło w kierunku partii wodzowskich, w których demokracja wewnątrzpartyjna jest mało istotna. Bo tak to wygląda, czy w PiS, czy w KO, nie czarujemy się. Lewica poszła w tym kierunku.

A Konfederacja wybrała inny.

– Jeżeli chcielibyśmy powiedzieć uczciwie, która partia miała najwięcej

To nie Biejat, ale Trzaskowski będzie mobilizować kobiety.

nie wiedział o piątce Mentzena. To były dziewczyny, które deklarowały, że są feministkami, że nawet im przykro, jak słyszą, co mówi Korwin, ale Korwin przecież już się nie liczy. Gdy jednak media zaczęły przypominać, czym jest Konfederacja, kiedy młodzi wyborcy usłyszeli całą piątkę Mentzena, poszli po rozum do głowy.

I Konfederacji poparcie spadło.

Teraz znów próbuje ona tych wyborców odbić?

– Mądrze się z tych radykalizmów wycofuje. Moim zdaniem będzie powoli szła w stronę populizmu postmodernistycznego, takiego jak kiedyś partia Pima Fortuyna w Holandii, jak

Dla każdego coś milego.

– Korwin-Mikke już nie ma nic do powiedzenia, Braun wyrzucony. Wygląda to poważnie. I wreszcie trzeci element, który zwiększa poparcie dla Konfederacji, powoduje też, że ten wzrost będzie trwalszy – to przepływ elektoratu pisowskiego. To są ci, którzy głosowali na PiS, ale nie jako zakochani w nim albo patrzący kategoriami korzyści; oni patrzyli na PiS jak na mniejsze zło. Mówili, że wszystkie partie są złe, ale PiS może jest trochę mniej złe niż inne – to na nich zagłosuję, dam im szansę. A po ośmiu latach, kiedy się dowiedzieli o skali afer i różnych nadużyciach,



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ



79% dzieci w Polsce
doświadczyło przemocy
Pomóż im!

Przekaż **1,5%** podatku
Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę

KRS 0000 20 44 26

pit.fdds.pl

► demokracji wewnątrzpartyjnej, gdzie wybory kandydata na prezydenta odbywały się w bardziej demokratycznej formie, gdzie struktury były spłaszczone, a uczestnicy mieli poczucie, że są blisko liderów – to wszystko była Konfederacja.

A lewica – wręcz przeciwnie.

– Lewica powinna odrobić lekcję, przyrzeć się uważnie temu, co robiła Konfederacja, która teraz zbiera owoce trwającego latami procesu. Eksperci mówili: nie, na młodych nie da się wygrać, bo mamy taką, a nie inną demografię, Konfederacja konsekwentnie szła w tę stronę. I zdominowała media społecznościowe, te źródła informacji, którymi można

społeczne. W tę samą stronę może próbować iść cała lewica. Chodzi o powrót do lewicy bardziej solidarystycznej, etatystycznej – takiej, która mówi o dużych projektach gospodarczych. To jest coś, co w tym momencie uwodzi Polaków. Widać to po wzroście poparcia dla CPK, widać po entuzjazmie wobec planów budowy elektrowni atomowych. Postrzegamy to jako zmianę modernizacyjną. Owszem, może modernizacja z czasów PRL nie ma dziś dobrego PR, ale przecież można ją odświeżyć. PiS do pewnego stopnia na tych emocjach potrafiło pojechać. Zandberg próbuje to robić, ale tendencje sekciarskie sprawiły, że wegetuje w politycznej niszy.

Na lewicę głosowali ludzie uprzywilejowani, z wyższym wykształceniem, wyższymi zarobkami, z największych aglomeracji. Można powiedzieć: elita społeczna.

docierać do młodych. Naprawdę można się od niej uczyć tego, jak wykorzystywać TikToka politycznie. **Historycznie lewica była symbolem protestu, buntu przeciwko establishmentowi.**

– W ostatnich latach zdarzały się takie momenty, że jeśli spojrzano się na profil wyborców lewicy, to głosowali na nią ludzie uprzywilejowani, z wyższym wykształceniem, wyższymi zarobkami, mieszkający w największych aglomeracjach. Można powiedzieć: elita społeczna.

Modernizacyjna opowieść z czasów PRL

Z takich wyborców wielkiego klubu w Sejmie się nie zbuduje.

– Lewica jest więc bez pomysłu. Wydawało mi się, że Zandberg, który rzucił jej rękawicę, coś robi, ale nie mogę wiele dostrzec w jego kampanii. Lewicowych kandydatów w tej kampanii nie widać! Zandberg chce być populistą, ale lewica nie potrafi grać w populizm. Jest prawdopodobnie jedynym populistą w Europie, który zapowiadał, że chce podnosić ludziom podatki.

Zwróciłbym uwagę na jeszcze jedną rzecz. Otóż Zandbergowi towarzyszy też przekaz, który trafia w nastroje

Cały czas dostają informacje o inżynierach z czasów PRL, którzy zbudowali Unitrę, polski samochód, polski komputer, i to wciąż spotyka się z wielkim odzewem. Może więc lewica, lekceważąc ten wątek, popełnia kolejny błąd? Za darmo oddaje tych wyborców PiS i Platformie?

– Nie wiem, czy elektorat stricte postkomunistyczny był do utrzymania. W pewnym momencie zaczął ciężać ku większym siłom. Natomiast wydaje mi się, że jakąś modernizacyjną opowieść z PRL, niekoniecznie dla ludzi, którzy PRL pamiętają, ale dla tych, którzy szukają inspiracji, dobrych opowieści, lewica powinna mieć przygotowaną. To mógłby być dla niej kierunek. Ale to wymaga naprawdę dużej pracy organizacyjnej, wewnątrzpartyjnej zmiany strategicznej. Być może lewica stoi przed taką decyzją, bo jaki ma wybór, jeśli się nie zmieni?

Jeśli nic się nie zmieni, czeka ją pożarcie przez KO. Wtedy będzie szansa, że urodzi się coś nowego, autentycznego.

– Może tak. Ale ile lat będziemy na to czekać? Zanim coś powstanie, zanim się wzmocni... Prawdopodobnie będziemy czekać z prawicowym populizmem przy władzy, bo Koalicja

Obywatelska, jak połknie przystawki w postaci Trzeciej Drogi i Lewicy, pewnie nimi się udławi. A rządzić będzie koalicja PiS-Konfederacja.

W co gra Tusk?

Nie wierzy pan w Tuska? Że on wtedy stanie się pierwszym prawnicowcem i pierwszym populistą prawnicowym w Polsce?

– On jest polskim populistą centrowym, a nie prawnicowym. Odpowiednikiem Macrona. No ale skuteczność Macrona też okazuje się wątpliwa. Według mnie na dłuższą metę nie da się, nie będąc tak w głębi duszy populistą, wygrać z populistami stosowaniem ich chwytów i retoryki.

My, owszem, razem z Sierakowskim suflowaliśmy Tuskowi czy politykom demokratycznym, żeby założyli maskę populizmu na czas kampanii parlamentarnej. Po to, żeby wygrać, przejąć władzę i zmienić same warunki możliwości funkcjonowania populizmu w Polsce. Cóż, po kilkunastu miesiącach od przejścia władzy nie widzę tych działań. Nie widzę, żeby wspierano rozwój demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego. To się nie dzieje.

Pewnie Tusk chce dociągnąć do wyborów prezydenckich.

– Zobaczmy, co zrobi po ewentualnym zwycięstwie Trzaskowskiego. To będzie moment, kiedy trzeba będzie odświeżyć gabinet. Uciąć wewnętrzne spory, utrudnić Hołowni i PSL hamowanie różnych zmian. Po to, żeby osiągnąć w ciągu kilku miesięcy sukcesy legislacyjne w kwestiach praw kobiet, aborcji. To będzie miało silne znaczenie symboliczne.

Tusk to zrobi?

– W tandemie z Trzaskowskim zrobi. Powinno tam być miejsce jeszcze dla innych polityków, polityczek. Koniecznie młodszych, bo to, że Konfederacja tak puchnie i przyciąga młodych, też jest efektem tego, że dla młodych wyborców spór Kaczyński-Tusk to walka dinozaurów, Jurassic Park. To jedno ze źródeł elektoratu protestu. I motor napędzający oczekiwania na zmianę.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

W piątek, 21 marca br., rząd w trybie obiegowym przyjął projekt nowelizacji tzw. ustawy wiatrakowej. Jedną z najważniejszych planowanych zmian jest zniesienie wprowadzonej w 2016 r. zasady 10H, która głosi, że odległość między turbiną wiatrową a najbliższymi zabudowaniami musi wynosić co najmniej dziesięciokrotność jej całkowitej wysokości, i wprowadzenie 500 m jako minimalnej odległości wiatraków od zabudowań. Dziś farmy wiatrowe zajmują ok. 2% powierzchni kraju. Ustawa przyczyniłaby się do zwiększenia tego obszaru do 4%.

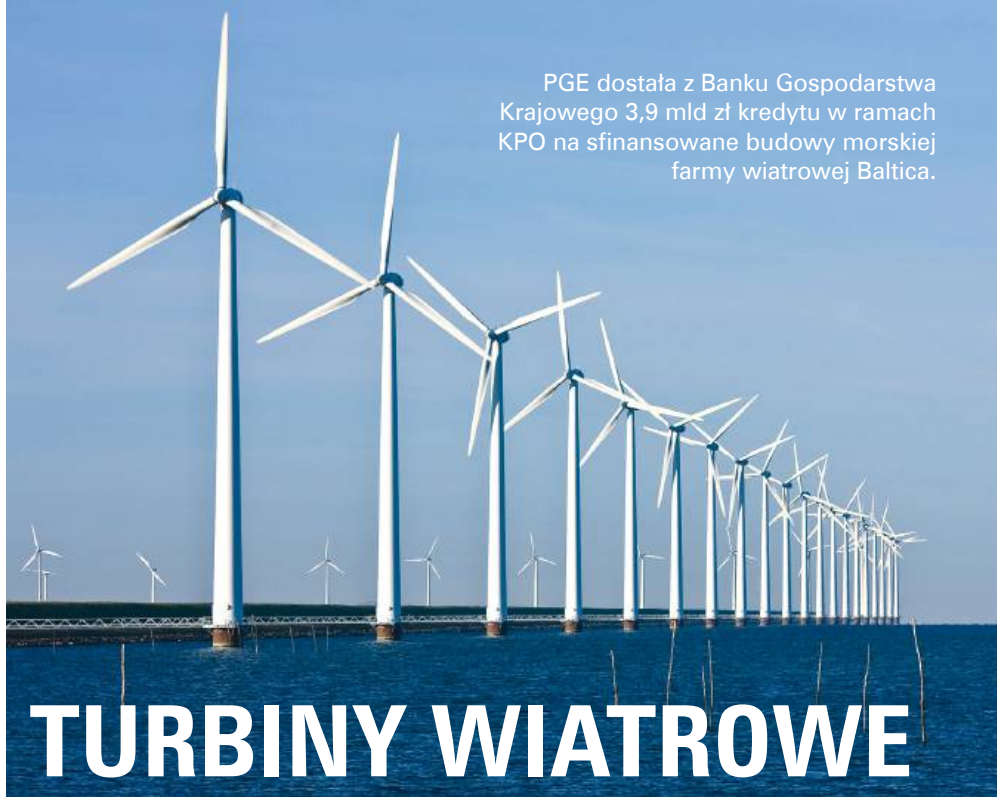
Zgodnie z proponowanymi zapisami minimalna odległość turbin od granicy parku narodowego ma wynieść 1500 m, a od określonych obszarów Natura 2000 – 500 m. Restrykcjami mają zostać objęte sąsiedztwa obszarów Natura 2000 utworzonych w celu ochrony siedlisk nietoperzy i ptaków. Rząd chce, by ustawa została przyjęta przez Sejm i Senat jeszcze przed majowymi wyborami prezydenckimi. Będzie to drugie podejście koalicji rządzącej do tego trudnego i wzbudzającego ogromne emocje tematu.

Po raz pierwszy projekt ustawy zgłosiła grupa posłów Platformy Obywatelskiej i Polski 2050-Trzeciej Drogi pod koniec listopada 2023 r. Jego twarzą była posłanka

Projekt rządowy wprowadza 500 m jako minimalną odległość wiatraków od zabudowań.

Paulina Hennig-Kloska. Zliberalizowane zostałyby zasady budowy farm wiatrowych, a najbardziej bulwersującą propozycją było zmniejszenie minimalnej odległości wiatraków od zabudowań w zależności od generowanego hałasu.

Posłowie Prawa i Sprawiedliwości nie zostawili na projekcie suchej nitki. Dowodzili, że wiatraki będzie można



PGE dostała z Banku Gospodarstwa Krajowego 3,9 mld zł kredytu w ramach KPO na sfinansowanie budowy morskiej farmy wiatrowej Baltica.

TURBINY WIATROWE – problem nierozwiązany

To nie wiatr napędza wiatrakowy biznes,
ale publiczne środki przekazywane
inwestorom w formie bezzwrotnych dotacji

stawiać w odległości 300 m od zabudowań mieszkalnych, że instalujące je firmy będą mogły „wywłaszczać” właścicieli gruntów, a ponieważ turbiny stawia się na obszarach wiejskich, rolnicy zostaną pozabawieni ziemi.

Padły zarzuty, że ustawę pisali lobbysci na zamówienie niemieckich producentów turbin wiatrowych, że w Polsce będą instalowane wycofywane z użytku stare konstrukcje zza Odry. I że za tę inicjatywę Hennig-Kloska powinna dostać „kwiaty z Berlina”. Nie obyło się bez sugestii, że „ktoś przytulił niezłą kasę”.

Koalicyjna większość broniła postanki, dowodząc, że PiS w interesie Kremla przez lata blokowało rozwój odnawialnych źródeł energii (OZE), a zarzuty są wyssane z palca. Ostatecznie projekt ustawy został wycofany, gdyż do liderów koalicji dotarło, że prezydent Andrzej Duda

na pewno przyjętego przez Sejm prawa nie podpisze, nie ma więc sensu dostarczać politycznego paliwa opozycji.

W mediach pojawiły się sugestie, że Donald Tusk wściekł się na Hennig-Kloskę i trwają poszukiwania innego kandydata na stanowisko ministra klimatu i środowiska. Jednak mimo kontrowersji postanka zasiadła w ministerialnym fotelu. Dla wszystkich było jasne, że tzw. ustawa wiatrakowa wróci, gdy kadencja prezydenta Dudy będzie się zbliżała ku końcowi. A prezydent Trzaskowski na pewno ją podpisze.

Wiatrakowy szal kredytowy

Od lat wszyscy wiedzą, że Polska będzie musiała odejść od energetyki węglowej, którą mają zastąpić elektrownie jądrowe i OZE, głównie wiatraki oraz fotowoltaika. Wiadomo też, ▶

► że inwestycje tylko w energetykę wiatrową będą kosztowały dziesiątki miliardów złotych. Wyścig po pieniądze już trwa. Najbardziej znanym przykładem jest spółka Polenergia kontrolowana przez Dominikę Kulczyk, która przewodniczy jej radzie nadzorczej. W grudniu ub.r. Bank Gospodarstwa Krajowego zawarł z Polenergią umowę kredytową o wartości 750 mln zł. Bank wyjaśnił, że pieniądze te pochodzą ze środków Unii Europejskiej, które nasz kraj otrzymał w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Dzięki nim sfinansowana zostanie budowa morskich farm wiatrowych Bałtyk 2 i Bałtyk 3, rozwijanych wspólnie z norweską firmą Equinor, o łącznej mocy 1,44 GW.

W zeszłym roku Polenergia wyemitowała zielone obligacje o wartości 750 mln zł, które także zostaną przeznaczone na finansowanie obu farm wiatrowych. W sumie w polskiej wyłączonej strefie Morza Bałtyckiego ma powstać 100 turbin. Ile dokładnie będzie kosztowała ich budowa, nie wiadomo. Mogą to być nawet 3 mld zł. Prąd z tych farm powinien popłynąć za kilka lat.

Pomysł rządu Donalda Tuska, by Sejm przed wyborami prezydenckimi przyjął tzw. ustawę wiatrakową, dostarczyć amunicji kandydatowi Karolowi Nawrockiemu.

Wspomniany rekordowy kredyt i równie imponująca emisja obligacji to nie wszystko. Spółka Dominiki Kulczyk ma też zaciągnięte kredyty na łączną kwotę 180 mln zł, które sfinansują inwestycje w dwie farmy fotowoltaiczne.

Z kolei kontrolowana przez skarbu państwa Polska Grupa Energetyczna otrzymała z Europejskiego Banku Inwestycyjnego kredyt w wysokości 1 mld zł na modernizację systemów zasilania sieci trakcyjnej w Polsce. Ponadto 3,9 mld zł kredytu z Banku Gospodarstwa Krajowego w ramach KPO na sfinansowane budowy morskiej farmy wiatrowej Baltica. I jeszcze jeden kredyt – 1,4 mld zł z Europejskiego Banku Inwestycyjnego na inwestycje w dystrybucję energii elektrycznej.

Na początku grudnia 2024 r. należąca do niemieckiego koncernu RWE spółka RWE Renewables Poland otrzymała pozwolenie wojewody zachodniopomorskiego na budowę morskich turbin wiatrowych wraz z kablami międzysięciowymi i telekomunikacyjnymi oraz podstacji dla morskiej farmy wiatrowej F.E.W. Baltic II.

Koncern RWE planuje w latach 2024-2030 zainwestować 55 mld euro na całym świecie, z czego 40% zostanie przeznaczone na rozwój farm wiatrowych i fotowoltaiki. Część z tych środków trafi do naszego kraju.

Także inne spółki posiadające w Polsce farmy wiatrowe – portugalska EDP Renewables, francuskie Mirova, Qair Polska i Perfect Wind Polska, niemieckie Allianz Capital Partners, WPD i Stadtwerke, a nawet duńska Eurowind Energy, litewska Grupa Ignitis, izraelska Mashav Energy i szwedzka Poland Energy Holdings – zmobilizowały znaczne kapitały, w tym kredyty, by rozwijać inwestycje w naszym kraju. Pojawiły się prognozy, że jeśli przyjęty przez

względem na hałas, wibracje, a nawet groźne promieniowanie! Obawiano się również choroby wibroakustycznej i migotania cienia. Cytowano przy tym publikacje naukowe, które dowodziły, że hałas słyszalny i niesłyszalny emitowany przez elektrownie wiatrowe oddziałuje nawet w odległości 8-9 km od źródła emisji i jest szkodliwy dla ludzi mieszkających w ich sąsiedztwie, może wywoływać choroby układu nerwowego i bezsenność. Ostrzegano też przed wypadkami powodowanymi urwaniem się gigantycznych śmigieł czy upadkiem całej konstrukcji. Przekonanie to wzmacniały publikowane w internecie filmy.

Jeden z ostatnich protestów przeciw budowie wiatraków miał miejsce w styczniu br. w Kluczborku. Około 70 mieszkańców protestowało przeciwko planom inwestycji na terenie miejscowości Gotartów, Kujakowice Dolne, Krzywizna, Łowkowice, Smardzy Dolne, Smardzy Górne i Unieszów.

Strach przed tymi źródłami energii elektrycznej był i jest tak wielki, że trudno znaleźć urzędników samorządowych, którzy bez oporów wyraziliby zgodę na budowę farm. Fakt, że energia wiatrowa jest Polsce potrzebna z powodów ekologicznych, nie ma znaczenia. Zwłaszcza że również ekolodzy byli i nadal są przeciw. Dowodzą oni, że farmy wiatrowe dewastują krajobraz, są nieestetyczne, zabijają ptaki i nietoperze. Ich zdaniem firmy stawiające wiatraki chcą wchodzić na obszary cenne przyrodniczo i objęte formalną ochroną. Ostrzegają, że ekspansja energetyki wiatrowej może doprowadzić do sytuacji, gdy w imię walki ze zmianami klimatu będą wycinane lasy i nastąpi zagłada licznych gatunków flory i fauny. W efekcie w lokalnych społecznościach zaczął dominować pogląd, że budowa elektrowni wiatrowych wprawdzie jest konieczna, lecz nie u nas, tylko jak najdalej.

Wiatrakowy biznes

Szacuje się, że koszt budowy wiatraka o mocy 2 MW na stałym lądzie waha się od ok. 2,18 mln dol. (8,4 mln zł) do 4,13 mln dol. (15,9 mln zł). Morski wiatrak – znacznie potężniejszy

rząd Donalda Tuska projekt ustawy uzyska akceptację posłów i senatorów i wejdzie w życie, pozwoli na budowę farm wiatrowych produkujących 8-10 GW energii elektrycznej.

Wiatraki tak, lecz jak najdalej

Od lat wokół budowy farm wiatrowych narastały kontrowersje. PiS w kampanii wyborczej w 2015 r. ostro eksploatowało ten temat, ostrzegając przed wywłaszczeniem pod budowę wiatraków rolników, którzy za swoją ziemię mieli dostać grosze. Właściciele nieruchomości, w pobliżu których miały powstać farmy wiatrowe, byli przekonani, że ich domy stracą na wartości, a życie w cieniu gigantycznych turbin stanie się koszmarem ze

niż lądowy – kosztuje od 77,2 mln zł do nawet 886 mln zł. Roczne koszty utrzymania i napraw tych urządzeń mieszczą się w przedziale od kilku tysięcy do kilkuset tysięcy dolarów. Z tych powodów w państwach Unii Europejskiej, które prowadzą ambitną transformację energetyczną, inwestycje w OZE nie mogą się obejść bez dotacji z budżetu. Bo tak naprawdę właściciele firm inwestujących w farmy wiatrowe motywuje nie troska o środowisko, ale chęć zysku.

Ostatecznie budowę farm wiatrowych, elektrowni atomowej i fotowoltaiki sfinansujemy my wszyscy, płacąc rachunki za światło.

Okazuje się, że to nie wiatr napędza wiatrakowy biznes, tylko publiczne środki przekazywane inwestorom w formie bezzwrotnych dotacji. Ciekawe, co by się stało, gdyby państwo wycofało się z tego interesu. Czy energetyka wiatrowa nie odeszłaby czasem w przeszłość? Bo okazałyby się za droga.

Mitem jest także argument, że energetyka wiatrowa tworzy nowe miejsca pracy. Owszem, dzieje się tak w krajach, w których produkowane są turbiny, śmigła i maszty, ale nie w Polsce. Ciekawe, jakie paszporty będą mieli pracownicy stawiający maszty na Bałtyku dla Polenergii i Polskiej Grupy Energetycznej i ilu ich będzie. By postawić maszt z umieszczoną na szczycie turbiną nie trzeba ich zbyt wielu.

Największym w Europie producentem turbin wiatrowych jest duńska spółka Vestas Wind System A/S z siedzibą w Aarhus, która dostarczyła swoje urządzenia do 85 krajów. Tuż za nią plasuje się Siemens Gamesa Renewable Energy z Hiszpanii, która produkuje turbiny wiatrowe pracujące zarówno na lądzie, jak i na morzu. Na trzecim miejscu mamy niemiecko-duńską spółkę Nordex SE z Hamburga, specjalizującą się w produkcji wiatrowych turbin morskich. Z innowacyjnych i niezawodnych rozwiązań słynie niemiecka spółka Enercon z siedzibą w Aurich.

Na tej liście nie znajdziemy rodzimych podmiotów. Katowicka spółka Grenevia ogłosiła w ubiegłym roku

plany uruchomienia w swojej spółce zależnej Famur produkcji turbin wiatrowych w ciągu kilku lat. Mijamy nadzieję, że tak się stanie. Z kolei spółka Baltic Towers planuje produkcję wież wiatrowych. Takie same plany ma hiszpańska firma Windar, która chce zainwestować w fabrykę w Szczecinie. W naszym kraju działa ok. 1 tys. firm, które dostarczają komponenty do turbin wiatrowych, lecz nie produkują one kompletnych wiatraków. Szacuje się, że w ciągu

się spodziewać lawiny kłamstw, podejrzeń i supozycji prowadzących do prostego wniosku, że Rafał Trzaskowski w imię interesów Berlina zgodzi się, by Germanie przez lata nas wykorzystywali. A zyski z turbin wiatrowych będą, rzecz jasna, transferowane za granicę.

Ministra Hennig-Kloska dowodzi, że energia elektryczna z wiatru jest najtańsza, lecz myli się ten, kto sądzi, że znajduje to odbicie w rachunkach za prąd. Wystarczy spojrzeć na to, co jest w nich napisane. Mamy opłaty: abonamentową, sieciową, jakościową, przejściową, kogeneracyjną, mocową i opłatę OZE – wspierającą

rozwój energii odnawialnej. Ostatecznie budowę farm wiatrowych, elektrowni atomowej i fotowoltaiki sfinansujemy my wszyscy – gospodarstwa domowe, przedsiębiorstwa, samorządowcy, dyrektorzy szkół itd., którym przyjdzie opłacać rachunki za światło. W kosztach energii elektrycznej uwzględnione zostaną zaciągnięte dziś kredyty, odsetki od nich, podatki oraz zyski producentów energii. A wszystko to – z wiatrakami czy bez – sprowadza się do prostej zasady: kasa, misiu, kasa...

Grzegorz Rudnik

Pomóż swoim mediom!



**STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**



prosi o wsparcie i pomoc dla naszych seniorów.

Aby wesprzeć działalność naszej organizacji poprzez przekazanie na konto SDRP 1,5% podatku dochodowego - należy wpisać w PIT-36 lub PIT-37 w sekcji „wniosek o przekazanie 1,5% podatku na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego” następujące dane:

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Zarząd Główny - NR KRS: 0000043110

Za każdy gest dobrej woli serdecznie dziękujemy.

POGRANICZE

– świat kryzysu humanitarnego

Zapora nic nie dała. Uchodźcy lewarkiem
czy czymś tam robią sobie wyrwę i przechodzą

Anna Wyrwik

Mielnik

– Na początku był szat, bo telewizja przyjechała. Znajomi z innych stron Polski dzwonili do nas i pytali, co się dzieje, a my siedzieliśmy w pracy niczego nieświadomi – mówi dwudziestoparoletnia mieszkanka Mielnika. – Z tydzień ludzie to przeżywali, a potem ucichło i zapomnieli.

Mielnik leży w powiecie siemiatyckim, niedaleko granicy z Białorusią. Jest tu sporo pagórków, drewnianych domów, krzyż, kapliczka, kościół, cerkiew, ośrodek kultury, kopalnia kredy, nowy park z flagą Polski i wojskowe koszary.

1 stycznia pijany żołnierz strzelał w Mielniku do cywilów. Pytam mieszkańców o związki żołnierzy z alkoholem. – Ja się nie spotkałem z tym, by żołnierze pili – zastrzega się mężczyzna w mleczno-peerelowskim barze.

– Nie można wszystkich do jednego wora wrzucać. Jednostkowy przypadek – mówi kobieta idąca drogą z małą dziewczynką.

– Bała się pani?

– Nie.

– Ja się bałam – mówi dziewczynka.

Czeremcha

Jest marzec 2025 r. Jeżdżę po pograniczu polsko-białoruskim, by dowiedzieć się, co sądzą mieszkańcy trzy miesiące po wydarzeniu w Mielniku i trzy i pół roku po tym, jak w sierpniu 2021 r. w Usnarzu Górnym uchodźcy zostali zatrzymani przez Straż Graniczną, co zapoczątkowało kryzys.

2 września 2021 r. tereny znajdujące się w odległości do 15 km od granicy stały się obszarem objętym stanem wyjątkowym, a 1 grudnia 2021 r. obszarem z zakazem przebywania. 1 lipca 2022 r. strefa została zniesiona. Przywrócono ją na terenach leżących 200 m od granicy 13 czerwca 2024 r. i potem przedłużano jej obowiązywanie trzykrotnie, ostatnio 10 marca – na kolejne 90 dni. Organizacje pozarządowe z Helsińską Fundacją Praw Człowieka na czele od początku protestują w sprawie stref, dowodząc, że są one wprowadzane na podstawie przepisów rządu PiS, uznanych za niekonstytucyjne.

2 września 2021 r. tereny w odległości do 15 km od granicy stały się obszarem objętym stanem wyjątkowym, a 1 grudnia 2021 r. obszarem z zakazem przebywania.

– Myślę, że na początku strefa coś dawała – zastanawia się dwudziestoparolatka z Mielnika. – Choć wkurzające było legitymowanie przez policję, nawet gdy wyjeżdżałam z własnego podwórka. Stali akurat koło mojego domu, więc ciągle byłam sprawdzana. Teraz nikogo nie widać.

Mówi, że ludzie na Podlasiu już się przyzwyczaili do sytuacji. Jeżdżąc przy granicy, słowo przyzwyczajenie usłyszę jeszcze kilka razy. Jak również to, że żołnierze inaczej się zachowują. Wcześniej mieszkańcy opowiadali o zakupach alkoholowych, piwach w restauracjach i butelkach leżących w leśnych rowach. A jak jest dziś?

– Od stycznia mają chyba nacisk na niewychodzenie i w ogóle się już nie pojawiają, nad czym bardzo ubolewamy – przyznaje Paulina, współwłaścicielka pubu 3K w Czeremshe. – To byłby dla nas pieniądź. Tyle że w zasadzie oni tu przyjechali na służbę, a nie pić. Dowozimy im pizzę na zamówienie.

– W wojsku nie ma tolerancji dla spożywania i posiadania alkoholu podczas wykonywania obowiązków służbowych – mówi rzecznik Zgrupowania Zadaniowego Podlasie mjr Błażej Łukaszewski. Wspomina o szkoleniach profilaktycznych i wyrywkowych kontrolach stanu trzeź-

wości. – Spożywanie lub posiadanie alkoholu podczas wykonywania obowiązków służbowych wiąże się z surowymi konsekwencjami, z wydaleniem ze służby włącznie – dodaje.

Łukaszewski zaznacza, że kierowcy pojazdów wojskowych podlegają tym samym przepisom ruchu drogowego, co cywile. Zgłoszenia dotyczące nieodpowiedzialnej jazdy są analizowane, a w przypadkach stwierdzenia naruszeń przepisów kierowcy są pociągani do odpowiedzialności. Jeśli idzie o śmiecenie, do tej pory wojsko nie dostało żadnych skarg. – Żołnierze są uświadamiani o wpływie swoich działań na środowisko naturalne, którego różnorodność i niepowtarzalny urok są tu



Strefa buforowa we wsi Bobinki.

wyjątkowe wręcz na skalę europejską – mówi rzecznik. – Edukujemy żołnierzy, aby odpadki były segregowane i zabierane.

Dodaje, że temu, by obecność wojska miała jak najmniejszy wpływ na środowisko naturalne, służy też współpraca z Białowieskim Parkiem Narodowym i nadleśnictwami. Mówi też o współpracy ze społecznością lokalną. – Bardzo nam na niej zależy i w naszej ocenie układa się ona dobrze. Żołnierze kontaktują się ze społecznością lokalną, z przedstawicielami władz lokalnych, instytucji pozarządowych, kulturalnych i religijnych. Odwiedzają muzea i zabytki, uczestniczą w aktywnościach sportowych i religijnych, edukują dzieci i młodzież, poprzez zakupy wspierają lokalne sklepy, a także chętnie korzystają z oferty gastronomicznej i różnorodnych usług dostępnych w okolicy, co pozytywnie wpływa na rozwój lokalnej gospodarki.

Czeremcha leży w powiecie hajnowskim. Kiedyś było tu kolejowe przejście graniczne i międzynarodowy handel oraz pociągi pasażerskie do wszystkich zakątków Polski. Dziś jeździ ich mniej, a we wsi pustki. W pubie 3K siedzi jeden klient. Przychodzą głównie miejscowi – na piwo i drink Zemsta Barbary (wódka, sok z cytryny, syrop z kwiatu czarnego bzu, sok z czarnej porzeczki). Turyści rzadziej, czasem rowerzyści z pobliskiego Wschodniego Szlaku

Rowerowego Green Velo. A to z myślą o turystach Paulina ponad dwa lata temu otworzyła pub. Sytuacja polityczna pokrzyżowała plany już na starcie. Remont wyniósł 300% planowanych kosztów, bo rozpoczęła się budowa płotu granicznego i materiały budowlane w okolicy poszły w górę. Pojawili się żołnierze, zniknęli turyści, czasem przyjeżdżają dziennikarze.

– Media straszą i ludzie myślą, że tu jest poligon wojskowy. Gdy przyjeżdżają, widzą, że jest spokojnie – tłumaczy Paulina. – Normalnie, bezpiecznie i spokojnie. Jesteśmy przyzwyczajeni. Do tego są nowe, piękne drogi. Dla mnie rewelacja!

Dubicze Cerkiewne

Nowo położony czarny asfalt błyszczący w marcowym słońcu i trochę zabawnie wygląda w środku lasu. Wojskowe ciężarówki muszą mieć jednak po czym jeździć, więc asfaltówki są wylane prawie pod zaporę.

A ta ciągnie się na 186 km. Jej budowa trwała od 25 stycznia do 30 czerwca 2022 r. i kosztowała 1,6 mld zł, co uczyniło ją najdroższą tego typu konstrukcją w Europie. Budowa odbyła się bez konsultacji społecznych czy rozmów z przyrodnikami.

– Szczercze powiedziawszy, mur nic nie dał – mówi mieszkanka Mielnika. – Nieraz słyszałam, że uchodźcy sobie lewarkiem czy czymś tam robią wyrwę i przechodzą.

Wielu słyszało, wielu widziało. Obecnie zaporą jest regularnie ulepszana.

Obraz „Płot graniczny” Wilhelma Sasnała z 2023 r. przedstawia trzy czarne postacie, mężczyzn w garniturach, przed statywami z mikrofonami, a za nimi jest zaporą i drut kolczasty. Artysta „sięgnął po zdjęcie z konferencji rządowej, odbywającej się na tle płotu w Puszczy Białowieskiej. Mur ma chronić Polskę przed napływającymi zza wschodniej granicy uchodźcami, odpychanymi przez strażników z obu stron granicy”, informuje strona Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, gdzie obraz można zobaczyć. Większość Polaków zaporę kojarzy właśnie z takich konferencji.

Po tym jak w maju zeszłego roku mężczyzna z białoruskiej strony ogrodzenia ranął polskiego żołnierza, konferencje polityków z kolejnych ugrupowań prowadzone na tle zaporę spadły jak plaga na gminę Dubicze Cerkiewne. Jak na obrazie Sasnała.

Ale spadły na nią też nowe inwestycje. Nie tylko w drogi. – Kiedyś Dubicze były najbiedniejsze, a dziś chyba są w czołówce – mówi pani Helena, która od 30 lat prowadzi w centrum wsi sklep. Droga przed sklepem jest w remoncie, w prawo aż do cerkwi, w lewo do głównego skrzyżowania i dalej, w stronę granicy. Obok sklepu są nowe ławy ze stołami, powstaje skwer z ławkami, altanką i placem zabaw. Pani Helena ▶

► mówi, że to dla żołnierzy. Choć oni mają swój plac zabaw w postaci siłowni w niedalekich koszarach. A tam – białe boksy, ciemnozielone wozy wojskowe i żołnierze: stojący przy budce, wsiadający do samochodu, palący papierosy, łażący znudzeni, ćwiczący albo – jak jeden – z wypiętą piersią typiący znad słonecznych okularów na obcą rejestrację mojego samochodu.

– Alkoholu nie kupują. Kiedyś się zdarzało, ale teraz zero. Biorą głównie energetyki, chipsy, piwo bezalkoholowe i papierosy – wylicza pani Helena. Żali się, że odkąd wojsko ma stałe wyżywienie, chłopcy – bo nazywa ich chłopcami – mało kupują i tylko czasem zajdą, gdy idą do paczkomatu.

Wielu ma w rodzinach doświadczenie uchodźstwa i gdyby nie było nagonki medialnej i politycznej, ci ludzie wciąż by uchodźców karmili i poiili.

– Ale dziękuję Panu Bogu, że są i że kupują cokolwiek, bo co ja bym z miejscowych miała? Chłopcy są sympatyczni, kiedyś mi powiedzieli, że jak tylko będę potrzebować, to pomogą. Ja jestem za. Nie wiem dlaczego, ale ich bronię.

Nie wszyscy to robią. Słyszę, że bronią przy mediach, ale w sąsiedzkich rozmowach narzekają na szybko jeżdżące po wsiach i lasach ciężarówki, na obciążenie lokalnej infrastruktury. To w Dubiczach Cerkiewnych w styczniu 2024 r. ciężarówka z 11 żołnierzami wpadła do rowu. Ludzie mówią też, że boją się ewentualnych wywłaszczeń związanych z budową Tarczy Wschód.

Tymczasem pani Helena zapewnia: – Bezpiecznie jest. I dodaje: – Uchodźców nie widziałam. Raz jednego w cerkwi w Kleszczelach. Przyszedł prosić o pomoc. Jak przyszedł, to już była karetka, bo zemdlął i ludzie wezwali.

Wygon

Małgorzata Klemens jest fotografką i pod koniec marca na swoim profilu facebookowym zamieściła kilka zdjęć podlaskiej przyrody z wpisem: „Pogranicze. Za tymi sielankowymi

kadrami kryje się świat kryzysu humanitarnego. Piękne, a zarazem smutne to nasze Podlasie...”.

– To jest kryzys humanitarny, bo przede wszystkim są ofiary – mówi Małgorzata. Zaznacza, że zachowanie służb również jest ważne, bo to one przyczyniają się do kryzysu. – Oczywiście nie generalizowałabym. Nie wszyscy są źli. Są ludzie i ludzie, jak wszędzie. Jedni są przemocowi i lubią się wyżyć na słabszym, drudzy zachowują się po ludzku, ale mają rozkazy. Co ich skłoniło do podjęcia tej pracy? Pewnie pieniądze. Współczuję im. Gdy widzisz wychudzonego chłopaka z Etiopii, który nie trzyma broni, by cię zaatakować, ma przerażenie w oczach i jest pocięty przez concertinę, a ucieka, bo szuka

kawie, papierek po cukierku, pogniecioną paczkę po papierosach, niedopałki, pustą butelkę po żubrówce, uciętą plastikową opaskę. Gdzieś z ziemi wystaje czarna dżinsowa kurtka, cywilna...

– Co będzie za chwilę, gdy nie będzie można składać wniosków o azyl? Co z przerażonymi ludźmi pochowanymi po krzakach? – pyta Małgorzata.

21 marca Sejm przyjął ustawę, która – cytując PAP – „wprowadza możliwość czasowego, terytorialnego ograniczenia przyjmowania wniosków o ochronę międzynarodową”. Stało się to mimo obiekcji prawnych Biura Legislacyjnego Senatu, Naczelnej Rady Adwokackiej, Krajowej Izby Radców Prawnych, Rzecznika Praw Obywatelskich, Rzecznika Praw Dziecka i organizacji pozarządowych. Według nich projekt jest sprzeczny z prawem krajowym i międzynarodowym. Ustawa czeka teraz na podpis prezydenta.

Statystyki

Stowarzyszenie We Are Monitoring, będące częścią Grupy Granica, zbiera dane dotyczące kryzysu na granicy. W raportach informuje, że w styczniu tego roku otrzymało zgłoszenia od 227 osób podróżujących w 112 grupach, a w lutym – od 248 osób podróżujących w 140 grupach.

Płtk Andrzej Juźwiuk, rzecznik prasowy komendanta głównego Straży Granicznej, informuje mnie: „W 2024 r. odnotowano blisko 30,5 tys. prób przekroczenia polsko-białoruskiej granicy. Od 1 stycznia do 31 marca 2024 r. było ich 3,8 tys. W tym roku od 1 stycznia do 24 marca odnotowaliśmy ponad 2,6 tys. prób przekroczenia granicy”.

W ostatnich dniach marca liczba prób zwiększyła się, szczególnie na wysokości Białegostoku, w okolicach Krynek i dalej na północ, w okolicach Płaskiej, Michałowa, Lipska i Bobrownik. W telewizji znów można oglądać konferencje prasowe na tle zapory. Jak na obrazie Sasnała.

Czechy Orlańskie

– Gdyby nie coroczne grzanie tego tematu, bo co roku jest



Sklep pani Heleny w Dubiczach Cerkiewnych. Obok są nowe ławy ze stołami, powstaje też skwer z ławkami, altanką i placem zabaw. To podobno dla żołnierzy.

kampania wyborcza, byłoby lżej. My już jesienią wiedzieliśmy, że wiosna będzie trudna, bo kampania, zmarowany sezon turystyczny i ścianka do robienia zdjęć na tle płotu – mówi Paulina Siegień. Wraz z mężem Wojciechem od pięciu lat mieszka w Czechach Orlańskich, w gminie Dubicze Cerkiewne. Oboje pochodzą z Podlasia. Paulina jest etnografką, dziennikarką i tłumaczką. Wojtek Siegień też jest etnografem, wykładowcą i psychologiem w tutejszej szkole. Rozmawiamy w kuchni ich drewnianego domu w stylu podlaskim.

– Wytworzenie atmosfery nienawiści i wrogości jest bardziej destabilizujące niż sama sytuacja. Co strasznego z niej wynika? Na czym polega zagrożenie? Przecież wielu z tych uchodźców dostało się do Polski. I co się stało? Czy Polska się zawaliła? – pyta retorycznie Paulina. Jak mówi, pierwsze reakcje mieszkańców były pozytywne. Ludzie chodzili na grzyby i widzieli, że w lesie są potrzebujący pomocy, więc brali ze sobą więcej kanapek. Wielu pomagało w taki podstawowy sposób. Wciąż są tacy, którzy, gdy spotykają uchodźcę, wolą zadzwonić do aktywistów. Nie jest tak, że pomagają jedynie aktywiści, a mieszkańcy tylko dzwonią po służby.

– Mamy tendencję do kategoryzacji – dopowiada Wojtek. – Dzielimy na jedną i drugą stronę, czyli lokalnych z dziada pradziada i aktywistów z zewnątrz. A tu nie ma takich podziałów. Ta sytuacja jest powtórką kryzysu sprzed 100 lat i dlatego lokalna reakcja, której niestety wielu nie dostrzega, jest tak silna.

Ten kryzys jest powtórką kryzysu sprzed 100 lat i dlatego lokalna reakcja, której niestety wielu nie dostrzega, jest tak silna.

Ponad 100 lat temu, w czasie I wojny światowej, lokalna ludność uciekała w głąb Imperium Rosyjskiego. Na wygnaniu spędzili kilka lat i potem wracali. Nazywani są bieżąciami, od rosyjskiego słowa bieżęństwo, które oznacza uchodźstwo. – Tu wielu ma w rodzinach doświadczenie uchodźstwa i gdyby nie było nagonki medialnej i politycznej, ci ludzie wciąż by uchodźców karmili i poili – ciągnie Wojtek.

Gdy przypominam im o słowie przyzwyczajenie, mówią, że tak, że ludzie z Podlasia coraz bardziej rozumieją, iż nie ma siły, która ruch migracyjny w 100% zatrzyma. Oswoili się z sytuacją i wielu z nich ona już nie obchodzi. Żyją normalnie codziennym życiem, ale trudno im

robić plany na przyszłość, bo planu na kryzys nikt tak naprawdę nie ma.

Białowieża

Z Hajnówki do Białowieży prowadzi wąska droga. Nietrudno wypaść na pobocze.

– Ciężarówki wojskowe pędzą z Hajnówki do Białowieży. Nie zatrzymują się przy wjeździe do miasta i nikt im nic nie robi – opowiada sprzedawczyni w jednym ze sklepów w Białowieży.

– Kiedyś w tym pędzie żubra potracili – przypominam.

– A żeby to raz – potwierdza sprzedawczyni.

Na grudzień 2024 r. stan żubrów po starciu z wojskowymi ciężarówkami wynosił minus pięć.

Mieszkańcy Białowieży i całego Podlasia martwią się o turystykę. Mówią, że mniej ludzi przyjeżdża. Pewnie ze strachu. Kiedyś w Białowieży bywali turyści z całej Europy, z Francji, Niemiec, Holandii. Dziś w ogóle nie ma obcokrajowców, a Polacy wolą chyba jeździć na wakacje za granicę.

– Mam nadzieję, że bon turystyczny coś zmieni – mówi Paulina z 3K w Czeremsze. Podlaski Bon Turystyczny ma zostać wprowadzony

przez Podlaską Regionalną Organizację Turystyczną w kwietniu tego roku w celu wsparcia regionalnej turystyki. Dzięki niemu osoby spoza regionu mają otrzymać dofinansowanie na noclegi w wybranych obiektach.

– Myślę, że gdyby nie napędzali tego w mediach i nie straszili ludzi, byłoby inaczej. A tak wszyscy nasłuchają się w telewizji i boją się przyjeżdżać, bo wyobrażają sobie, że tu jest jakaś wojna i nie wiadomo co – komentuje mieszkanka Mielnika.

A zapora, strefa, uchodźcy? – Nie wiem – wzrusza ramionami sprzedawczyni z Białowieży. – Ja codziennie pracuję i nie zajmuję się polityką. Nie przeszkadza mi to, przyzwyczailiśmy się.

Anna Wyrwik

Pudrowanie wirusa

Resort zdrowia wydał prawie 7 mln zł na kampanię promującą szczepienia przeciw HPV wśród dzieci – z marnymi efektami. Słono zapłacić za szczepienie muszą dorośli



Kornel Wawrzyniak

Zaczęło się niewinnie, od wizyty kontrolnej u ginekologa. „Lekarka była zaniepokojona. Zrobiła mi cytologię. Po kilku tygodniach okazało się, że mam HPV, i to wredną odmianę powodującą raka. Skierowano mnie na zabieg do szpitala w celu usunięcia zmian. Przy wypisie lekarz, który wykonywał zabieg, zalecił mi jak najszybsze szczepienie przeciwko HPV. Zrobił to na gębę. Nie dostałam takiego zalecenia w wypisie, nikt nie wystawił mi recepty na szczepionkę. Musiałam załatwić to prywatnie i była to droga przez mękę. Łącznie wydałam ponad 3 tys. zł. Gdy zobaczyłam w kinie reklamę Ministerstwa Zdrowia, załała mnie krew”, pisze w liście do redakcji czytelniczka „Przeglądu”, 35-letnia Ania.

A kto pana zaszczepi?

To tylko jedna z wielu historii związanych ze szczepieniem dorosłych

przeciwko HPV. Ministerstwo Zdrowia kładzie nacisk na darmowe szczepienie młodzieży w wieku 9-14 lat. Zapomniano jednak o dorosłych, szczególnie tych w wieku rozrodczym. To poważny błąd. HPV jest przenoszony drogą płciową lub w kontakcie ze skórą osoby zakażonej. Według badań CBOS okres największej aktywności seksualnej Polaków przypada na wiek 25-44 lata. Według seksuologów kobiecie libido osiąga szczyt około trzydziestki i utrzymuje się na podobnym poziomie aż do menopauzy. Tymczasem okienko na refundowane szczepienie zamyka się wraz z ukończeniem 18. roku życia. Potem zaczynają się niebotyczne koszty dla wszystkich, którzy są zainteresowani zaszczepieniem się przeciwko wirusowi mogącemu powodować raka.

HPV (*Human Papillomavirus*) to nazwa ludzkiego wirusa brodawczaka. Odpowiada on przede wszystkim za zachorowania na raka szyjki macicy oraz raka pochwy i sromu u kobiet. Może również wywoływać raka

prącia u mężczyzn. Obydwie płcie są zaś zagrożone rakiem odbytu, jamy ustnej, nosogardzieli, nasady języka i migdałków, okolic głowy i szyi. Wyróżnia się ponad 200 typów wirusa. Część jest rakotwórcza. Trzy najczęściej występujące wysoce rakotwórcze typy, HPV-16, HPV-18 i HPV-45, są odpowiedzialne za 75% przypadków raka płaskonabłonkowego szyjki macicy, 90% przypadków raka gruczołowego szyjki macicy i większość przypadków zmian przednowotworowych szyjki macicy. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) uznała typy HPV-16 i HPV-18 za czynniki rakotwórcze dla człowieka. Przed zakażeniem HPV może uchronić szczepionka. Szczepienie jest najskuteczniejsze, jeśli nastąpi przed potencjalnym narażeniem na zakażenie wirusem, do którego dochodzi głównie drogą płciową. Jednak zaszczepić się można także po inicjacji seksualnej, a skuteczność takiej profilaktyki też została udowodniona w badaniach. W Polsce w powszechnym programie szczepień,

który obejmuje najmłodszych pacjentów, przeciw HPV bezpłatnie dostępne są dwie szczepionki: 2-walentna szczepionka Cervarix i 9-walentna szczepionka Gardasil 9.

– Mój doktor wyjechał na urlop, a przyszła już pora na drugą dawkę szczepionki. Zadzwońm na teleporadę do swojego POZ i mocno się tłumaczyłem lekarce z przychodni, że potrzebuję szczepionki na HPV, że to już druga dawka itd. Receptę w końcu dostałem. Lekarka na koniec zapytała.

Okienko na refundowane szczepienie przeciwko HPV zamyka się wraz z ukończeniem 18. roku życia.

„Ale kto pana zaszczepi?”. Powiedziałem, że idę prywatnie. Lekarka nie dowierzała, że nie zaszczepią mnie u niej w przychodni, bo przecież „szczepią na wszystko, jeśli przyniesie się swoją szczepionkę”. Niestety, szczepienie na HPV jest jedynym, na które odmówiono mi zaszczepienia w trzech kolejnych przychodniach POZ. Co więcej, pytałem w kilku przychodniach, czy ktoś zrobi to odpłatnie, i również spotkałem się z odmową. A mówimy o Warszawie – opowiada 37-letni Tymon.

Wirus z dobrym PR

Walka z wywołującym raka wirusem jest dziś na pierwszych stronach prasy kobiecej. Szczepienia przeciw HPV reklamują aktorki, a przede wszystkim modelka Anja Rubik. Można odnieść wrażenie, że zaszczepić się można ot tak, między zakupami w najlepszych warszawskich butikach a pogawędką ze znajomymi przy kawiarnianym stoliku. Ten cukierkowy obrazek z Instagrama z rzeczywistością ma niewiele wspólnego.

Ministerstwo Zdrowia zorganizowało akcję „HPV. Czas na szczepienie jest teraz”. Spoty emitowano m.in. w kinach i telewizji. Zapytane o koszty ministerstwo odpowiedziało „Przeglądowi”, że w 2024 r. na kampanię celowaną do rodziców dzieci w wieku 8-18 lat wydano ok. 6,8 mln zł. „Celem kampanii informacyjno-edukacyjnej było podniesienie świadomości o zagrożeniach, jakie HPV powoduje zarówno u kobiet, jak i mężczyzn.

Kampania jest prowadzona bardzo szeroko, m.in. z wykorzystaniem mediów ogólnopolskich o największych zasięgach oraz mediów społecznościowych Ministerstwa Zdrowia”. Resort podkreśla w odpowiedzi dla „Przeglądu”, że nie tylko wyprodukował spoty telewizyjne i radiowe, ale również przygotował audycje edukacyjno-informacyjne.

Wpisuję w przeglądarce internetowej hasło: „HPV szczepienie POZ”. Wskakują mi same reklamy

szczepień niepublicznych i jedna reklama placówki prywatnej, która rzeczywiście szczepi dzieci w wieku 9-14 lat w ramach POZ. Tak naprawdę przemysł medyczny wypatrzył, gdzie można kosić naprawdę grube siano. Kiedy wpiszę w aplikacji ZnanyLekarz hasło: „szczepienie HPV”, wyskakuje kilkadziesiąt ofert, które nie schodzą poniżej 750-800 zł za przyjęcie jednej dawki szczepionki, a przecież

od dwóch lat”, kontynuuje opowieść czytelniczka „Przeglądu”.

Co sprytniejsi mogą, tak jak nasz rozmówca Tymon, uzyskać receptę u lekarza rodzinnego i szukać najtańszej szczepionki w kolejnych aptekach. W teorii receptę może wypisać każdy lekarz. Najtańsza oferta, jaką znalazłem, wynosiła 429 zł za jedną ampułkostrzykawkę. Do tego 200 zł za szczepienie z kwalifikacją w prywatnej przychodni. Sęk w tym, że nie każdy lekarz chce szczepić mężczyzn. Szczególnie że bardzo duża część ofert pochodzi z gabinetów ginekologicznych.

Według danych z zamieszczonego na rządowej stronie ezdrowie.gov.pl raportu o szczepieniach przeciwko wirusowi brodawczaka ludzkiego zaszczepionych przeciw HPV jest w momencie powstawania tego tekstu jedynie 12,55% uprawnionych do tego dzieci. Mówimy o wszystkich rocznikach ujętych w programie szczepień, poczynając od 2006 r. (dzisiejsi 18-latkowie) do 2015 r. Z 4 884 232 osób zaszczepiono zaledwie 613 084. Największy odsetek zaszczepionych mają roczniki 2010 (25,66%) i 2011

Ministerstwo Zdrowia w 2024 r. na kampanię celowaną do rodziców dzieci w wieku 8-18 lat wydało ok. 6,8 mln zł.

potrzeba trzech, aby osiągnąć pełną skuteczność. Niestety, to nie koniec kosztów. Jedni wliczają w cenę wizyty szczepionkę, drudzy nie. Czasem 800 zł kosztuje szczepienie, jednak trzeba do tego doliczyć tzw. kwalifikację do szczepienia. Rekordową cenę podano mi w jednej z klinik dermatologicznych w Wilanowie, gdzie samo zaszczepienie miało kosztować 1000 zł. Preparat trzeba było załatwić we własnym zakresie.

„Jak tylko doszłam do siebie po zabiegu, natychmiast zadzwoniłam do mojego lekarza rodzinnego po receptę na Gardasil 9. Był bardzo zdziwiony, że nie dostałam recepty w szpitalu. W rozmowie z lekiem zawstydzeniem przyznał mi też, że muszę mu przeliterować nazwę leku, bo wypisuje taką receptę pierwszy raz. To dość dziwne, bo mówimy o 2025 r., a program szczepień na HPV działa podobno przynajmniej

(28,09%). W kolejnych rocznikach następuje widoczny spadek zaszczepień.

W świetle tych danych dość zaskakujące wydaje się, że Prix Galien, czyli wyróżnienie za innowację w medycynie i farmacji, dostała w ubiegłym roku kampania „Wygrajmy z HPV”. MSD Polska, organizator akcji, słusznie zauważa, że 62% Polaków najbardziej obawia się zachorowania na nowotwór, 42% respondentów deklaruje zaś, że nie wahałoby się przyjąć szczepienia chroniącego przed rakiem. Jednak ledwie 5% ankietowanych przyjęło szczepienie przeciw HPV. W ramach kampanii powstał portal edukacyjny hvp.pl. Strona jest chwalona za to, że przez dwa lata odwiedziło ją ok. 220 tys. użytkowników. Hurraoptymistom należy tu chyba wylać kubek zimnej wody na głowę. Według badania Mediapanel pierwsza dziesiątka najpopularniejszych stron o medycynie w polskim ▶

► internecie generuje miesięcznie ruch między 9,5 mln (pierwsze miejsce) a 2,1 mln użytkowników (miejsce dziesiąte).

Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie

Program szczepień realizowany przez państwo też nie przebiega tak prosto, jak to opisuje Ministerstwo Zdrowia. W teorii od 1 września 2024 r. w ramach powszechnego programu szczepień przeciw HPV są one dostępne dla osób w wieku 9-14 lat. Według resortu zdrowia wystarczy umówić dziecko w przychodni przez Internetowe Konto Pacjenta lub przez aplikację *mojeIKP*. Pozostaje jednak kwestia informowania rodziców i budowania w nich świadomości, jak ważne jest to szczepienie już od najwcześniejszych lat. Problemów z zaszczepieniem najmłodszych mamy zaś sporo. Najlepszym przykładem jest ostatni przypadek błonicy u kilkuletniego dziecka, które rodzice zabrali na wyjazd do Afryki bez niezbędnych szczepień.

– Dostajesz suchą wiadomość przez Librusa (portal i aplikacja pełniące funkcję dziennika klasowego – przyp. red.), że możesz zaszczepić dziecko przeciwko HPV. Ludzie potraktowali to jak jedną z wielu reklam, które pojawiają się na Librusie. Mam wrażenie, że ktoś zbyt mocno uwierzył w kampanię leącą w kinach. Jednak oglądanie z dzieckiem w kinie „*Minecraftera*” z reklamą HPV to za mało. Zwłaszcza że w szkołach od lat nie ma szczepień i nagle pojawia się informacja, że będą szczepić na jakieś HPV, ale ogólnie: rodzicu, dowiaduj się sam. A wiadomo, że nie wszystkim się chce. Efekt był taki, że z 24 uczniów zaszczepiona została zaledwie piątka. Lekarka powiedziała, że druga dawka musi być podana maksymalnie 12 miesięcy po pierwszej. Ten termin zaraz upłyne, ale na razie ze strony szkoły cisza. Mam też rok młodszego syna w tej samej szkole. Nie dostałam w ogóle informacji, że w tym roku będzie szczepienie przeciwko HPV – opowiada Ewa, matka dwójki uczniów z warszawskiego Śródmieścia.

Szczepienie w szkole rozbija się o politykę. HPV to seks, a tego tematu nawet najbardziej postępowe szkoły raczej nie porusza. Budzi skojarzenia z edukacją seksualną, a to dla grona pedagogicznego zagadnienie wyjątkowo niewygodne. „Dramatem jest, że trzeba tłumaczyć, iż szczepienie, które jest w stanie uchronić przed zachorowaniem na nowotwory, nie jest seksualizacją dzieci”, podkreślała na łamach *Prawo.pl* prezeska Ogólnopolskiej Federacji Onkologicznej Dorota Korycińska.

Dookoła tematu tańczą również w Ministerstwie Edukacji. Ministra Nowacka głośno zapowiedziała, że szczepienia będą w szkołach dostępne. 4 września odbyła się w jednej ze szkół podstawowych w Warszawie wspólna konferencja MZ i MEN informująca o możliwości organizacji szczepień w szkołach oraz ich roli w profilaktyce nowotworowej. Ministra edukacji nie wspominała tylko o tym, że wprowadzenie szczepień nie zależy ani od niej, ani od ministrowi Leszczyń. O sprawę polityki szczepień w placówkach edukacyjnych ponownie zapytaliśmy Ministerstwo Zdrowia. Z odpowiedzi resortu wynika, że to szkoły same decydują o zgłoszeniu się do powszechnego programu szczepień przeciw HPV. Odbywa się to poprzez zgłoszenie koordynatora powszechnego programu szczepień przeciw HPV w szkole do powiatowej stacji sanitarno-epidemiologicznej. Na nasze pytanie, kto ma takie szczepienia przeprowadzać, MZ odpowiedziało: „Za realizację szczepień w szkołach odpowiada przychodnia podstawowej opieki zdrowotnej (POZ), która nawiąże ze szkołą współpracę w tym zakresie”.

Współpraca resortów edukacji i zdrowia była jednak szersza. Ministerstwa przygotowały wspólną paczkę edukacyjno-informacyjną dla dyrektorów szkół i nauczycieli do wykorzystania na spotkaniach z rodzicami. Ministerstwo Zdrowia twierdzi też, że we wrześniu 2024 r. zorganizowało webinar dla dyrektorów szkół, w którym przedstawiono niezbędne informacje dotyczące wirusa HPV. Przygotowało poza tym

aż 71 scenariuszy lekcji na temat zdrowia, dotyczących zarówno palenia tytoniu czy picia alkoholu, jak i szczepień na HPV. Problem w tym, jak ta wiedza była kolportowana dalej, bo to w pierwszej kolejności kwestia dobrej woli dyrekcji. Czy po epoce ministra Czarnka można jeszcze ufać pojęciu dobrych intencji?

Tam, gdzie trawa bardziej zielona

„Kampania informacyjna na temat szczepień przeciwko HPV nie przebiła się do świadomości Polaków. Nie składamy jednak jeszcze broni. Skorzystajmy z dobrych praktyk innych krajów, gdzie wyszczepialność była na poziomie 90%”, zachęca w portalu *Termedia.pl* dr hab. n. med. Maciej Stukan z Oddziału Ginekologii Onkologicznej Gdyńskiego Centrum Onkologii.

Dr Stukan miał zapewne na myśli Danię, tam po wprowadzeniu szczepionki przeciwko HPV szybko osiągnięto wspomniany odsetek. Niestety, po paru latach wyszczepialność spadła do 40%. Lepiej poradziła sobie Australia. W październiku 2018 r. w czasopiśmie „*The Lancet Public Health*” opublikowano dane, z których wynikało, że może ona być pierwszym krajem, który dzięki wprowadzonym powszechnym szczepieniom przeciw wirusowi brodawczaka ludzkiego oraz badaniom przesiewowym w znacznym stopniu zlikwiduje zachorowania na raka szyjki macicy. Już siedem lat temu w Australii rejestrowano zaledwie siedem przypadków raka szyjki na 100 tys. kobiet.

W Polsce według danych zamieszczonych w serwisie *gov.pl* co roku diagnozę raka szyjki macicy słyszy ponad 3,3 tys. kobiet. Połowa z nich umiera. HPV powoduje 99,7% przypadków tego nowotworu. Nie jest to jednak jedyna choroba wywoływana przez wirusa brodawczaka ludzkiego. Może więc czas przestać pudrować problem i zacząć mierzyć się z nim na poważnie, bo co roku, przez brak profilaktyki, HPV zabiera tysiące osób.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Zgoda narodowa

Pierwszy raz pan premier i pan prezydent byli zgodni. Niestety, w sprawie „paktu migracyjnego”. Połączyły ich cyniczny populizm i lekceważenie dla konstytucji, dla międzynarodowych zobowiązań Polski, dla elementarnych praw człowieka. Wstyd!

Straszenie imigrantami stało się nieodzownym elementem propagandy wyborczej zarówno opozycyjnej Konfederacji, PiS, jak i niestety rządu. Gorzej. Jest przedmiotem licytacji, kto przestraszy bardziej, kto mocniej przerysuje problem, a w konsekwencji kto bardziej odczłowieczy imigrantów. Wszystko to pod hasłami „obrony polskich granic”, ochrony polskich kobiet i dziewczynek przed potencjalnymi dzikimi, ciemnoskórymi gwałtami i mordercami. No i bronięcia chrześcijaństwa przed ofensywą islamu.

Jakże groteskowy jest minister obrony, który na tle płotu, czyli, używając historycznej terminologii, na „przedpłociu” chrześcijaństwa, z poważną miną mówi o zagrożeniu ze strony podwożonych przez białoruskie służby na naszą granicę coraz bardziej agresywnych hord imigrantów, którzy – niekiedy śrubami albo konarami – atakują naszych uzbrojonych po zęby żołnierzy i pograniczników.

Problem jest poważny. Ale nie rozwiąże się go przy płocie ani niehumanitarnymi metodami, gwałcącymi polską konstytucję, prawo międzynarodowe i prawa człowieka. Ściganie się w antyimigranckiej retoryce przyniesie zaś jak najgorsze skutki społeczne, a w konsekwencji polityczne. Jak politycy dobrze wystraszą społeczeństwo, to ono w najbliższych wyborach odda głos na tę partię, która będzie najbardziej radykalna, która proponuje najbardziej brutalne metody rządzenia. Która najmniej będzie się liczyła z ograniczeniami narzucanymi przez prawo i – używając języka Kaczyńskiego – w imię skuteczności porzuci „imposyblizm prawny”. A w dodatku będzie to zgodne z tym, co głosiła od lat. Takie działania budzi najobrzydliwsze upiory narodowe, do niedawna, wydawało się, uśpione: nacjonalizm, ksenofobia i rasizm. Na tym polu Tusk nie doścignie ani Kaczyńskiego, ani Mentzena. A jeśli doścignie, to naprawdę nie ma różnicy, który z nich będzie rządził.

W ostatnim czasie tak dalece zmieniły się standardy naszego myślenia, że właściwie nikt nie dostrzega istoty nieludzkiego oskarżenia piątki aktywistów, którzy ratowali życie uchodźcom w przygranicznym lesie, dali im jeść, pić, dali suche ubrania. Tak na marginesie – ta „niebezpieczna horda” dybiąca na nasze bezpieczeństwo, stanowiąca zagrożenie dla naszej suwerenności składała się z rodziców i siedmiorga dzieci, wyczerpanych wielodniowym tułaniem się po lesie w deszczu, zimnie, bez jedzenia i picia. Określenie przez prokuraturę kwalifikacji prawnej przestępstwa zarzucanego aktywistom, jak dotąd poważnie potraktowanej przez sąd, wymagało przyjęcia nieludzkiego założenia. Aby czyn oskarżonych mógł stanowić przestępstwo, musiałby „przynosić korzyść majątkową lub osobistą” oskarżonym bądź innym osobom. To, że oskarżonym żadnej korzyści nie przynosił, potwierdziła nawet prokuratura. Ale uznała – i tu wzbiła się na wyżyny pomysłowości – że wymaganą w kodeksie dla bytu przestępstwa „korzyścią osobistą dla innej osoby” jest przyjęcie gorącej

Jak politycy dobrze wystraszą społeczeństwo, to ono w najbliższych wyborach odda głos na tę partię, która będzie najbardziej radykalna.

herbaty, zupy i kanapek oraz suchej odzieży przez ratowanych uchodźców, a ci ostatni to właśnie te „inne osoby”, o których mowa w kodeksie.

Proszę spokojnie pomyśleć: przyjęcie przez głodnych, spragnionych, przemarzniętych, przemoczonych pożywienia i suchej odzieży jest „przyjęciem przez nich korzyści osobistej”! Przyjęcie pomocy ratującej zdrowie, a zapewne również życie – jest przyjęciem „korzyści osobistej”! W języku polskim korzyść to zysk, dodanie. Na czym polegała korzyść tych, którym udzielono pomocy? Na tym, że przeżyli? Czyli umieranie z głodu i chłodu to dla prokuratury stan normalny, w który nie należy ingerować, a szansa przeżycia to korzyść? Jest to równie głupie, jak nieludzkie! Czy prokurator, który tak formułował zarzut, i ten, który go nadzorował, pomyśleli choć przez chwilę, jaka filozofia kryje się za interpretacją, którą przyjęli? ■

SKLEP PRZEGLĄDU

sklep.tygodnikprzeгляд.pl



Bogata oferta i najlepsze ceny:

ZAWSZE
W ZASIĘGU RĘKI

książki | e-booki | prenumerata elektroniczna | subskrypcja | Zdanie

Walka o kawałek ziemi

Olsztyński ratusz chce przejąć fragment sąsiedniej gminy, by przenieść tam areszt, sądy i prokuraturę. Trafia jednak na opór ze strony wójta i starosty powiatu

Marek Książek

W gminie Purda o tej operacji nie mówią inaczej jak aneksja. Może dlatego, że kojarzy się z aneksją Krymu i stawia w niekorzystnym świetle władze sąsiedniego miasta. Tymczasem prezydent Olsztyna Robert Szewczyk przekonuje, że z 235 ha ziemi, o które chce poszerzyć granice miasta, aż 98% jest własnością skarbu państwa, administrowaną przez Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa (KOWR), w tym ponad 37 ha zajmują Rodzinne Ogrody Działkowe „Krokus”.

Między działkami a nową obwodnicą Olsztyna czeka 170 ha lekko pofałdowanego pola, które po wyrównaniu znakomicie nada się np. pod osiedle mieszkaniowe. Własność gminy stanowią tylko lokalne drogi, a więc zaledwie 1,6% tego obszaru. Dlatego w olsztyńskim ratuszu uznano, że to najlepszy kierunek powiększenia miasta. – Ale to jedyny teren pod nasze inwestycje, które zadecydują o rozwoju gminy. Wcześniej nie mogliśmy tam nic robić, bo ziemia przez 10 lat była wdzierżawiona rolnikowi. A gdy prezydent Olsztyna zobaczył nasze plany, które przesłaliśmy do ratusza, nabrał apetytu na przejęcie gruntów – twierdzi Teresa Chrostowska, wójt gminy Purda.

Działki do aneksji

Purda to jedna z najpiękniejszych krajobrazowo gmin Warmii, z obszarami przyrodniczo chronionymi, pełna lasów i jezior, z wsiami o zabudowie jednorodzinnej. Część wiosek jest naznaczona

przeszłością pegeerowską, tak jak Trękusek (ferma drobiu), rozstawione przez Andrzeja Leppera Klewki (gdzie rzekomo mieli lądować talibowie) i wreszcie Stary Olsztyn, który mimo nazwy jest o wiele młodszy od stolicy regionu. I właśnie ta miejscowość jest jedyną osadą na terenie, który zamierza przejąć Olsztyn. Mająca ok. 200 mieszkańców wieś szczyty się tym, że tuż po wojnie w rodzinie administratora państwowego majątku ziemskiego urodził

się słynny artysta, Marek Jackowski, lider zespołu Maanam. Potwierdza to tablica z jego wizerunkiem i stojąca nieco dalej drewniana rzeźba muzyka. Jak jednak zapewnia wójt Purdy, nikt ze Starego Olsztyna nie chce zostać obywatelem miasta. Podobno wszyscy wolą nadal mieszkać na wsi, gdzie życie jest tańsze, a w zagrodzie można hodować kury albo utuczyć świniaka. Co prawda, trzeba się liczyć z pewnymi niewygodami związanymi z wiejskością, ale do miasta

Purda to jedna z najpiękniejszych gmin Warmii, pełna lasów i jezior, z obszarami przyrodniczo chronionymi i wsiami o zabudowie jednorodzinnej.



jest przecież rzut beretem. Pieszo można dotrzeć w kwadrans, idąc szutrową drogą obok ogródków działkowych „Krokus”.

Prawie 1 tys. działek, formalnie leżących na terenie gminy Purda, niemal w 100% jest użytkowanych przez olsztynian z pobliskich osiedli – i ten argument przemawia za przyłączeniem ROD do miasta. – Ogrody „Krokus” będą traktowane tak samo jak pozostałe na terenie Olsztyna. Są to miejsca pełniące w mieście funkcję oaz zieleni. Wspierają naturalną retencję, zapewniając cień i obniżając temperaturę w czasie upałów. Ale pełnią także funkcje społeczne, umożliwiając mieszkańcom w każdym wieku korzystanie z ich rekreacyjnego potencjału, przybliżając Olsztyn do realizacji wizji miasta-ogrodu, stale obecnej w naszej strategii

Drewniana figura Marka Jackowskiego w Starym Olsztynie.



Prezydent Robert Szewczyk i przewodniczący rady miasta Łukasz Łukaszewski omawiają projekt poszerzenia granic Olsztyna.

rozwoju. Dlatego zależy nam na jak najlepszym ich funkcjonowaniu – deklarował prezydent Robert Szewczyk na spotkaniu z przedstawicielami działkowców 15 stycznia br. Oni sami byli podobno zaskoczeni planami gminy Purda. Twierdzili, że nie były z nimi konsultowane. Na przykład w planie zagospodarowania przestrzennego gminy w bezpośrednim sąsiedztwie ogrodów wskazano miejsce pod zabudowę wielorodzinną. Mają tam się znaleźć również usługi oraz przemysł „mogący negatywnie oddziaływać na środowisko”, czyli generujące „hałas, nieprzyjemny zapach czy wzmożony ruch pojazdów”, jak to ujęto na stronie Urzędu Miasta Olsztyn.

Wójt Teresa Chrostowska odpowiada, że gmina planuje tam budynki wielorodzinne, ale do czterech kondygnacji. Obok mają być usługi i handel, nie ma mowy o zakładach szkodzących środowisku. Dodatkowo niepokój działkowców wzbudziły też wieści o zainteresowaniu władz Purdy budową na tych 170 wolnych hektarach centrum logistyki Lidl. Firma planowała postawić taki obiekt w Gietrzwałdzie, z drugiej strony Olsztyna, ale chyba zrezygnuje z tego zamiaru na skutek protestów prawicowych działaczy, którzy nie godzą się na obecność potężnych magazynów w pobliżu sanktuarium maryjnego. Wójt Chrostowska mówi, że

rozważa wszystkie propozycje dające szansę na rozwój. Na razie jednak Lidl nie wykazuje zainteresowania lokalizacją w jej gminie.

Popierają tego, kto daje więcej

O braku zainteresowania władz gminy działkami mówi Antoni Łabuz, prezes ROD „Krokus”. Ogrody istnieją już ponad 40 lat i prezes nie pamięta, by z gminy Purda nadeszła jakaś pomoc. Prosił o wsparcie finansowe na wymianę skorodowanych

Adwokaci i notariusze, mający kancelarie w centrum miasta, oraz niektórzy mieszkańcy wyrażają wątpliwości co do potrzeby przeniesienia sądów na peryferie.

rur wodociągowych, ale nawet nie dostał odpowiedzi. Podobnie jak ostatnio na pisma z wnioskami dotyczącymi buforowej strefy zieleni wokół działek. Żadnych odpowiedzi i żadnych deklaracji. Za to prezydent Robert Szewczyk przestał zobowiązać do przeznaczenia części wolnych gruntów na poszerzenie terenu działek o strefę zieleni, a nawet modernizacji szutrowej drogi prowadzącej do Starego Olsztyna (gmina w swoich planach ujęła budowę ścieżki pieszo-rowerowej wokół ROD „Krokus”). W planach ratusza znalazło się także „wielofunkcyjne osiedle średniej

skali zabudowy otoczone zielenią”. No i najważniejsze – zlokalizowane przy obwodnicy Olsztyna „miasteczko prawne”, które mają tworzyć nowo wybudowane sądy, prokuratura i arest śledczy (może też komenda policji).

– Mnie jest obojętne, w jakim układzie administracyjnym będą nasze działki, bo to i tak jest teren skarbu państwa. Ale popieram tego, kto nam więcej oferuje – wyznaje prezes. Niektórzy działkowcy obawiają się, że jeśli miasto przejmie te grunty, to za jakiś czas ich stamtąd wywłaszczy i sprzeda atrakcyjny teren deweloperom. Prezes Łabuz jednak uspokaja, że w takim wypadku trzeba przydzielić inny teren na utworzenie nowych działek i wypłacić działkowcom odszkodowania, a to potężne koszty! Zarządy ogrodów bardziej niepokoją się zakusami rządu, czyli przejęciem działek na cele obronne (np. poligony). Jeśli do tego tu i ówdzie dojdzie, działkowcy nie dostaną zamiennych gruntów, a rekompensaty za urządzenia na dotychczasowych działkach będą minimalne. Ale walka z działkowcami nie jest łatwa, zważywszy na to, że w skali kraju stanowią oni potężny elektorat, prawie 4 mln wyborców! Tylko w samych ROD „Krokus” uprawia warzywa i zażywa rekreacji jakieś 4 tys. osób w różnym wieku.

Na razie tutejsi działkowcy przyglądają się sporowi samorządów, który eskaluje w niebezpiecznym kierunku. Wójt Teresa Chrostowska i wspierający ją starosta olsztyński Andrzej Abako twierdzą, że prezydent miasta wyszedł przed orkiestrę i bez konsultacji z nimi ogłosił aneksję kawałka gminy. Powołują się na pismo z 18 grudnia zeszłego roku, w którym Robert Szewczyk, nowo wybrany prezydent Olsztyna z PO, poinformował urząd gminy Purda, że zamierza wystąpić do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji o przejęcie owych ▶

► 235 ha gruntu. Szczegółowa motywacja miała być taka, że mieszkańcy gminy będą mieli bliżej do... wymiaru sprawiedliwości. Chodzi o wspomniane „miasteczko prawne”. O przeniesieniu aresztu, mieszczącego się od ponad 100 lat nieopodal ratusza, mówiło się już za poprzednich prezydentów Olsztyna. Ale brakowało determinacji i przede wszystkim pieniędzy na budowę nowego. Dziś sytuacja zmieniła się na tyle, że jest przychylność centrali,

Adwokaci się buntują

Co prawda, buntują się adwokaci i notariusze, którzy mają swoje kancelarie w centrum miasta, a część mieszkańców wyraża wątpliwości co do przeniesienia na peryferie sądów, bo z reguły pełnią one funkcje miastotwórcze, ale wszystko można dopasować. Choćby przedłużając linie autobusowe lub (co trudniejsze) tramwajowe – interesanci sobie poradzą. Władze Olsztyna wspominają

Wójt Teresa Chrostowska i wspierający ją starosta olsztyński Andrzej Abako twierdzą, że prezydent miasta wyszedł przed orkiestrę i bez konsultacji z nimi ogłosił aneksję kawałka gminy.

by usunąć ten niechlubny zabytek z centrum miasta. A za tym idą pieniądze, . Powstały również sprzyjające warunki do budowy nowego sądu rejonowego, którego część mieści się w przedwojennym gmachu obok aresztu, ale trzy wydziały są zlokalizowane w innych punktach miasta. Podobnie jak siedziby prokuratur okręgowej i rejonowej. Stąd pomysł, by wszystkie instytucje wymiaru sprawiedliwości przenieść w nowe miejsce, tworząc „miasteczko prawne”.

też o budowie sądu apelacyjnego, ale według fachowców są to mrzonki, bo apelacja musi objąć obszar działania co najmniej dwóch sądów okręgowych. Taki sąd musiałby przejąć albo ten w Suwałkach, albo w Elblągu, ale pierwsze miasto ciągnie do Białegostoku, drugie zaś – choć formalnie należy do województwa warmińsko-mazurskiego – do Gdańska.

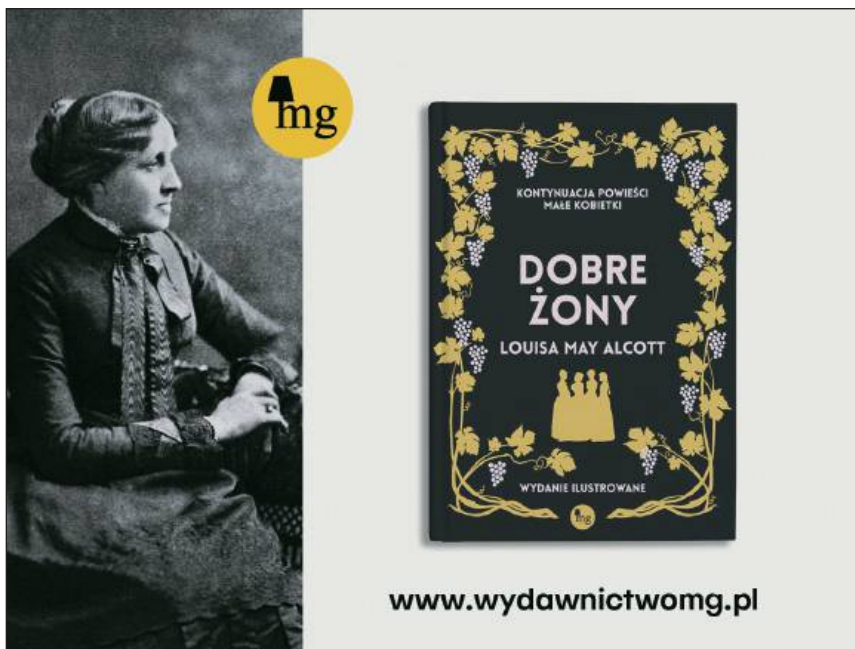
Z pewnością w tej sprawie zażgrzytał brak właściwej komunikacji między władzami miasta a gminą

Purda. Chociaż prezydent Szewczyk twierdzi, że już 6 grudnia informował – przy świadkach – panią wójt o zamiarze budowy „miasteczka prawnego” przy obwodnicy. Później radni przyjęli uchwałę w tej kwestii, a ratusz przeprowadził niedawno konsultacje społeczne wśród mieszkańców Olsztyna. No i tym naraził się na szyderstwa ze strony władz gminy i powiatu. Bo skoro ze 164 tys. mieszkańców w konsultacjach wzięło udział zaledwie 2,5 tys., z czego 70% głosowało za rozszerzeniem granic miasta, to arytmetycznie „za” był tylko 1%.

– Jak słuchałem wypowiedzi mojego kolegi samorządowca, to pomyślałem, że nie można zostawić bez wyjaśnienia tego, co mówi prezydent swoim mieszkańcom – zauważył starosta Andrzej Abako na konferencji prasowej 12 marca br. – Sam fakt, że 99% mieszkańców nie popiera prezydenta w jego działaniach, daje wyraźny sygnał samorządowi miasta, że idzie w złym kierunku. Olsztyn ma wiele innych terenów pod inwestycje, nie musi odbierać ziemi sąsiedniej gminie – dodaje.

– Wiadomo, że w takich konsultacjach nie bierze udziału większość mieszkańców, ale w każdym sondażu próba 2,5 tys. badanych byłaby na tyle wystarczająca, żeby uznać nasz projekt za oceniany pozytywnie – ripostuje Robert Szewczyk.

Tymczasem starosta ostrzega, że jeśli strony sporu nie dogadają się na poziomie samorządów, konflikt przeniesie się na szczebel krajowy i przybierze wymiar polityczny. A o tym, że taki konflikt szybko się nie zakończy, świadczy zamiar zorganizowania 27 kwietnia oddolnego referendum w Purdzie, w którym mieszkańcy odpowiedzą na pytanie, czy godzą się na uszczuplenie terenów gminy. Przewodnicząca komitetu referendalnego, gminna radna Katarzyna Maziec, nie ma wątpliwości, że większość się nie zgodzi. Tyle że referendum, podobnie jak olsztyńskie konsultacje, nie będzie miało skutków prawnych. A decyzję i tak podejmie minister.



www.wydawnictwomg.pl

Marek Książek

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Hennelowa

Pierwszego kwietnia mija 100 lat od urodzin Józefy Hennelowej. Trudno w to uwierzyć, skoro żyła tak jeszcze niedawno, zmarła w trakcie pandemii.

Była żarliwą katoliczką. Ale jej katolicyzm nie był rodzimego chowu: był z Wilna, bo Hennelowa tam się urodziła. A ta wileńska wiara była z jednej strony tradycyjna, trwająca w postawie obronnej wobec minionego ucisku rosyjskiego, a z drugiej – otwarta na wszystko dokoła – na wiernych prawosławnych, na luteranów, na Żydów... Hennelowa (wtedy Golmontówna) była czytelniczką prasy katolickiej, ale otarła się też o ludzi ze Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej Odrodzenie, a ono miało w Wilnie oblicze antynacjonalistyczne i nawet antyklerykalne. Lider Odrodzenia, Stanisław Stomma, uczył Golmontównę języka niemieckiego – i to on ściągnął ją po wojnie do redakcji „Tygodnika Powszechnego”, do środowiska katolików otwartych Jerzego Turowicza. Po latach Ziuta zostanie jego zastępczynią.

Ziuta. Tak do niej się zwracaliśmy, bo na swe 70-lecie wszystkim w redakcji „Tygodnika”, nawet najmłodszemu, to zaproponowała. Nie każdy śmiał skorzystać, ja propozycję przyjąłem, bo nie byłem już młodzieńcem, a Hennelową znałem lat prawie 20. Lecz przecież dawniej omijałem ją szerokim łukiem. Jako publicystka wydawała mi się nudna, jej katolicyzm uznawałem za dewocyjny i staroświecki. Jakże się myliłem. Ze swego katolicyzmu wysnuwała Hennelowa wnioski społecznikowskie; data im wyraz w latach 1989-1993 jako posłanka na Sejm, najpierw z ramienia Solidarności, potem Unii Demokratycznej. Wyczulona na kwestie moralne, miała wcześniej do władz stanu wojennego stosunek nieprzejednany i z całej redakcji „Tygodnika” to właśnie jej felietony były przez cenzurę konfiskowane najczęściej. Ale, motywowana tymi samymi racjami moralnymi, stała się w III RP rzeczniczką porozumienia. Nieprzypadkowo upominała się w „Tygodniku” o dobre imię żołnierzy Berlinga.

Jej może najbardziej niezwykła książka to wydana przed 13 laty „Otwarty, bo powszechny. O Kościele, który może boleć”. Z powodu słabnącego wzroku nie mogła już Hennelowa napisać jej sama, wysłuchała jej Anna Mateja. To zatem obu paniom zawdzięczamy to świadectwo – chwilami tak wstrząsające. Hennelowa krytykuje tu wprowadzenie religii do szkół drogą nie ustawy oświatowej, lecz ministerialnej instrukcji. Nie godzi się na upolitycznienie wiary, na przywileje Kościoła, na naginanie prawa, na zapis o „respektowaniu wartości

chrześcijańskich”. Zwraca uwagę na nierówne traktowanie uczelni, bo te z szyldem katolickim, finansowane już z budżetu państwa, otrzymują dodatkowe wsparcie w postaci datków na tacę. Z żalem relacjonuje beznadziejne próby dyskusji z abp. Józefem Michalikiem. Nie podoba się jej manifestacyjne przywieszanie krzyża w przestrzeni publicznej. Gorszą ją akcje lustracyjne, odległe od katolickiej idei spowiedzi. Zwalczając przerywanie ciąży, przeciwstawia się gestom pustym, teatralnemu „opowiadaniu się za życiem”.

Można by wysnuć wniosek, że pisze to wszystko człowiek odległy od Kościoła. Tymczasem nic podobnego: Hennelowa pozostała równie, jak w czasach wileńskich, gorliwą katoliczką. W wydanym w roku 2002 „Niedowiarstwie moim” wyznawała, że modli się stale tak samo – „przede wszystkim u początku i końca dnia”. Zachowała

Hennelowa nie godzi się na upolitycznienie wiary, na przywileje Kościoła, na naginanie prawa, na zapis o „respektowaniu wartości chrześcijańskich”.

chrześcijańską perspektywę doczesności i wieczności („ostatecznie mamy całą wieczność na zgłębianie tego”, wyznała kiedyś). Ponieważ zaś „wiara bez uczynków martwa jest”, Hennelowa – prywatnie i cichcem – świadczyła akty miłosierdzia każdemu, kto przychodził do niej po radę i pomoc. Oczywiście w rzeczonyj książce nie ma o tym słowa. U Hennelowej nie było nigdy cienia ostentacji.

Ale Polska nie byłaby Polską, gdyby szlachetność nie budziła zawiści. Za swą niezależną postawę zapłaciła Hennelowa wysoką cenę. Prof. Jacek Woźniakowski, biorąc ją kiedyś w obronę przed oszczerstwami, przeproszał swą maszynę do pisania, że „musi ten gnój przepuszczać przez jej czcionki”. Zniewagi dotyczyły Hennelową do końca i chyba tylko niewielką pociechą było przyznanie jej watykańskiego Orderu Świętego Grzegorza Wielkiego. Niewielką – bo Ziuta żyła przede wszystkim Kościołem polskim. I to z nim zwłaszcza nie mogła się pogodzić.

Była matką chrzestną dobrze znanego z tych ławów Ludwika Stommy. Wspominała, że na chrzcinach Ludka (tak go nazywała), w kwietniu 1950 r., zebrani roztrząsali zawarte właśnie porozumienie państwo-Kościół. Ludwik mówił o niej zawsze z sentymentem. Przeżyła go o pięć miesięcy.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Nieuctwo jest przyczyną wszystkich nieszczęść

Prof. Łukasz Turski (18 listopada 1943 – 22 marca 2025)

Odszedł prof. Łukasz Turski. Wielki człowiek. Przeprowadziłem z nim kilka wywiadów, zawsze gdy się spotykaliśmy, chętnie rozmawiał. Gdy coś go zezłościło – dzwonił. Ostatni nasz kontakt... Był już bardzo chory.

Te rozmowy były szalenie inspirujące, profesor miał niezwykłą umiejętność oddzielania tego, co ważne, od tego, co miało. I miał swoją namietność – chciał edukować Polaków. Zawsze to powtarzał: wszystkie nasze nieszczęścia brały i biorą się z nieuctwa. Dlatego obowiązkiem naszym jest stawanie na głowie, żeby kształcić. Te uwagi odnosił zresztą nie tylko do Polski, ale i do całej tzw. cywilizacji zachodniej. Potwornie raziła go wiara w rozmaitych hochsztaplerów, w różne cuda, teorie antyszczepionkowców itp. To dlatego, mówił, przegrywamy z Dalekim Wschodem. Bo tam jest wiara w matematykę, w prawa fizyki, a u nas w różne bajki. Walczył więc z nieuctwem z całych sił.

Utkwiły mi w pamięci takie jego słowa, to była nasza rozmowa w roku 2019: „Nieuctwo jest w tej chwili przyczyną tych wszystkich nieszczęść, które nas spotykają. Patrzę na polityków

i przecież widzę, jak wielu jest nieukami, takimi kompletnymi nieukami, jeszcze źle wychowanymi. Kupiłem kiedyś u bukinyisty podręcznik socjologii napisany przez Bolesława Limanowskiego przed I wojną światową. To jest gigantyczny poemat na cześć nauki, rozwoju, przyszłości itd. Wielkie marzenie. I to jest różnica między twórcami tamtej Polski a obecnymi politykami. Wydawało się, że jak jest stulecie niepodległości, to takie rzeczy powinno się pokazywać ludziom – jak jeszcze przed I wojną światową polska inteligencja myślała o wolnej Polsce, jak ją projektowała, jaki to był gigantyczny wysiłek”.

Aż chce się napisać, że profesora będzie nam brakowało. Oczywiście będzie. Ale zobaczymy, ile po sobie zostawił – Centrum Nauki Kopernik, którego był pomysłodawcą i pierwszym przewodniczącym rady programowej, dorobek naukowy, dziesiątki wywiadów, uczniowie... Nie odszedł zatem całkowicie, jego słowa, jego myśli, jego praca, to wszystko jest wśród nas. Profesorsze, piękne życie.

Robert Walenciak

Prof. Łukasz Turski w „Przeglądzie”:

Jak się dopasować do nowego świata? (17 czerwca 2019)

Rewolucja cyfrowa ma wiele złych stron. Umożliwia totalną inwigilację obywatela. W Chinach wprowadzono system punktów. Jeżeli się jest podpadniętym obywatelem, nie można kupić biletu na samolot, na pociąg.

– Cywilizacja popełnia różne błędy. Ale może w Europie moglibyśmy tego uniknąć? Proszę zwrócić uwagę, że ta Europa to takie ciupeńkie coś. A w tym środku jest Polska – Mexico City razy półtora. Żeby czymś być w tym nowym świecie, który się przemienia w związku ze zmianą geometrii, ta Europa musi funkcjonować tylko jako całość. I ona miała coś unikającego, to znaczy systemy rozwoju nauki i kultury.

Używa pan czasu przeszłego...

– Bo cokolwiek pan kupuje, zostało zrobione w Chinach, w Bangladeszu, natomiast tam zawsze jest małymi literami: Designed in California. Jak mało rzeczy jest z napisem: w Europie! Zatraciliśmy chęć tworzenia! Przez to, że się źle uczymy. Przestaliśmy rozumieć, na czym polega rozwój kształcenia, po co są szkoły, po co są uniwersytety. Nie wygramy w produkcji skarpetek, nie wygramy w produkcji dysków komputerowych, musimy wygrać w wymyślaniu. Na przykład Europa na pewno jest jednym z dominantów na rynku medycyny. To zajmijmy się tym! A my nie chcemy produkować leków, bo się boimy ryzyka związanego z produkcją nowych. Produkcujemy w tej chwili mniej nowych leków, niż produkowaliśmy lata temu. Bośmy zakneblowali rozwój tej technologii.

Dlaczego tak się dzieje?

– Dlatego, że ludzie, którzy zajmują się organizacją szkolnictwa, także politycy, nie są w stanie zrozumieć,

od czego trzeba zacząć dopasowywanie się społeczeństwa do nowego świata. Trzeba oczywiście zacząć od młodych ludzi, w jakiś sposób ich przygotować. Tylko że w XXI w. przygotowanie do przyszłego życia musi wyglądać zupełnie inaczej niż w wieku XX. Ponieważ nie musimy uczyć dzieci w XXI w., jak wygląda krokodyl. Bardzo dużo dzieci już widziało krokodyla. O tym krokodylu można znaleźć wszystko.

A nawet więcej.

– Bo w morzu internetowej informacji jest też program, że na wyspie Michichichi żyją jednorożce. Tym więc, czego musimy młodego człowieka w szkole nauczyć, jest rozpoznawanie kłamstw, fałszu. To się teraz nazywa postprawda albo fakty alternatywne. Ale ja jestem dostatecznie stary, żeby używać tradycyjnych słów: kłamstwa i oszustwa. Dziś zatem szkoła nie tyle ma przekazywać wiedzę, ile nauczyć odróżniania kłamstwa i fałszu od prawdy. Oraz postugiwania się wiedzą

w zdobywaniu nowych kwalifikacji. (...)

Jak zmusić dzieciaka, żeby sam się uczył?

– Ależ nie trzeba zmuszać! Dzieci wolą same robić, niż być zmuszane. Wystarczy zobaczyć, jakie tłumy wałęsają do Centrum Nauki Kopernik! Szkoła musi przestać być szkołą wykładową. Musi być szkołą interaktywną. Żeby uczniowie sami się czegoś nauczyli, sami szukali, a nie żeby o wszystkim usłyszeli. (...) Nauka, a także życie, nie może być katorgą. Musi być przyjemne. Ja mam 76 lat i codziennie rano choler nie się cieszę, że do tej swojej roboty jeżdżę! I staram się jak mogę nadążyć za młodymi ludźmi, którzy tu pracują. Ta praca jest dla mnie frajdą.

Szczęściarz z pana!

– Dla mnie szkoła rozpoczyna się niemal od początku życia, kiedy dziecko zaczyna coś rozumieć, i kończy się, kiedy odłączają respirator.

•

Wiara w naukę jest niewygodna dla władzy (15 lipca 2024)

Niedawno po raz kolejny oglądałem film „Iluminacja”, gra w nim pan siebie, egzaminatora na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. W 1972 r. film był wielkim wydarzeniem, a dziś... Przecież nauka i wiara to dwa różne pojęcia. Jak można je porównywać?

– Nie można. Ale „Iluminacja” jest dobrym filmem. Mam też dobre wspomnienia – przy pracy nad nim poznałem Agnieszkę Holland. Krzysztofa Zanussiego znałem wcześniej, był moim starszym kolegą szkolnym i kolegą mojego starszego brata. A co do nauki i wiary – bardzo trudno te pojęcia tak po prostu oddzielić, ponieważ historycznie to ludzie związani z Kościołem byli niemal jedynymi, którzy w europejskiej części cywilizacji zajmowali się nauką. Kiedy zwiedza się katedrę w Chartres, nad każdym wejściem widać posągi uczonych, w większości pogan. Królów, możnowładcy, biskupi, mniisi, chłopi i mieszczenie, wchodząc



do katedry, chylili czoło przed ich umysłami.

Przed lepszymi umysłami?

– Uważam, że istnieje pakt społeczny między ludem, wszystkimi ludźmi, a nauką. Jak to wygląda? Opisuje to choćby Artur Oppman w baśni o bazyliisku. Oto zjawia się w Warszawie potwór, porywa dzieci. I lud ma problem. Lecz nie zwraca się o pomoc do króla, chociaż zamek stoi trzy kroki od Krzywego Koła, nie zwraca się do burmistrza albo do biskupa. Nie! Idzie do wieży, bo w tej wieży mieszka czarodziej – tak go nazwano w baśni, ale przecież wiemy, że chodzi o człowieka uczonego. Lud o ratunek prosi naukę. To jest ta umowa społeczna – lud potrzebuje dostarczenieli bezpiecznej prawdy. (...) Tak zwany lud kiedyś bardzo wierzył w naukę. Ale ostatnio, z jakichś powodów, jest w nim tej wiary mniej.

Dlaczego?

– Bo wiara w naukę jest niewygodna dla władzy. Dla władzy, jakkolwiek ona by była, czy to duchowa, czy cywilna, ktoś, kto potrafi powiedzieć: „Bzdury pleciesz, bo 2 razy 2 daje 4, a nie 5”, jest niebezpieczny. Dramat dzisiejszych czasów polega na tym, że wykorzystano rozwój nauki, a jest on zupełnie niesamowity, do tego, żeby zatrzeć jej niezależność. (...) Władzy wygodnie jest zaciierać umowę społeczną z nauką.

A może nauka po prostu nie jest nam potrzebna?

– Jest potrzebna! Mówił pan o „Tajemniczej wyspie”. Przecież my ciągle

jesteśmy na tajemniczej wyspie! To nieprawda, że tak dużo wiemy o naszym świecie! Wiemy troszeczkę. Dużo więcej nie wiemy, niż wiemy. Mówiliśmy o covidzie... Można było sądzić, że co jak co, ale choroby zakaźne mamy opanowane. I nagle znaleźliśmy się w pułapce! Co nas wyciągnęło z tarapatów? Wyciągnęła nas nauka. Badania, technologie, które prowadzono gdzieś obok i które zostały wykorzystane do stworzenia w nieprzytomnie krótkim czasie różnych skutecznych szczepionek. Na tej bazie

tworzone są kolejne szczepionki!

Mówił to już Thomas Jefferson – nauka rozwija się przez ludzką ciekawość. A ta ciekawość badawcza wynika z tego, że prawdziwa nauka żyje dla ludzi. Ma im służyć, musi być potrzebna. (...)

Jakie badania teraz są najważniejsze?

– Nie wiem, jakie są najważniejsze, bo wszystkie są ważne. Natomiast gdybym ja w tej chwili kończył szkołę i miał ochotę być naukowcem, zająłbym się dziedziną, która kiedyś nazywała się biofizyką, ale dziś to chyba niedobre słowo. Dyscypliną na pograniczu biologii, fizyki i matematyki.

Co nam da rozwój tej dyscypliny?

– Mnóstwo rzeczy! Na przykład rozwiązanie wielu problemów neurofizjologicznych. Mamy tylu nieszczęśliwych ludzi, którzy są sparaliżowani. Im możemy pomóc. Jak spowodować, żeby przerwany układ nerwowy na nowo przetwarzal informacje? Na razie nie wiemy, jak te informacje są przetwarzane, nie wiemy, jak działamy, jak naprawdę działa ludzki mózg... Mamy mnóstwo znakomych zagadnień, które trzeba wyjaśnić. Ja sam jestem zainteresowany tym, byśmy dokonali gigapostępu w nefrologii... (...)

Dokąd więc prowadzi nas nauka?

– Proszę pana, nauka prowadzi nas do celu, który jest z grubsza nieznanym.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

POLITICAL FICTION

Najwyższy czas, by w oparciu o prawo pomóc parlamentarzystom odzyskać przyzwoitość

Wiesław Gałązka

Termin utopia pochodzi od łacińskiego tytułu eseju napisanego prawie 510 lat temu przez Tomasza Morusa, który przedstawił wizję idealnego państwa i systemu społecznego. Starożytni Grecy nazywali tak miejsce nieistniejące, ale dobre. Czyli coś, czego nie ma, ale może być...

Rada Ministrów przyjęła przygotowany przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii projekt ustawy mającej na celu deregulację prawa gospodarczego i administracyjnego oraz doskonalenie zasad opracowywania prawa gospodarczego. Każda władza przynosi nowe zapowiedzi ułatwień dla przedsiębiorców i zazwyczaj kończą się one zgodnie z powiedzeniem jednego z najbliższych współpracowników prezydenta Borysa Jelcyna i premiera Federacji Rosyjskiej (1992-1998) Wiktora Czernomyrdina: „Chcieliśmy dobrze, a wyszło jak zwykle”...

A może przede wszystkim trzeba „deregulować” przestrzeń polityczną? Tomasz Morus twierdził, że „rzadkością, doprawdy, jest społeczeństwo mądrze zorganizowane”. Spróbujmy więc zastanowić się, czy niosąca skutki społeczne deregulacja gospodarczo-administracyjna, bez zmian regulujących funkcjonowanie polityków i ich elektoratów, znacząco i perspektywicznie wpłynie na rozwój państwa.

Wyobraźmy sobie zatem Polskę, w której wprowadzone zostałyby następujące zmiany systemu politycznego:

1. Obowiązek posiadania uprawnień wyborczych

Do głosowania uprawnieni byłoby posiadacze pozytywnego wyniku testu z podstawowej wiedzy

obywatelskiej na temat funkcjonowania państwa i jego gospodarki. W wielu państwach ubiegający się o obywatelstwo muszą zdać taki egzamin. Na przykład od cudzoziemców chcących zostać obywatelami RFN wymagana jest znajomość historii, prawa, społeczeństwa i życia w tym kraju, którą należy się wykażać na teście Leben in Deutschland.

Jerzy Urban kpił ze świadomości obywatelskiej Polaków: „Ludność cieszy się demokracją, bo co cztery lata stworzyć może władze państwa na swój obraz i podobieństwo”. Dosadniej ocenił swoich rodaków francuski polityk, długoletni burmistrz Montpellier i prezydent regionu Langwedocja-Roussillon Georges Frêche: „Ludzi inteligentnych jest w społeczeństwie jakieś pięć czy sześć procent. Moje kampanie robię więc dla idiotów”. Notabene za tę wypowiedź zdobył w 2010 r. nagrodę specjalną w plebiscycie „Humor i polityka” organizowanym przez francuski Press Club.

Czy taki test nie byłby zasadny w dobie mediów, zwłaszcza społecznościowych, które zmieniły homo sapiens w homo videns – najczęściej scrollów czerpiących wiedzę o otaczającej rzeczywistości z sieci? Przecież w kolebce demokracji, Atenach, też nie każdy mógł głosować. Oczywiście realizacja takich testów napotykałaby trudności, ale odpowiednie przepisy łączące system edukacji z samorządnością byłyby możliwe.

2. Obowiązek wyborczy

To nakładany na każdego obywatela posiadającego potwierdzone prawo do głosowania przymus uczestniczenia w wyborach i referendach. Według dostępnych danych sprzed 10 lat przymus wyborczy istniał w 26 państwach na świecie, m.in. w Singapurze, Australii, Belgii

oraz we Włoszech, gdzie z braku możliwości egzekwowania go ze względu na brak przepisów wykonawczych najczęściej nieuczestniczenie karane jest grzywną.

W Polsce przepis taki zapobiegałby wynikającym z obojętności lub emocji skokom frekwencji i uprawniał zdobywców mandatów do stwierdzenia, że zostali wybrani przez naród, a nie jego procenty procentów głosujących.

3. Opłata wyborcza

Warto rozważyć wprowadzenie opłaty za udział w głosowaniu, która skłaniałaby wyborców do choćby minimalnej refleksji nad programami i kandydatami, bo płacąc za coś, zamyślamy wykazujemy się większym rozsądkiem – sprawdzamy wady i zalety towaru, w tym wypadku tych, których trzeba utrzymywać przez kolejne cztery lub pięć lat.

Według Państwowej Komisji Wyborczej koszt organizacji ostatnich wyborów parlamentarnych wyniósł 350 mln zł. Łatwo obliczyć, że przy frekwencji 74,38%, a liczbie uprawnionych wynoszącej 29 532 595 osób, każdy głosujący kosztował budżet niespełna 16 zł.

Czy np. kwota 20 zł co cztery lata byłaby dla świadomego obywatela znaczącym obciążeniem?

4. Kaucja wyborcza

To istniejący w wielu państwach wymóg wpłacenia określonej kwoty podczas rejestracji kandydata lub listy wyborczej. Służy zniechęceniu do kandydowania osób lub ugrupowań, które nie mają realnych szans na uzyskanie istotnego poparcia, a jednocześnie nie odbiera im możliwości wzięcia udziału w wyborach. Czyli nie ogranicza biernego prawa wyborczego, wprowadza jednak element ryzyka finansowego.

Na przykład podczas wyborów na prezydenta Ukrainy w 2019 r. Centralna Komisja Wyborcza zarejestrowała aż 44 kandydatów i odmówiła rejestracji 47 osób, w większości z powodu niezapłacenia kaucji w wysokości 2,5 mln hrywien (wówczas ok. 340 tys. zł). Na zwrot kaucji mogli liczyć tylko pretendenci do fotela prezydenckiego, którzy weszli do drugiej tury.

W 2023 r. w polskich wyborach parlamentarnych 460 posłów wybrano spośród 6665 kandydatów, a 100 senatorów spośród 360 zgłoszonych. W roku 2020 zarejestrowano 23 komitety wyborcze kandydatów na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, ale tylko 11 dostarczyło podpisy 100 tys. osób popierających dane kandydatury.

Czy mający polskie obywatelstwo rodacy stale mieszkający za granicą i tam płacący podatki powinni uczestniczyć w wybieraniu władzy w ojczyźnie?

Zasadność wprowadzenia takich kaucji wskazuje również liczba kandydatów zwanych przez media egzotycznymi. Do walki o urząd prezydenta RP stawali m.in. autorzy książek marynistycznych i przewodników turystycznych, właściciel zamku, sprzedawca pizzy i wykorzystujący kampanię wyborczą głównie jako okazję do reklamy sprzedawca zwykłych wkładek do butów, którym przypisywał właściwości terapeutyczne. „Wyczuwa się dotkliwy brak w tym gronie tresera węży i poganiacza wielbłądów”, pisał Krzysztof Skiba na łamach jednego z tygodników w 2010 r.

Kaucje utrudniłyby także kandydowanie cwaniakom, którzy w polityce widzą łatwy zarobek i możliwość zaspokajania wybujałego ego. „Ja startowałem trzykrotnie na senatora z Dolnego Śląska, byłem posłem z Wielkopolski, a mieszkam na Mazowszu. Jest mi kompletnie obojętne, skąd startuję. Nie mam najmniejszego zamiaru reprezentować tego kawałka regionu”, powiedział Janusz Korwin-Mikke, kandydując z Podbeskidzia w wyborach uzupełniających do Senatu w 2004 r.

5. Bezlimitowe wydatki na kampanię wyborczą

Przed każdymi wyborami Państwowa Komisja Wyborcza ogłasza limity wydatków na reklamę i agitację. Obliczane są one zgodnie z przepisami Kodeksu wyborczego i zależą od liczby wyborców w okręgach, w których komitety wyborcze zarejestrowały swoich kandydatów.

I tu jest pies pogrzebany. Kandydaci, którzy chcą wygrywać, muszą kombinować przy rozliczeniach wydatków reklamowych – zaniżać koszty autopromocji, np. ceny i nakłady ulotek, plakatów itp. Czyli zanim zdobędą mandaty, by zgodnie z deklaracjami uczciwie pracować dla ojczyzny, są limitami zmuszani do niebezpiecznych kłamstw, gdyż zgodnie z Kodeksem wyborczym

pozwalające na podejmowanie ważnych decyzji.

Od radnego zatem powinniśmy oczekiwać matury, której brak, gdy wykształcenie średnie jest w szkołach publicznych bezpłatne, świadczy o lenistwie i bierności. Od posłów wykształcenia wyższego przynajmniej na poziomie licencjata. A od senatorów doktoratów lub poświadczonego doświadczenia zawodowego co najmniej na poziomie magisterskim.

Może takie warunki pozwalałyby uniknąć zażenowania związanego z ignorancją wielu parlamentarzystów? Zwłaszcza że naukowcy twierdzą, iż ludzie niewykształceni nie rozumieją świata, są mniej tolerancyjni oraz bardziej podatni na populizm i ksenofobię. Z pewnością lepiej wykształceni reprezentanci narodu mogą podnieść jakość demokracji.

Mimo afery „Collegium Tumanum” warto wierzyć, że wykształcenie, jak szlachectwo – zobowiązuje.

7. Zakaz zmian barw partyjnych w trakcie kadencji

Ponieważ największym zagrożeniem dla demokracji jest korupcja polityczna, jedną z pierwszych zmian w prawie powinno być wprowadzenie zakazu zmiany barw partyjnych przez posłów w trakcie kadencji pod rygorem utracenia mandatu. I obowiązek przekazywania mandatów kolejnym kandydatom z list, z których wędrowniczek wybrano do Sejmu.

Przejście posta do innej partii lub stanie się „bezpartyjnym” jest zdradą i oszustwem wobec tych, którzy mu zaufali. Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by poseł, jeśli poczuł się zawiedziony działaniami swojego dotychczasowego ugrupowania, opuścił je i złożył mandat, a następnie wstąpił do innej partii i zapracował na umieszczenie na listach kandydatów podczas następnych wyborów.

Oczywiście niełatwo zrezygnować ze statusu parlamentarzysty i związanych z nim korzyści, zwłaszcza gdy za głosowanie na rzecz innej partii można te korzyści zwiększyć, a nawet poszerzyć na rodzinę. W historii polskiego parlamentu nie odnotowano jeszcze honorowej rezygnacji z mandatu spowodowanej np. zmianą poglądów lub rozczarowaniem. ▶

komitety nie mogą wydać na kampanię więcej niż to, co określiła PKW, pod groźbą utraty subwencji na działalność partyjną, o ile dana partia zdobędzie w wyborach odpowiedni procent głosów.

Czy nie lepiej byłoby pozwolić kandydatom na dowolne wydatki pod warunkiem jawności ich pochodzenia? Umożliwiłoby to także późniejszą, np. dziennikarską, kontrolę, czy po zdobyciu mandatów ich aktywność przy stanowieniu prawa nie wynika z wdzięczności wobec ewentualnych sponsorów.

6. Cenzus wykształcenia kandydatów na posłów, senatorów i prezydenta

Niestety, nie istnieje. Oczywiście nie wszystkie dyplomy świadczą o poziomie wiedzy i możliwościach zrozumienia procesów społecznych, o kulturze nie wspominając. Jednak warto się zastanowić nad wprowadzeniem cenzusu kwalifikacji określającego szczeble kariery politycznej kandydatów, od samorządów zaczynając. Świadomy wyborca chciałby wierzyć, że kandydat wykazał wysiłek edukacyjny, by zdobyć umiejętności

► Natomiast podkupywanie posłów stało się już tradycją i koszmarem szefów partii. A polityczni nomadzi najczęściej tłumaczą swoje slalomy partyjne prostolinijnością.

Andrzej Lepper próbował sobie z tym radzić, żądając, by każdy członek Samoobrony, który startował w wyborach, podpisywał weksel obligujący go do nieopuszczania partii pod rygorem przekazania na cele charytatywne całej czteroletniej pensji. Ale nawet to nie zniechęciło PiS do pamiętnej oferty transferowej, a rozmowy Adama Lipińskiego z Renatą Beger można było oglądać w telewizji.

Dłuższe posiadanie mandatów poselskich i senatorskich utrwala u ich posiadaczy przekonanie, iż „wyszli z ludu”, by do niego więcej nie wrócić.

Dlatego najwyższy czas, by w oparciu o prawo pomóc parlamentarzystom odzyskać przyzwoitość przynajmniej w tej sferze.

8. Kadencyjność posłów i senatorów

Na początku 2018 r. posłowie uchwalili dwukadencyjność wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. W uzasadnieniu wskazywali, że „wprowadzone ograniczenia mają na celu m.in. wykluczenie zjawisk niepożądanych. Takimi zjawiskami może być powstanie szeroko rozumianych powiązań korupcyjnych, powstawanie grup interesów, niekoniecznie związanych z rozwojem gminy czy miasta”. Wypominali, iż władarze gmin sprawują swoje funkcje przez kilkanaście, niekiedy ponad 20 lat, a rekordziści zaczęli je pełnić jeszcze jako naczelnicy miast czy gmin w PRL. Żadnemu z głosujących nawet przez myśl nie przeszło, by analogicznie uzasadniając, podobnie uregulować kwestię mandatów poselskich i senatorskich.

Można odnieść wrażenie, że dłuższe posiadanie mandatów poselskich i senatorskich utrwala u ich posiadaczy przekonanie, iż „wyszli z ludu”, by do niego więcej nie wrócić. A jedyną obawę stanowią dla nich kolejne wybory.

Podczas pierwszej kadencji poseł zdobywa doświadczenie i wiedzę

parlamentarną. Fachowo zaczyna pracować w drugiej. W trzeciej ma szansę uczestniczyć w finalizowaniu dotychczasowego wysiłku. I na tym powinna się kończyć jego sejmowa działalność. Jeśli rzeczywiście czułby potrzebę aktywności społeczno-politycznej, to mógłby startować na senatora lub w wyborach samorządowych, w których jego dotychczasowe doświadczenie z pewnością by doceniono. Oczywiście jeśli w ciągu kariery parlamentarnej utrzymywał kontakt ze swoimi wyborcami.

Takie ograniczenie odświeżałoby parlament, a zwłaszcza Sejm,

i umożliwiałoby rozwijanie karier politycznych najzdolniejszym działaczom partyjnych młodzieżówek. Oczywiście trzy-, najwyżej czterokadencyjność nie dotyczyłaby liderów partyjnych, których trudno sobie wyobrazić poza parlamentem.

Z kadencyjnością parlamentarną wiąże się także PESEL kandydatów. Tu byłoby wskazane wziąć przykład z Kościoła katolickiego, w którym biskupi muszą przechodzić na emeryturę po ukończeniu 75 lat, i nie umieszczać na listach kandydatów zbliżających się do tego wieku.

9. Pozbawienie prawa do głosowania Polaków stale zamieszkających za granicą

To najbardziej kontrowersyjny temat. Jest pochodną pojawiającej się w bieżącej kampanii prezydenckiej propozycji ograniczenia świadczenia z programu Rodzina 800+ tylko do pracujących rodziców. W populistycznym podtekście nawiązywała ona przede wszystkim do uchodźców z Ukrainy. „Ukraińcy, którzy pracują, zwiększają budżet polski o 15 mld zł rocznie. Tyle do niego mniej więcej z podatków od nich wpływa. 800+ dla dzieci ukraińskich kosztuje 2,8 mld zł”, zwrócił uwagę marszałek Sejmu.

No właśnie. A jakie korzyści wpływają do budżetu od Polonii? Dlatego warto się zastanowić, czy

posiadający obywatelstwo polskie rodacy stale mieszkający za granicą i tam płacący podatki powinni uczestniczyć w wybieraniu władzy ze świadomością, że jej decyzje nie będą ich dotyczyć? Ani nie wpłyną na ich dobrobyt i bezpieczeństwo.

10. Podatek kościelny

Znacząca większość polskich parlamentarzystów deklaruje swoją religijność. Często podkreślają to i, pamiętając dyskryminujące niewierzących i innowierców hasło „Dobry Polak to katolik”, wołają z hierarchami tej instytucji nie zadzierać. A licząc na poparcie wyborcze, głosują za finansowaniem z budżetu państwa kolejnych potrzeb Kościoła katolickiego.

Oczywiście pomoc państwa w konserwacji zabytkowych obiektów sakralnych będących częścią narodowej kultury materialnej nie podlega dyskusji. Jednak, pomijając wszelkie budzące emocje próby ingerencji Kościoła w politykę, nadszedł czas, by duchownych finansowali wierzący. Wzorem wielu państw należy wprowadzić podatek kościelny – stabilne źródło, z którego duchowni mogliby czerpać środki na utrzymanie świątyń, pensje swoje i katechetów oraz prowadzenie szkół, szpitali, domów opieki i instytucji charytatywnych.

Ta obowiązkowa danina w postaci określonego procentu od wynagrodzenia wpływałaby do związków wyznaniowych wskazywanych pracodawcy przez pracowników lub w PIT. A dla sprawiedliwości społecznej – od niewierzących należałoby pobierać taki sam procent, przeznaczany na wskazane przez nich instytucje i organizacje.

Tu warto dodać, że np. w Niemczech poborem podatku kościelnego zajmują się urzędy skarbowe, a beneficjenci za tę usługę płacą państwu prowizję 2-4% zebranych kwot.

Może powyższe, utopijnie umorusane przemyślenia na tzw. chłopski rozum, którego chyba zaczyna brakować na ulicy Wiejskiej, sprowokują kiedyś odważniejszych polityków do refleksji? Lub chociaż do dyskusji?

Wiesław Gałązka jest dziennikarzem i publicystą, byłym wykładowcą akademickim, konsultantem politycznym

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Ołtarze tolerancji

Ołtarze wznosimy z myślą o ofiarach. Jakie ofiary należy składać na ołtarzach tolerancji, oddając cześć zasadzie, która prowadzi – jak zakładamy – najkrótszą drogą do rajów wolności? Wydawałoby się, że powinna to być miłość własna, a wraz z nią zadufanie i zacierzwienie. Czy nas na to stać?

We wspomnieniach z ubiegłego lata utkwiał mi pewien szczegół. Štefan Kuffa, przedstawiciel słowackiego rządu (sekretarz stanu w jednym z ministerstw), został w sierpniu pobity kijami, kiedy zaprotestował przeciwko wpuszczaniu dzieci na spektakl „Moje dziecko” (ukazujący w pełnej bardzo „dorosłej” szacie – także językowej – problemy LGBT), wystawiany w sierpniu w miejscowości Malá Franková przez artystów Słowackiego Teatru Narodowego z Koszyc. Przedstawienie – warto wspomnieć – było przeznaczone wyłącznie dla osób dorosłych.

Tolerancja jest oczywiście jednym z idiomów sakralnego języka autentyczności. Oto przykład „tolerancji” środowisk artystycznych, gniewnie broniących przywileju mówienia prawdy. Niestety, przywołany obrazek przywodzi na myśl znane powiedzenie dotyczące samochodów Forda: „Pojazd w dowolnym kolorze, pod warunkiem że to będzie kolor czarny”. Podobnie – jak się okazuje – bywa z prawdą: „Przyjmijmy każdą prawdę, pod warunkiem że zgadza się ona z naszymi poglądami”.

Kije były w robocie nie tylko na Słowacji i nie tylko ubiegłego lata. Tak to z tolerancją bywa – upajamy się wielkimi słowami, a czyny idą własną drogą. Wymownie o tym świadczy przykład najbardziej tolerancyjnego – tak na ogół myślimy – kraju na świecie, a więc Polski. Przypomnę tu słowa Cypriana K. Norwida, który w liście do Julii Jabłonowskiej, snując swoją refleksję na temat zacności Polaków, odnotował: „X. P. S k a r g a, jezuita, zagrożony kijami od dobrych Polaków, kiedy schodził z mównicy, z której prorokował (...). A d a m M i c k i e w i c z, łżony jako zły Polak w Dreźnie, skoro nie przybył na powstanie w Neapolu i nie dotknął się powstania, w które nie wierzył (...). Władysław hrabia Zamoyski, uderzony kije m przed Kościołem Św. Magdaleny w Paryżu od walecznego Polaka”. Towiańczycy, jak wieść głosi, odbywali w Paryżu specjalne wizyty wychowawcze, strasząc pobiciem przeciwników zacnego pana Andrzeja. Nie popadajmy jednak w nadmierne przygnębienie – gen zakłamania wykonuje swą pracę w szerszej przestrzeni.

John Locke, święty mąż liberalizmu, uważał, że tolerancja nie powinna dotyczyć katolików, gdyż są nietolerancyjni. Najciekawsze rzeczy dzieją się dzisiaj – zasada tolerancji dogorywa na naszych oczach. Zastępuje ją gniewne i mściwe zacierzwienie. Nowy kierunek wyznacza ultraliberalizm, który, absorbując energię gniewu, przesunął program wolności na tory przemocy i nieprzejednania. Żyjemy w epoce „przebudzonych” – koncepcja emancypacji załamała się pod własnym ciężarem. Brytyjski filozof eseista John Gray przedstawia wokeizm jako plagę uderzającą w podstawy porządku wolności. Ogłaszane w roznamietnieniu rachunki krzywd rodzą fałszywe poczucie świętości. U podstaw jest mistyka męczeństwa – mistyka krzyża. Gray wyjaśnia: „Współczesny ideał autokreacji, który osiągnął autodestrukcyjną apoteozę na ultraliberalnym Zachodzie, to zapomniana teologia przefiltrowana przez romantyczny kult oryginalności”. W ten sposób

zaczynają się igrzyska zacierzwienia – demaskowanie niewiernych zabarwia się religijnym patosem ostatecznej słuszności. Mściwość i złość przy-

wdziewają szaty świętości. „Ukryci heretycy muszą być ścigani, dręczeni i niszczeni. Możliwość prześladowania jest jedną z atrakcji ultraliberalizmu”.

W pogoni za świętością „przebudzeni” wciąż są na linii startu, ich pasja mówi nadal dość cichym głosem. Co przed nami? Największe wrażenie robiły na mnie zawsze ofiarnicze rytuały Azteków: wydarte z piersi serca, strumienie krwi na ołtarzu, dystybcja rozczłonkowanych ciał – Aztecy byli przekonani, że poprzez okrucieństwo naśladowali bogów. Co myślą nasi „przebudzeni”?

Jak mamy rozumieć zamęt, który zapanował pośród radykalnych wyznawców wolności? O co toczy się walka? O idee? Raczej nie. Czesław Miłosz, podsumowując swoje kalifornijskie doświadczenia, zauważył, iż furia autentyczności tak naprawdę podszyta jest nihilizmem – sprzyja unicestwieniu idei podmiotu. Nastawienie na emocje i rozkosze odczuwania (kult wrażliwości!) sprawia, że człowiek zmienia się – jak pisał poeta – w „wiązkę wrażeń pokrytych epidermą”.

Czego pragną „przebudzeni”? Lepszego świata? Chyba nie, bo poza sobą żadnego świata nie widzą. Dziś – z pewnością słusznie – nie mówimy już o socjalistach, swoją uwagę poświęcamy lewicy. Socjaliści bronili pewnej koncepcji wspólnotowości. Dzisiejsza lewica to już inny akapit. Jej patronem jest Narcyz – opiekun przebudzonych. ■

Kto komu powinien dziękować

Władysław Gomułka: polityka Becka uratowała ZSRR

Pisać wspomnienia Władysław Gomułka zaczął w roku 1972 i spisywał je do początków 1981 r., gdy choroba nie pozwoliła mu pracować. Tekstowi poświęcał kilka godzin dziennie, systematycznie, cztery razy w tygodniu. W ten sposób zapisał ponad 1,8 tys. stron. Ręcznie, czytelnym, kaligraficznym pismem. Praktycznie bez skreśleń ani poprawek. Miał więc gotowy tekst już w głowie, wcześniej przemyślany i uporządkowany.

Przed śmiercią (1 września 1982 r.) mówił rodzinie, że na publikację tych wspomnień jest jeszcze za wcześnie. Dlatego dopiero w roku 1991 r. zostały one opracowane i zredagowane przez prof. Andrzeja Werblana, a rok później je wydano.

Cytowane fragmenty pochodzą z I tomu „Pamiętników”, z rozdziału VI „ZSRR i KPP a sprawa niepodległości Polski”, z podrozdziału „Co ZSRR zawdzięcza polityce Józefa Becka?”.

Przemyślenia Gomułki dotyczące Becka i paktu Ribbentrop-Mołotow wywołały sensację, padały wręcz stwierdzenia, że takie opinie nie mogły wyjść spod jego pióra. To niepotrzebne zdumienie – Gomułka, powtórzmy, pisał ręcznie, a w wielu innych sprawach dotyczących ZSRR prezentował podobny punkt widzenia. Oraz żelazny realizm polityczny.

Robert Walenciak

Patrząc z dzisiejszej, czyli z powojennej, perspektywy na wydarzenia międzynarodowe rozgrywane się pod koniec lat 30., nie może ulegać wątpliwości, że:

- po pierwsze, ówczesny rząd sanacyjny – podobnie jak cała Polska – był żywotnie zainteresowany w utrzymaniu pokoju, prowadząc politykę neutralności, pragnął uchronić Polskę przed wplątaniem jej do wojny, nie chciał się wiązać sojuszem z Niemcami przeciw ZSRR ani nie uważał za możliwe i korzystne dla Polski zawarcie ze Związkiem Radzieckim sojuszu skierowanego przeciwko Niemcom;

- po drugie, wobec układu sił istniejącego w 1939 r. między Polską a Niemcami oraz wobec ograniczenia się Francji i Wielkiej Brytanii jedynie do formalnego wypowiedzenia wojny Niemcom w trzy dni po ich napaści na Polskę i niepodjęcia przez te państwa działań wojennych ani na froncie zachodnim, ani na terytorium Niemiec przez cały okres ich rozprawy wojennej z Polską, klęska wrześniowa Polski była rzeczczą nieuniknioną. Musiała ona nieuchronnie nastąpić, nawet niezależnie od podjęcia w dniu 17 września radzieckiej interwencji zbrojnej przeciw Polsce oraz niezależnie od tego, jaki rząd – sanacyjny, antysanacyjny czy jedności narodowej – znajdowałby się w tych latach u steru władzy państwowej.

Po odbudowaniu militarystyki niemieckiej – w rezultacie czego poprzez demilitaryzację Nadrenii oraz włączenie Austrii do Niemiec doszło do układu monachijskiego i zagarnięcia przez Hitlera wpięć Sudetów, a później całej Czechosłowacji – sytuacja Polski stała się beznadziejna, nie było żadnej możliwości uratowania jej przed zagładą. W 1939 r. Polska stanęła przed alternatywą: albo wzorem Czechosłowacji skapitulować przed Niemcami, zdać się na łaskę i niełaskę Hitlera i w ten sposób zginąć jako niezawisłe państwo, albo podjąć, bez najmniejszych szans zwycięstwa, wojnę z Niemcami i w ten sposób zginąć z bliżej nieokreśloną nadzieją na korzystny dla Polski rozwój wydarzeń historycznych.

(...) Na kapitulację Polski przed Niemcami nie pozwalał charakter narodowy Polaków, nie pozwalały dominujące w narodzie polskim wiekowe tradycje walk o wolność i niezawisłość Polski. I niezależnie od tego, jaki rząd sprawowałby władzę w Polsce w tym okresie, musiałby odpowiedzieć na roszczenia Niemiec hitlerowskich wobec Polski tak, jak odpowiedziało ówczesne sanacyjne kierownictwo państwa polskiego.

(...) Możliwości polityki zagranicznej Polski przedstawianych w uchwałach KC KPP ani sanacja, ani opozycja nie mogły w ogóle brać pod uwagę. Mogły jedynie widzieć

w nich wyraz dążeń i zamiarów Związku Radzieckiego wobec Polski, zmierzających do przekształcenia jej w republikę sowiecką, wchodzącą w skład ZSRR. Ale po układzie monachijskim i takie rozumowanie stało się fałszywe. Nie wiemy wprawdzie, jakie hasła rzucałaby w tym czasie KPP, została bowiem przedtem rozwiązana, jednakże ani poprzednie jej dążenia – zawsze zresztą nierealne – do rewolucji proletariackiej i zbudowania na gruzach Polski burżuazyjnej Polskiej Republiki Rad – ani też rzucone przez nią hasło sojuszu polsko-radzieckiego skierowanego przeciw Niemcom hitlerowskim nie leżały już w interesach Związku Radzieckiego, były dla niego wybitnie szkodliwe.

Państwem, które po układzie monachijskim mogło być najbardziej przeciwnie porozumieniu między Polską a Związkiem Radzieckim, zawarciu między nimi sojuszu gwarantującego ich wzajemne bezpieczeństwo, wspólne przeciwstawienie się agresji hitlerowskiej – był właśnie Związek Radziecki. Wprawdzie myśl o sojuszu ze Związkiem Radzieckim była dla rządu sanacyjnego – podobnie zresztą, jak i dla wszystkich zwalczających go partii opozycyjnych – nie do przyjęcia, przede wszystkim ze względu na roszczenia radzieckie wobec pozostających na mocy traktatu ryskiego pod panowaniem Polski tzw. Kresów Wschodnich. Jednakże w tym czasie wszelkie

5 maja 1939 r. minister spraw zagranicznych Józef Beck wygłosił w Sejmie przemówienie, w którym zapowiedział, że Polska nie zgodzi się na żądania terytorialne Niemiec.



zbliżenie polsko-radzieckie było dla Związku Radzieckiego stokroć bardziej nie do pomyślenia. Związek Radziecki mógł widzieć w sojuszu z Polską tylko pętlę zakładaną na własną szyję i za żadną cenę, nawet za dobrowolne oddanie mu przez Polskę ziem zachodniej Ukrainy i Białorusi, na antyhitlerowski sojusz z Polską nie wyraziłby zgody. Sojusz taki wyznaczałby bowiem jednoznacznie kierunek kolejnego uderzenia Niemiec hitlerowskich, sprowadziłby niechybnie ich najazd na Polskę i na Związek Radziecki, przy zachowaniu całkowitej neutralności przez Anglię, Francję i wszystkie państwa zachodnie. Dla Stalina było to jasne jak słońce.

Antyhitlerowskie porozumienie czy sojusz polsko-radziecki – czego tak natarczywie, demagogicznie i zarazem oszukańczo domagało się kierownictwo KPP – nie stanowiło w ogóle jakiegoś problemu dla Stalina. Wykluczał on bowiem taką możliwość i mógł do tego nie dopuścić. Natomiast nie mógł przeszkodzić rządowi polskiemu w zawarciu anty-radzieckiego porozumienia z Niemcami hitlerowskimi w przypadku, gdyby rząd ten kierował się w swej polityce takimi intencjami. Ta właśnie okoliczność stawiała Stalina przed prawdziwym dylematem, rodziła największe obawy Związku Radzieckiego, determinowała jego politykę zagraniczną, zwłaszcza w stosunku do Niemiec hitlerowskich w okresie

pomonachijskim. Wystarczy wspomnieć pierwsze tygodnie wojny radziecko-niemieckiej w 1941 r., błyskawiczną ofensywę hitlerowskiego Wehrmachtu, prawdziwy pogrom Armii Czerwonej, otoczenie przez Niemców i zagarnięcie w niewolę w początkowej fazie wojny ponad 2 mln żołnierzy radzieckich – by wyobrazić sobie, co stałoby się ze Związkiem Radzieckim, gdyby rząd sanacyjny przyjął sugestie Ribbentropa i Hitlera, związał Polskę z Niemcami anty-radzieckim przymierzem i oba te państwa uderzyły na Związek Radziecki w 1939 r., tj. wówczas, kiedy Niemcy uderzyły na Polskę dlatego, że nie chciała zmienić sojuszu, nie chciała kapitulować przed rządami Hitlera.

Są fakty historyczne, których znaczenie jest wprost niewymierne dla losu państw i narodów. Nie ulega chyba wątpliwości, że rozgromienie Niemiec hitlerowskich uratowało naród polski przed skarleniem, uciemiężeniem, zniszczeniem. Jest faktem niezaprzeczalnym, że wkład Związku Radzieckiego w zwycięstwo nad Niemcami w II wojnie światowej był ogromny. A zatem Związek Radziecki w olbrzymim stopniu przyczynił się do uratowania narodu polskiego przed losem, jaki szykowała mu III Rzesza Hitlera. Wielokrotnie podkreślało się to publicznie w naszym kraju, mówi się o tym i dzisiaj przy różnych okazjach. Jest to bowiem fakt historyczny, budzący głęboką

wdzięczność Polaków dla Związku Radzieckiego. Ale chyba również nie ulega wątpliwości i to, że odrzucenie przez naród polski przymierza z hitlerowskimi Niemcami skierowanego przeciw ZSRR – dokonane przez rząd sanacyjny, który w tym przypadku postąpił zgodnie z wolą całego społeczeństwa polskiego – uratowało Związek Radziecki przed klęską wojenną i nieobliczalnymi jej następstwami. Nie trzeba udowadniać ani tego, że wspólna niemiecko-polska agresja przeciw ZSRR spotkałaby się z aprobatą mocarstw zachodnich w formie ich neutralności, ani też tego, że Związek Radziecki nie byłby w stanie oprzeć się takiej agresji, musiałby upaść pod ciosami agresorów.

Tak więc nie tylko Polska powinna żywić wdzięczność dla Związku Radzieckiego za jego wkład w zwycięstwo nad Niemcami hitlerowskimi, lecz także Związek Radziecki winien widzieć i docenić, jak wielką przysługę oddała mu Polska przez odrzucenie proponowanego jej przez Niemcy hitlerowskie współdziałania przeciw ZSRR. Niestety, o tym drugim fakcie historycznym w Związku Radzieckim mówić nie wolno. Wiadomo z jakich powodów. Nie chciał Beck wraz z całym rządem sanacyjnym wprze gnąć Polski w antyradziecki rydwan Hitlera. Stalin odpłacił za to Polsce paktem Ribbentrop-Mołotow.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Co by na to powiedział Witkacy?

Był zbyt zajęty ontologią, pracami filozoficznymi, naprawdę istotnymi dla ludzkości kwestiami, żeby dać się wciągać w polityczną bieżączkę

PRZEMYSŁAW PAWLAK

– witkacolog, autor książki „Witkacy. Biografia”

Rozmawia Wojciech Kuczok

Zacznijmy od końca, by znaleźć początek. W załączniku do biografii Witkacego zatytułowanym „Grochem o ścianę, czyli niezrozumiałość” zebrał pan fragmenty najbardziej zjadliwych tekstów, które napisali o Witkacym jego współcześni. Obok bzdur krytyków, których nazwiska zatoneły w pomroce dziejów, mamy tam złośliwości spisane piórami całkiem szlachetnymi: Karola Irzykowskiego, Witolda Gombrowicza, Leona Chwistka, Emila Breitera. Powiedzieć, że go nie rozpieszczali, to nic nie powiedzieć. Kto zatem tak naprawdę „odkrył” Witkacego, kto przyczynił się do tego, że w powszechnej świadomości zamiast jako „wariat z Krupówek” funkcjonuje jako tytan intelektu i wybitna postać polskiej kultury? Czy zrobił to dopiero Konstanty Pużyna?

– Zasługą Pużyny było niewątpliwie dwutomowe wydanie dramatów Witkacego w PIW w 1962 r. i napisanie do niego wstępu. Ale wcale mu nie było śpieszno – to zdaje się Jan Józef Lipski go do tego intensywnie „popychał”. Faktycznie, ogłoszenie tych tekstów drukiem w kilkutyśiecznym nakładzie sprawiło, że coraz więcej reżyserów teatralnych zaczęło sięgać po Witkacego

i stopniowo rozkręcała się jego „kariera sceniczna”.

Chociaż jeśli chodzi o osoby, które go na scenę wprowadzały, w Warszawie była to prawie zapomniana Wanda Laskowska – zrobiła w Teatrze Narodowym „Kurkę Wodną”. Zobaczył ją podobno Martin Esslin, twórca kategorii teatru absurdu, zachwycił się i zażądał kontaktu z autorem – nie mógł uwierzyć, że Witkacy już od dawna nie żyje. Uznał go zatem za światowego prekursora teatru absurdu w kolejnej edycji swojej książki o tym zjawisku. Po publikacji zbioru zachowanych dramatów rzeczywiście Witkacym zaczęli się zajmować: Anna Micińska, Janusz Degler, Lech Sokół, Jan Błoński. Potem ukształtowała się „międzynarodówka” witkacologiczna z Danielem Gerouldem, Alainem van Crugtenem, Vladimirem Dimitrijeviem, Heinrichem Kunstmannem czy Giovannim Pampiglionem i te sztuki zaczęły być wystawiane na świecie.

Przy czym Witkacy po wojnie wcale nie musiał być na nowo odkrywany. Mam już przeszło 250 stron

materiałów do książki pod roboczym tytułem „Recepcja, której nie było”, badam lata 1939-1956 – okazuje się, że wielu ludzi już wtedy zachwycało się i inspirowało witkacowską spuścizną. Zwłaszcza że jako jedyny w międzywojniu otwarcie wieszczył katastrofę ludzkości i przewidział ją nieomylnie. Nawet Karol Irzykowski, czyli rzekomo wielki przeciwnik Witkacego, w czasie okupacji prowadził o nim wykłady i ostatecznie docenił jego wielkość. Z kolei już w 1945 r. Zofia Nałkowska na łamach „Kuźnicy” żądała wydania dzieł zebranych polskiej awangardy: Witkacego, Gombrowicza i Schulza. W „Tygodniku Warszawskim”, wydawanym w latach 1945-1948 działał Jerzy Braun, przedwojenny wydawca i przyjaciel Witkacego, więc w piśmie też się na niego powoływano, dopóki całej redakcji nie wsadzono do więzienia.

W 1948 r. wydano pierwodruk „Szewców” i „W małym dworku” z postawami Władysława J. Dobrowolskiego – można to było bez przeszkód kupować w księgarniach przez półtora roku, zanim zdjęto z półek przez wtórne opinie cenzorów. Nawet po zadekretowaniu socrealizmu pojawiały się w oficjalnym obiegu pierwodruki witkacowskich tekstów

Przemysław Pawlak – kaliszczanin i warszawiak, absolwent SGH, stopień doktora nauk o sztuce uzyskał w Instytucie Sztuki PAN. Współfundator i prezes Instytutu Witkacego, pomysłodawca i wicenaczelnny półrocznika „Witkacy!”, zastępca kierownika działu literackiego Teatru Narodowego. Autor właśnie wydanej przez Iskry książki „Witkacy. Biografia”.



Witkacy z żoną, Jadwigą Unrużanką. Wedle zasad, które ustalił, ona musiała akceptować jego poliamorię, ale sam miewał piekielne ataki zazdrości o jej absztyfikantów.

– To była wizyta w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, ukończonym mieście mojej mamy. Byłem wtedy 10-latkim i zapamiętałem te sale z obrazami Witkacego, zresztą akurat przypadkiem oglądał wtedy te zbiory oprócz nas Ignacy Machowski, mama mi go pokazała, szepcząc, że to wielki aktor.

Uściślijmy, że chodzi o największą publiczną kolekcję prac plastycznych Witkacego. Co ciekawe, on sam nigdy w Słupsku nie był.

– Tak, są teraz w mieście nawet dwie tablice upamiętniające jego „niepobyty”. Na jednej z kamienic możemy przeczytać, że „Stanisław Ignacy Witkiewicz w dniach 5-15 lipca 1936 r. nie przebywał w tym budynku. Bawił bowiem w Jastarni, w Pensjonacie Gryf”. Witkacy trafił do Słupska dopiero pośmiertnie, za sprawą wizjonerskiej decyzji Janusza Przewoźnego, dyrektora muzeum, który w latach 60. odważył się zakupić część kolekcji Teodora Białynickiego-Biruli, który mieszkał nieopodal, w Lęborku. Pierwszy zakup to było 110 obrazów, potem zbiór sukcesywnie powiększano, teraz liczy ponad 270 portretów, rysunków, kompozycji olejnych i pamiątek

o sztuce i teatrze. Ale oczywiście wygodniejszy dla władzy ludowej był ojciec – Stanisław Witkiewicz. Pamiętajmy też, że w 1955 r. zaczął działać Teatr na Tarczyńskiej, gdzie m.in. Lech Emfazy Stefański i Miron Białoszewski wystawiali spektakle jawnie inspirowane teorią czystej formy. Stefański zresztą już jako 16-latek poszedł do powstania ze „Szkielcami estetycznymi” Witkacego jako jedyną książką w plecaku. Z kolei pierwszą pracę magisterską poświęconą wyłącznie pisarstwu Stanisława Ignacego Witkiewicza obronił w 1955 r. młody twórca STS, Andrzej Jarecki. W 1957 r. Władysław Tatariewicz i Tadeusz Kotarbiński brali udział w wydaniu książki pamiątkowej poświęconej Witkacemu. Sam

Witkacy jako jedyny w międzywojniu otwarcie wieszczył katastrofę ludzkości i przewidział ją nieomylnie.

Tatarkiewicz już pod koniec wojny, po powrocie do Krakowa, swoje pierwsze seminarium z estetyki poświęcił Witkacemu. Przed Puzyrą nie było zatem pustki, trudno go nazwać odkrywcą.

Reprezentuje pan kolejną generację witkacologów nad wyraz aktywnie, dość powiedzieć o prowadzeniu Instytutu Witkacego, pisma „Witkacy!” czy opracowaniu monumentalnej bibliografii na zakończenie edycji „Dzieł zebranych”. Czy pamięta pan swoje pierwsze „witkacowskie ukąszenie”?

po Witkiewiczach, przekazywanych sukcesywnie w darze przez stryjecznego wnuka Witkacego, Macieja Witkiewicza. Ale oprócz tego pierwszego wejrzenia w słupskie muzeum miało też znaczenie to, że w mojej domowej bibliotece znajdowała się „Sonata Belzebuba” z osobistą dedykacją Witkacego dla ks. Kazimierowicza: „Księdzu doktorowi nie z tego świata, a raczej z jednej z moich sztuk nienapisanych”.

Było biografistów wielu – nie jest pan pierwszym, który do spisania życia Witkacego się zabrał, należy ▶

► **wspomnieć choćby o Annie Micińskiej, Januszu Deglerze, Macieju Pinkwarcie, nawet Joanna Siedlecka go nie oszczędziła w książce „Mahatma Witkac”.**

– Siedleckiej akurat trzeba oddać sprawiedliwość, że wykonała bardzo dobrą robotę, bo dotarła do różnych świadków i świadki epoki, porozmawiała z nimi, choć niestety nie bardzo weryfikowała te opowieści. Kilka lat temu Iskry wydały też świetną rzecz Krzysztofa Dubińskiego „Wojna Witkacego, czyli kumbol w galifetach”.

– Dubiński jako jedyny uparł się i ustalił tyle, ile się dało, o tym, co robił Witkacy w czasie I wojny światowej i w czasie rewolucji w Rosji – wcześniej było to witkacologiczną białą plamą. Dzięki książce Krzysztofa nie musiałem brnąć w błędy, które wcześniej powielano, jak choćby to,

zadżgać – inaczej by nie przeżył. Co ciekawe, tego ani śladu choćby w jego w listach – wiadomo, że nie chciał do tego wracać.

Tym, co bez wątpienia wyróżnia biografię pana autorstwa, jest wyeksponowanie postaci matki – Marii Witkiewiczowej, dotąd pozostającej w cieniu wielkiego męża. Dzięki panu wreszcie dowiadujemy się o niej wielu szczegółów, przestaje być postacią anonimową, powiedziałbym nawet, że solidaryzujemy się z nią. Chociażby dlatego, że musiała znosić podwójne życie Stanisława, zakochanego z wzajemnością w pierwszej damie Zakopanego, Marii Dembowskiej.

– Paradoksalnie, wielki ojciec rzucał dotąd cień, mimo że od pewnego momentu przy Stasiu go nie było, a matka, choć tak intensywnie obecna w życiu syna, pozostawała jednak

deklasacja, ale nie tylko jej pisana – takich kobiet było w Zakopanem wiele. Zresztą te zakopiańskie pensjonaty podówczas były całkiem sporymi, świetnie prosperującymi przedsiębiorstwami o standardach, których byśmy i dzisiaj pozazdrościli. Już przed I wojną światową miały centralne ogrzewanie, także w korytarzach i łazienkach, telefon, menu dostosowane do zaleceń dietetyków, guwernantki dla dzieci, korty tenisowe, boiska do krokieta, a nawet parkingi i garaże. W średniej wielkości pensjonacie do obiadu zasiadało czasem 70 osób, jak u Aleksandry Parczewskiej, żony rektora wileńskiego Uniwersytetu Stefana Batorego, też w zasadzie porzuconej przez męża – wiele było zatem historii podobnych do losu Marii Witkiewiczowej. To były kobiety instytucje – Maria oprócz tego, że prowadziła pensjonat, udzielała lekcji muzyki, znajdowała jeszcze czas na organizację i dawanie koncertów, udział w akcjach charytatywnych, projektowanie haftów, hodowanie kur...

Stanisław prowadził podwójne życie, a Witkacy, choć od początku wziął stronę matki i pani Dembowskiej nie akceptował, sam w dorosłym życiu powtórzył ten model związku małżeńskiego. Wieloletnie małżeństwo z Jadwigą Unrużanką przetrwało tylko dlatego, że godziła się znosić wszystkie jego romanse – ba, bywało, że robiła za rozjemczynię i negocjatorkę w trakcie kryzysów jego związku z zamężną Czesławą Korzeniowską.

Jest tylko zasadnicza różnica między tymi scenariuszami. Witkacy i Jadwiga umówili się przed ślubem na ten rodzaj małżeństwa otwartego, a Maria Witkiewiczowa nie wiedziała, w co się pakuje. Poza tym Maria zupełnie nie znalazła oparcia w rodzinie Witkiewiczów, tymczasem Jadwiga była podejmowana w Zakopanem i akceptowana – aczkolwiek mieszkanie teściowej i synowej pod jednym dachem zawsze jest trudne, więc nie ma co się dziwić, że ostatecznie Jadwiga wolała mieszkać u siebie w Warszawie. Poza tym jednak Maria, o pokolenie starsza, miała dużo gorzej z ludzkimi językami wokół niż wyzwolona żona

Witkacy nie przeciw Legionom walczył, tylko przeciw niemieckim jednostkom, w bitwie nad Stochodem, z której wyszedł z nerwicą urazową.

że Witkacy w carskiej armii walczył przeciwko Legionom. Nie przeciw Legionom, tylko przeciw niemieckim jednostkom, w bitwie nad Stochodem, z której wyszedł z nerwicą urazową. Podczas konferencji w Słupsku Krzysztof wytłumaczył, jak faktycznie musiała wyglądać ta bitwa...

...co pan bardzo barwnie i z naturalistycznymi szczegółami opisuje w swojej książce. „Biegną, potykając się o trupy poprzedników. Mijają pagórki z ciał, porośniętych trawą, jak ser zżerane przez robaki (...). Kątem oka Stach widzi rozpryskującą się ziemię i wylatujące w powietrze nogi, korpusy”.

– To i tak delikatne opisy, Dubiński opowiadał rzeczy, od których słuchacze dostawali mdłości, np. o herbacie gotowanej na wodzie z trupa. No ale jakże sobie wyobrazić kilka tysięcy trupów, po których stąpają następne żywe trupy? To wszystko w lipcowym upale, zgniźnie i smrodzie. Witkacy przeżył szturm na okopy, a zatem na pewno musiał własnym bagnetem kogoś

w tym cieniu. Tymczasem to nie była postać anonimowa: multiinstrumentalistka, kompozytorka, pierwsza tłumaczka dramatów Szaloma Asza na polski. To można wyczytać z listów Stanisława Witkiewicza do syna, do których przecież Maria się dopisywała (przypomnę, że dotąd opublikowano tylko wybór z korespondencji znajdującej się w Muzeum Tatrzańskim i Instytucie Sztuki PAN). Jak się zacznie wyczytywać matkę z tych listów, to się okaże, że miała poczucie humoru, potrafiła się nabijać z niefrasobliwości męża, nie szyderczo, ale na tyle ciepło, na ile była w stanie, wiedząc, że się kocha w innej. W nieopublikowanych jeszcze listach Chwistków też znalazłem sporo informacji, np. o tym, że przez rok od wyjazdu Witkacego z Australii jego matka nie miała o nim żadnych wieści.

Relacje ludzi, którzy znali ją osobiście, nie potwierdzają opinii, jakoby miała być jakąś zgorzkniałą, złośliwą matroną prowadzącą pensjonat. Oczywiście to była dla niej

Witkacego – Zakopane nieustannie plotkowało o miłości jej męża i Marii Dembowskiej, a co gorsza, wchodząc do kościoła, patrzyła na ołtarz w kaplicy Matki Boskiej Różańcowej projektu Witkiewicza, w którym artysta wyrzeźbił klęczących u stóp Maryi św. Dominika i św. Katarzynę – te rzeźby miały twarze Witkiewicza i Dembowskiej. Delikatnie mówiąc, ojciec Witkacego wykazał się tu brakiem empatii.

Witkacy też empatią nie grzeszył, skoro rozmyślał o tym, żeby, po tym jak Jadwiga poroniła, umieścić płód w swojej kolekcji osobliwości...

– Tak, tego rodzaju zachowania każą dziś myśleć o Witkacym jako o jednostce „neuroróżnorodnej”, pewnie by mu zdiagnozowano spektrum albo zespół Aspergera. Ale jeśli wszystkich interesuje życie pozamążelskie Witkacego, warto by też dowiedzieć się czegoś o życiu intymnym Jadwigi Witkiewiczowej. Żenująco-zabawne jest to, że Witkacy ustalił zasady, wedle których żona musiała akceptować jego poliamorię, ale sam początkowo miewał piekielne ataki zazdrości o jej absztyfikantów. Skądinąd trudno mu się dziwić, Jadwiga wybierała sobie nie byle jakich adoratorów: przepyszny kawaler maltański Dominik Łempicki, Franciszek książę Radziwiłł – przy całej niechęci Witkacego do obnoszenia się z tytułami arystokratycznymi takie preferencje żony musiały go irytować.

„Jana Macieja Karola Wścieklicę” traktowano jako paszkwil na Witosa, chociaż Witkacy pieklił się na takie publicystyczne, płytkie odczytanie jego sztuk teatralnych.

Pieklił się na pewno bardzo ekspresyjnie, miał niesłuchanie plastyczną mimikę, co wiemy dzięki sporej liczbie utrwalonych fotograficznie min. Wiemy to także dzięki odnalezionym filmikom Augusta Zamoyskiego, na których Witkacy wyraźnie parodiuje warsztat aktorski gwiazd kina niemego. Szkoda, że nie skorzystał z okazji i zamiast zostać gwiazdą kina, zwił po kilku dniach z planu „Mogily nieznanego żołnierza”

Ryszarda Ordyńskiego, jednego z ostatnich polskich filmów niemych. Filmiki to zresztą bodaj ostatnie z dużych odkryć witkacologicznych. Czy wiadomo coś o nowych znaleziskach, oprócz tych, które znalazły się w tomie „Dzieł zebranych” zatytułowanym „Varia”?

– Nie traćmy nadziei. Ostatnim z odkryć jest korespondencja Witkacego z francuskim dostawcą pejotlu, Alexandre’em Rouhierem...

To, co się działo z polskim parlamentaryzmem przed zamachem majowym, na pewno Witkacemu doskwierało, raczej nie był zagorzałym przeciwnikiem zamachu.

Jego pejotl był zresztą trefny, Witkacy skarżył się na dolegliwości żołądkowe i „męczarnie fizyczne”, którymi przypłacił seanse pejotlowe po dostawie od Rouhiera.

– Tych listów może być nieco więcej, prawdopodobnie znajdują się jeszcze w Paryżu. Niedawno też we Lwowie, w archiwum Romana Ingardena, znalazła się koperta z ostatnią wersją „Błędnego koła Koła Wiedeńskiego” – rozprawy filozoficznej, która nie była znana Bohdanowi Michalskiemu, kiedy wydał „Zagadnienie psychofizyczne” i inne dzieła filozoficzne Witkacego. Ukraińskie archiwa to dobry trop, częściowo wciąż nieprzebadany. Oczywiście znajdują się wciąż nowe

ks. Kazimierowicza i być może jeszcze jakieś rękopisy.

O tym, że tzw. ludzkość jest w obłędzie, trudno dzisiaj zmilczeć w obliczu trumpizmu, kaczynizmu, rasizmu i innych koszmarów. Być katastrofistą to obecnie chłodny realizm. Często sobie komentuję w duchu rzeczywistość pytaniem, co by na to powiedział Witkacy. Jakie byłyby jego preferencje polityczne? Jakie były w 20-leciu?

O tym też nie wiemy wiele. Na kogo głosował(by) Witkacy?

– Przy okazji poprzednich wyborów przyszedł mi do głowy pomysł na panel dyskusyjny pod hasłem „Na kogo głosowałby Witkacy?”, ale wtedy błąd strach padł na naszą redakcję, że rozpęta się burza i nie dostaniemy dotacji. A propos – właśnie po raz pierwszy po sześciu latach nie otrzymaliśmy dotacji na wydawanie czasopisma „Witkacy!”. Wracając do polityki II RP – to, co się działo z polskim parlamentaryzmem przed zamachem majowym, na pewno Witkacemu doskwierało, raczej nie był zagorzałym przeciwnikiem zamachu. Maria Witkiewiczowa publicznie zabrała głos w obronie więźniów twierdzy brzeskiej, nie wiadomo, czy wbrew poglądom syna, który na ten temat się nie wypowiadał. Wiemy, że w latach 30. Witkacy wpłacał datki na uchodźców żydowskich z Niemiec. Z ludźmi, którzy tworzyli blok sanacyjny, był blisko. „Jana Macieja Karola Wścieklicę” traktowano jako paszkwil na Witosa, chociaż Witkacy pieklił się na takie publicystyczne, płytkie odczytanie jego sztuk teatralnych. Mam wrażenie, że zbyt był zajęty ontologią, pracami filozoficznymi, naprawdę istotnymi dla ludzkości kwestiami, żeby dać się wciągać w polityczną bieżączkę. Myślę, że dzisiaj mógłby oddać głos nieważny.

Wojciech Kuczek

Han Kang Lekcje greki

tłum. Justyna Najbar-Miller
W.A.B., Warszawa 2025



On – nauczyciel starożytnej greki dla kilku osobowych grup. Ona – była wykładowczyni literatury i poetka, teraz w jego klasie. On niemal całkiem stracił wzrok, ona, dotknięta mutyzmem, ma nadzieję, że martwy, obcy język obudzi w niej mowę, tak jak kiedyś, gdy była nastolatką, bańkę jej milczenia rozbił francuski. Ich historie tworzyłyby dwugłos, gdyby nie to, że tylko on opowiada swoją w pierwszej osobie. Ją obserwujemy: na lekcjach, na ciemnych ulicach Seulu, w też ciemnym, pustym mieszkaniu. Obrazy zmieniają się trochę jak wzory w kalejdoskopie, tego porównania używa zresztą autorka, przywołując wspomnienia kobiety. Nie nadała jej imienia, nauczyciel greki także jest bezimienny. Dwoje wrażliwych ludzi, których definiuje strata: fizycznej zdolności i bliskich, ukochanych osób; ich samotność jest dojmująca. Ze swojego świata są wyjęci, nieprzynależni, ale przez to mogą się stać bardzo bliscy czytelnikowi. Bo emocje przemawiają wprost. Tymczasem języki okazują się nieadekwatne, jak niemiecki migowy w Korei, albo przytłaczające.

Aleksandra Pańko

Magdalena Genow Złodziejka matek

Biurowe Literackie, Kolobrzeg 2025



Przymus bycia idealnym, albo chociaż dobrym, jest nieznośny. Ciężar bytu matki, żony w końcu człowieka przyniata. Trzeba więc o nim opowiadać mieszkanką lirycznego i brutalnego języka, zszywając ze sobą zdania delikatne jak dmuchawce i frazy pełne gorczy, którą daje dorosłość. „Złodziejka matek” zostaje w nas na długo i zmusza do zadania sobie kilku niewygodnych pytań. Ale obok trudnych tematów tętni tu życie – codzienność, która raz śmieszy, raz przytłacza. Książka Genow to dojrzała, świetnie napisana proza. Warto po nią sięgnąć, tym bardziej że nie wyszła ona w głośnym wydawnictwie.

Rafał Piłkuła

Sen na trzy kanapy

„Sen nocy letniej” bez malowniczego lasu i kolumn greckich? Niepoliczono realizacji teatralne, filmowe i telewizyjne sławnej fantazji miłosnej Szekspira przyzwyczaiły nas do takich dekoracji, tymczasem u Michała Zadary intryga rozgrywa się na trzech białych kanapach, od czasu do czasu wspomaganych paroma skromnymi detalami scenografii. No, jeszcze pod koniec goście Tezeusza i Hipolity moszczą się na widowni, wciągając tym sposobem publiczność w ceremonię zaślubin, której towarzyszy występ rzemieślników wystawiających na ich cześć tragedię o Pyramie i Tyzbe.

Trzy kanapy jak trzy kręgi bohaterów: świat fantastyczny z królem i królową elfów na czele, świat młodych zakochanych i zwaśnionych, świat ateńskich dostojników. Wszyscy na tych kanapach się tarmoszą, wyciągają, przepychają, budząc rozbawienie. Reżyser potrafi uruchomić wyobraźnię widzów, a dobierając wyśmienitą obsadę, zapewnił komedii pierwszorzędne wykonanie. Także technicznie, bo aktorzy grają po kilka ról, najwięcej Olga Boładź, której przypadło aż pięć, i Barbara Wysocka – cztery. Popisowym fragmentem przebiegankowym jest partia końcowa (w sztuce Szekspira to akt V), kiedy aktorzy bez mała sami siebie oglądają, jak choćby rewelacyjny w tym spektaklu Bartosz Porczyk (m.in. Spodek).

Przebieganki w „Śnie” mają długą tradycję – utarło się, że Hipolita gra Tytanię, a Tezeusz Oberona, lecz tu przebieganka ogarnia cały świat przedstawiony: 23 postacie gra siedmioro aktorów, i to w brawurowym tempie. Jednak nie tylko budząca podziw techniczna sprawność i otwarcie na piękno słowa oraz wyobraźnię są zaletami przedstawienia. Zadara idzie dalej, bo odwraca przyzwyczajenie do wyśmiewania rzemieślników ateńskich jako niezdarnych amatorów odgrywających byle jak krotoczwilę ku ucieście wyższych sfer. Tym razem to wyższe sfery poddaje się ośmieszeniu, ukazuje ich bylejałość, a nawet pewien prymitywizm, niezdolność odróżniania prawdziwych uczuć od pozoru. Zadara staje po stronie artystów i sztuki, a próżniacze elity wystawia na pośmiewisko.

Tomasz Miłkowski

William Shakespeare, „Sen nocy letniej”, reżyseria Michał Zadara, przekład sceniczny Maksymilian Nowak i Michał Zadara, Teatr Komedia, premiera 1 marca 2025

NA POWAŻNIE



Do zakochania jeden napój

Barwną i pełną zabawnych gagów operę komiczną wprowadziła do repertuaru scena Teatru Wielkiego w Łodzi. Są tu ładne dekoracje, eleganckie kostiumy, archaiczny samochód, nawet sztuki magiczne. Króluje jednakże włoski śpiew, w tym jeden z największych hitów operowych, aria Nemorina. A wszystko obraca się wokół miłosnego napoju, którego butelkę wystawiono we foyer.

Bronisław Tumitowicz

Gaetano Donizetti, „Napój miłosny”, reżyseria Wojciech Adamczyk, dyrygent Rafał Janiak, scenografia Marek Chowaniec, kostiumy Maria Balcerek, Teatr Wielki w Łodzi, premiera 22 marca 2025

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Dojrzewanie

Musk oświadczył, że „fundamentalną słabością zachodniej cywilizacji jest empatia”. Trump, Orbán, Erdoğan, Netanjahu, Kaczyński na pewno z nim się zgadzają. Hannah Arendt kiedyś napisała: „Śmierć ludzkiej empatii jest jednym z najwcześniejszych i najbardziej wymownych sygnałów kultury, która zaczyna staczać się w barbarzyństwo”. Tak, ludzkie zło to najczęściej efekt braku empatii, jej erozji. Pozbawiony empatii był faszyzm. Ani wielcy, ani mali zbrodniarze nie potrafili wczuć się w duszę innego człowieka. Musk ma o tyle rację, że po wojnie Europa nauczyła się empatii, stąd taka waga przywiązywana do każdego życia, zniesienie kary śmierci, opieka zdrowotna inna niż w Stanach. Musk uważa to za słabość – więc słabością jest niechęć do mordowania innych?

Mały zakładzik na Grochowskiej, ciemna dziupla z antyczną maszyną do szycia i z osobliwą siwą panią – naprawia się tu zużyte abażury. Mamy takie dwa od przedwojennych lamp. To ostatnie takie zakłady. Oddychać nimi i zapamiętać ich zapach, bo odchodzą. Nasze lampy są przedwojenne i taki zdaje się ten zakładzik. Zabawne, że nadal w określaniu przeszłości tak użyteczny jest termin „przedwojenny”. Wiadomo, że chodzi o II wojnę światową. Czy nie czeka nas nowe zdarzenie w skali światowej, które stanie się rowem tektonicznym dla nowego stulecia?

Nowo otwarty Kaufland, stanął obok naszego piękno-centrum handlowego Ferio, gdzie jest m.in. Carrefour, a najbliżej duży Lidl. Nic, tylko kupować i obżerać się. I hodować brzuchy, i wydawać majątek na żarcie. Obżarstwo stało się chorobą XXI w., panuje epidemia otyłości. Dramat z dziećmi. Są różne obżarstwa, cierpimy też na manię kupowania i mnożenia rzeczy. I tak bez litości grabimy i dewastujemy naszą planetę, w co Trump i nasza prawica nie wierzą. Planetę dał nam Bóg i możemy z nią robić, co tylko chcemy. Podpierają się tu Biblią, która, jak wiadomo, jest zupełnie nieekologiczna. W Księdze Rodzaju (Rdz 1,26) bowiem napisano: niech człowiek „panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym, nad bydłem, nad ziemią i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi!”. No to panujemy. Do czasu.

Antek, mój syn, był na komisji wojskowej – kategoria A. Nie narzekał. Teraz odbywa się to w sposób cywilizowany, bez rozbierania się. Ja nie mam dobrych

wspomnień. Ustawili nas w szeregu, nagich jak Pan Bóg stworzył, i kazali odciągać napletki. Upominali niektórych publicznie, że należy się lepiej myć. Teraz mamy kulturalne, indywidualne rozmowy. Nie można nie nazwać tego postępem. A czy jest postęp we wzajemnym zabijaniu się? Robi się bardziej precyzyjne. Nie spodziewałem się dożyć czasów, kiedy ważna część działań wojennych będzie prowadzona za pomocą dronów. Ani że, tak kiedyś nienawidząc służby wojskowej, napiszę, że rozwyzdrzonemu Antkowi nie zaszkodziłoby, gdyby go wzięli na jakieś wojskowe szkolenie. Byłe nie na długo. Młodszy Franek, inny niż Antek, chciałby się przeszkolić, ma bzika na punkcie broni. Szanuję to, ale się z tego nie cieszę.

Angielski serial „Dojrzewanie” („Adolescence”), cztery niemal godzinne odcinki (Netflix). Znakomity scenariusz i zdjęcia, znakomita reżyseria, także gra aktorów, też dzieci, genialna gra 14-latka, świetna sfera dźwięku. Odcinki

Śmierć ludzkiej empatii jest jednym z najwcześniejszych i najbardziej wymownych sygnałów kultury, która zaczyna staczać się w barbarzyństwo.

robione – nie do wiary – jednym ujęciem, bez cięć. Po kilku dniach obejrzałem serial po raz drugi, z takim samym zainteresowaniem i wzruszeniem. Jeszcze mi się coś takiego nie zdarzyło. Mam syna w wieku głównego bohatera, to wzmocniło odbiór. Widzę jednak, że obok zachwyty wiele komentarzy zwykłych „zjadaczy filmów” jest krytycznych. Trzeba mieć wrażliwość kalafiora, by nie przeżyć tego serialu – najwyraźniej to całkiem częste. Odnosi się on do jednego z dramatów naszych czasów. W nowej, wirtualnej rzeczywistości, na dobre i na złe, szamocą się nasze dzieci, a my stoimy z boku, patrząc na to bezradni. W serialu znakomita jest też materia, z której zrobiony został obraz, małe scenki, pogadywania. Cokolwiek innego po nim oglądam, wydaje mi się filmowo miatkie.

W PiS zawsze było wiele zapiekłej wściekłości, zdawało się, że nie może być więcej. Jak widać, może. Jeśli tak dalej pójdzie, dostaną tam wściekizny. To się stanie po klęsce Nawrockiego. I będą na nich głosować już tylko wściekli. To, że od zabójstwa prezydenta Adamowicza nikogo jeszcze u nas nie zamordowano na tle politycznym (jeśli to był mord polityczny, co niepewne), to doprawdy wielka zagadka.

Beata Dżon-Ozimek

Opole zastąpiło kilka lat temu aferą z plagiatorką, która została dyrektorką muzeum, a potem, pomimo wyroku sądu, przez cztery miesiące była wojewódzką konserwatorką zabytków. O plagiatach popełnianych przez ludzi nauki można przeczytać na Forum Akademickim dzięki m.in. pracy „łowcy plagiatów” – dr. hab. Marka Wrońskiego. Wiele uczelni ma w kadrze akademickiej takie osoby, którym nie po drodze z etyką, poszanowaniem praw autorskich, naukową rzetelnością, a mimo to wykładają, są wybierane na stanowiska zaufania społecznego.

Dr Magdalena Przysiężna-Pizarska została w styczniu br. przewodniczącą rady naukowej projektu pod nazwą „Millennium Piastowskie w Opolu – przygotowanie ekspozycji grodu na Ostrówku”. Adiunktka w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego ma tytuł Wykładowcy Roku 2023/2024 Uniwersytetu Dzieci, była członkinią Rady Programowej Instytutu Śląskiego, do niedawna kierowała badaniami archeologicznymi w katedrze opolskiej, gdzie zbyt szybko otrąbiła sensacyjne znalezisko, którego nie było. W 2023 r. w Instytucie Śląskim wydała przewodnik „Grodziska wczesnośredniowieczne na Opolszczyźnie. Miejsca pamięci po ośrodkach władzy wczesnośredniowiecznej i średniowiecznej na Śląsku Opolskim”. Ta 168-stronicowa książeczka zawiera wprowadzające w konfuzję opisy „miejsc pamięci”, w większości przepisane z biblii tego tematu, niedoścignionej książki Józefa Kaźmierczyka, Klemensa Macewicza i Sylwii Wuszków „Studia i materiały do osadnictwa Opolszczyzny wczesnośredniowiecznej” wydanej przez Instytut Śląski w Opolu w 1977 r. (nazwę ją dalej KMW).

Publikacja Przysiężnej-Pizarskiej to nie tylko zły przewodnik, pełen błędów, pomyłek, nieprawdziwych i nieaktualnych danych, z rysunkiem na okładce użytym bez wiedzy autora. Broszura jest przykładem bylejakości naukowej i redakcyjnej oraz swobodnego stosunku do poszanowania praw autorskich. Tymczasem Instytut

0 krok od plagiatu

Archeolożka z Opola nie dochowała naukowej rzetelności



Pierwsze badania powierzchniowe na nowo odkrytym stanowisku w Opolu przeprowadzone przez Ewę Matuszczyk-Rychlik z grupą studentów archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego, wrzesień 2023 r.,

Śląski w Opolu – poważna instytucja naukowa – uznał ją za ważną dla rozwoju badań archeologicznych.

Plagiat ukryty za spisem lektur

– Już wstęp do broszury podaje nieprawdziwe dane: „AZP 1970-1990”. W rzeczywistości badania Archeologiczne Zdjęcie Polski (AZP) zaczęły się w 1978 r. i na terenie województwa opolskiego były prowadzone jeszcze w 2014 r. Zgodnie z informacją kierownika Działu Archeologicznego Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Opolu archiwum liczy ok. 14 tys. kart opracowanych w ramach AZP. Do 2024 r. zarejestrowano mniej więcej tyle stanowisk archeologicznych o różnej chronologii, a nie podane przez autorkę 5 tys. – wskazuje Ewa Matuszczyk-Rychlik, archeolożka z 46-letnim doświadczeniem z Muzeum Śląska Opolskiego.

Wiele osób z opolskiego środowiska naukowego wypowiada się anonimowo, że książeczka jest napisana niedbale, że to plagiat. – Autorka powieliła układ opisu stanowiska/grodziska zastosowany w publikacji KMW, przedstawiając kolejność

poszczególnych pozycji – zaznacza Matuszczyk-Rychlik. – Gdyby zachowała opisy jak leci, napisała we wstępie, że wprowadzie były prowadzone późniejsze badania, ale postanowiła przypomnieć czytelnikom, co ta trójka napisała na temat grodzisk prawie 55 lat temu, ostatecznie można by to przyjąć – zastanawia się archeolożka, która pracowała także z autorami „Studiów...”, jest przywoływana w broszurze. Jako jedyna pod nazwiskiem mówi głośno o naruszeniach własności intelektualnej. – Każdy z nas ma prawo korzystać z różnych dokonań, opisów, po to powstają, do tego służą. Ale również w czymś popularnonaukowym istotne są bibliografia, źródło, cudzysłów, odniesienie – podkreśla. Bezbłędnie wyławia w broszurze z 2023 r. treści z KMW: – Archeologia posługuje się bardzo specyficznym językiem. Próba ucieczki od niego powoduje, że powstaje tekstowa głupota. Autorka jednak robi to, bo ma świadomość przepisywania. To proste zabiegi, np. jeśli w oryginale coś jest 300 m od kościoła, a 200 m od drogi, pisze najpierw o drodze, potem o kościele.

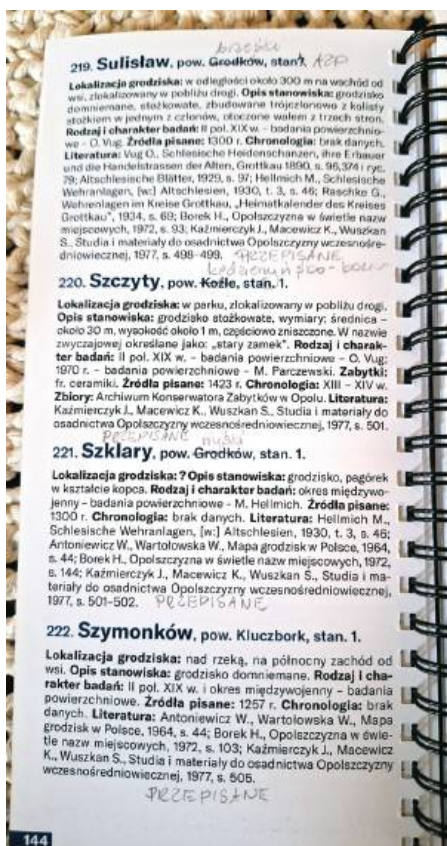
Lektura pozwala pytać o „plagiat ukryty”, „gdy autor włącza do

swojego utworu zmodyfikowane fragmenty cudzego utworu”, ba, gdy nie informuje „o istotnych założeń”. A co, jeśli to robi, ale podaje źródło w spisie lektur? Jak to nazwać? Czy to już nie jest kradzież własności intelektualnej?

Statystyka „zapożyczeń”

Statystyki „zapożyczeń” i błędów: na 266 pozycji katalogowych aż 175 zostało wprost przepisanych z KMW. Przewodnik, broszura popularnonaukowa, informacyjna, jak ją nazywają autorka i wydawca, zawiera wiele błędów rzeczowych – 55 razy pomyłono powiaty, zmieniono nazwy miejscowości i rzek, są opisy grodzisk z innych województw (sic!). Przy 96 pozycjach dodane są mapki bez jakiegokolwiek opracowania, z podaniem jako źródła kart badań Archeologicznego Zdjęcia Polski, choć 65 z nich pochodzi raczej z teczek stanowisk z rejestru zabytków województwa opolskiego. Doświadczony archeolog dostrzeże różnicę między mapkami i widzi całe przepisane z KMW opisy. Amatorowi to obojętne. W pięciu przypadkach autorka zamieściła informacje o grodzisku zarówno na podstawie karty AZP, jak i publikacji, pisząc o tych samych grodziskach w różnych miejscach broszury. Zapisuje „KZA”, Konserwator Zabytków Archeologicznych w Opolu, obecnie to Wojewódzki Urząd Ochrony Zabytków w Opolu lub Opolski Wojewódzki Konserwator Zabytków. Sięga po archiwalne numery wpływu do księgi inwentarzowej Muzeum Śląska Opolskiego dla zabytków sprzed 1945 r., które w ramach rejonizacji trafiły do muzeów w Brzegu, Nysie, Kluczborku czy Raciborzu.

„Jeśli jest to błąd, to chodzi o opis współczesny, chciałam zachować dane z momentu powstania dokumentu – tłumaczy autorka w mejlu. – Nie może być mowy o plagiatcie, w podanych przeze mnie stanowiskach archeologicznych opis stanowiska to opis źródeł archiwalnych i źródeł, z których korzystałam, a sama literatura stanowi połowę tego opisu. Pod każdym stanowiskiem jest podana



literatura. Pod ilustracjami znajduje się podpis, że z kart AZP, to nie jest publikacja naukowa, nie ma potrzeby umieszczania przypisów”.

Bardzo potrzebna i wartościowa

Na s. 13 mamy pozycję nr 9 – Biskupice, powiat Kluczbork. Jednak opis lokalizacji grodziska dotyczy miejscowości nad Czarną Strugą w powiecie konińskim (Wielkopolska) i jest identyczny z opisem na stronie Zabytek.pl, podobnie jak treść „rodzaju i charakteru badań”, a literaturę dotyczącą Opolszczyzny autorka miesza z literaturą dotyczącą wielkopolskich Biskupic. To ledwie jedno z kuriozów. Mimo to prof. dr hab. Hanna Kócka-Krenz z UAM w Poznaniu, autorytet polskiej archeologii wczesnośredniowiecznej, u której Przysiężna-Pizarska studiowała – i pod jej wpływem zajęła się właśnie tym okresem – napisała m.in.: „Zebranie wszystkich dostępnych informacji o grodziskach z omawianego terenu uważam za pracę bardzo pożyteczną, przydatną

Ewa Matuszczyk-Rychlik wyłapała w broszurze „Grodziska wczesnośredniowieczne na Opolszczyźnie...” wiele błędów i treści z KMW.

służbom konserwatorskim w opiece nad tymi obiektami”. Dodała, że stanowić to będzie „punkt wyjścia dla opracowań dotyczących charakteru osadnictwa w okresie umacniania się struktur plemiennych na Śląsku Opolskim oraz dla studiów nad organizacjami grodowymi w czasie formowania się państwa pierwszych Piastów, a także zagadnieniem przekształceń osadniczych w dobie średniowiecza”. Uznała, że praca nie stanowi plagiatu.

Dyrektor Instytutu Śląskiego dr Bartosz Kuświk informuje, że recenzenci dr hab. Marcin Bohm oraz dr hab. Mariusz Patelski nie tylko nie wnieśli zastrzeżeń do publikacji i dopuścili jej wydanie bez poprawek, ale nawet uznali, że praca jest „bardzo potrzebna i wartościowa”, a „zagadnienia poruszone w katalogu stanowią istotną część kultury materialnej i dziedzictwa Śląska Opolskiego”. Brzmi to jak środowiskowa solidarność. Gdy poprosiłam recenzentów o komentarz, po dwóch tygodniach odpisał mi Mariusz Patelski, który stwierdził, że nie pamięta szczegółowej treści recenzji.

Najważniejsze dla wydawcy było to, że broszura „pozwoli mieszkańcom naszego województwa na zlokalizowanie grodzisk w najbliższej okolicy i umożliwi obcowanie z historią w konkretnym miejscu, jakiego nie da żadna, nawet najlepiej przygotowana wystawa czy publikacja naukowa”. Mamy zatem przepis na edukację historyczną – wystarczy przewodnik marnej jakości, popularnonaukowa podróbka.

– Bohaterka artykułu jako nauczyciel akademicki Uniwersytetu Opolskiego powinna ewentualnie odpowiadać dyscyplinarnie za naruszenie praw autorskich innych osób. W świetle przytoczonych faktów sprawa wygląda jednoznacznie – uważa Marek Wroński. Dwoje żyjących autorów biblii z 1977 r. nie chce komentować tematu, podobnie autor rysunku na okładce.

b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Ostatnie ferie

Dwie warszawskie licealistki wyjechały do Zakopanego na ferie zimowe, by już nigdy nie wrócić do domu



Anna Gronczewska

Zaginione: Ernestyna Wieruszewska i Anna Semczuk
Data zaginięcia: 26 stycznia 1993 r.
Miejsce zaginięcia: Zakopane
Wiek w dniu zaginięcia: 17 lat
Rysopis w dniu zaginięcia: brak danych

Ernestyna Wieruszewska i Anna Semczuk miały po 17 lat. Uczyły się w trzeciej klasie IV Liceum Ogólnokształcącego im. Władysława IV w Warszawie. Były dobrymi uczennicami, nigdy nie sprawiały kłopotów.

– Były spokojne, odpowiedzialne – tak opowiadali o nich znajomi i nauczyciele. – Nie chodziły na imprezy, nie stosowały używek. Ernestyna jeździła na oazy, była bardzo religijna.

Ernestyna mieszkała w Legionowie, a Ania na Pradze-Północ. Dziewczyny zaprzyjaźniły się w trzeciej klasie liceum. Wcześniej nie miały bliskich relacji. Były tylko koleżankami z klasy. Zbliżyło je do siebie

zamiłowanie do gór. W ferie zimowe 1993 r. postanowiły wyjechać razem do Zakopanego. Do stolicy Tatr wybrały się już w piątek, 22 stycznia, zaraz po lekcjach, choć ferie zaczynały się w poniedziałek. Wcześniej zarezerwowały nocleg w Kościelisku. Ernestyna знаła to miejsce, ponieważ jeździła do tej gaźdżiny na oazy. Gaźdżinę znali też rodzice dziewczyny, dlatego zgodzili się, by Ernestyna pojechała tam z koleżanką.

Początek pobytu w górach nie zapowiadał niczego złego. Dziewczyny weszły na Gubałówkę, odwiedziły jaskinie Mroźną i Zimną. Potem jednak zmieniła się pogoda. Zaczął padać śnieg i warunki nie sprzyjały wędrownikom. Poza tym wiał silny wiatr i znacznie się ochłodziło. Koleżanki już wcześniej postanowiły, że pojadą do Zakopanego, by kupić bilet powrotny do Warszawy. W Zakopanem chciały też się spotkać ze znajomymi ze stolicy. Przed wyjazdem do Zakopanego zapłaciły za pobyt.

– Nie pójdziemy dziś w góry! – zapewniły zaniepokojoną gaźdżinę,

która czuła się odpowiedzialna za nastolatki.

Był wtorek, 26 stycznia 1993 r. Około godziny 9.00 dziewczyny poszły na przystanek w Kościelisku i autobusem dotarły do Zakopanego. Wieczorem ani Ernestyna, ani Ania nie wróciły do Kościeliska. Coraz bardziej zaniepokojona gaźdżina powiedziała o wszystkim córce, a ta powiadomiła Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe. Rano dziewczyn nadal nie było. Zaniepokojona kobieta zawiadomiła policję i zadzwoniła do rodziców Ani.

– Nie wiemy, dlaczego nie zadzwoniła do rodziców Ernestyny, których dobrze знаła – mówili potem policjanci. – Może wstydziła się, że nie dopilnowała ich córki?

W czwartek rodzice Ani i Ernestyny przyjechali do Zakopanego.

– Byliśmy tam natychmiast – mówiła potem Krystyna Wieruszewska, mama Ernestyny. Zauważyli, że rzeczy ich córek znajdowały się na parterze, a nie na pierwszym piętrze, w pokoju, który wynajmowały. Były

tam jednak wszystkie rzeczy dziewczyn: paszport, pieniądze, aparat małoobrazkowy marki Ricoh.

Rodzice poszli na zakopiański posterunek policji.

– Na pewno zatrzymały się u znajomych z Warszawy, z którymi miały się spotkać – przekonywał ich policjant. Inny funkcjonariusz mówił, że licealistki pewnie uciekły z domu. Jednak ich rodzice stanowczo zapewniali, że to niemożliwe.

Policjanci pojechali w końcu do Kościeliska. Przeszukali dom, w którym mieszkaly dziewczyny. Znaleźli ich ubrania, dokumenty, pieniądze. Ustallili też, że we wtorek, 26 stycznia, dwie dziewczyny kupily bilet powrotny do Warszawy. Czy były to Ania i Ernestyna? Początkowo nie odnaleziono osób, które tego dnia widziały przyjaciółki. Potem jednak znalazł się mężczyzna, który miał je spotkać.

– Wsiadały do czerwonego auta na zagranicznych numerach rejestracyjnych – powiedział policji. – Nawet je zapisałem.

Policja przekazała numery Interpolowi, jednak nie udało się ustalić właściciela samochodu.

O zaginięciu licealistek zaczęły pisać media. Pojawiał się w nich rysopis dziewczyn i zdjęcia. Zaczęli zgłaszać się kolejni świadkowie. Jeden miał je widzieć w czwartek, 28 stycznia. Podobno jechały pociągiem do Warszawy. Inny świadek twierdził, że podsłuchiwał rozmowę dwóch mężczyzn.

tylko torba. Przypuszczam, że złodziejowi chodziło jedynie o przedmioty należące do Ani.

Policjanci ustalili też, że synowi właścicielki pensjonatu w Kościelisku podobała się Ernestyna. Ta jednak odrzuciła jego zaloty. Podobno nie chciał tego przyjąć do wiadomości i groził dziewczynie. Pojawiła się więc hipoteza, że mógł z zemsty skrzywdzić licealistki. Jednak szybko obalono te przypuszczenia.

– Policjanci co pewien czas się do nas odzywają – mówiła mama Ernestyny. – Proszą nas o próbki DNA. Nie odmawiamy, mamy nadzieję, że córka się odnajdzie.

– Do tych nieporozumień doszło podczas wcześniejszego pobytu w Kościelisku. Gdyby Ernestyna czuła się zagrożona, to kolejny raz nie przyjechałaby do tego pensjonatu – twierdzili policjanci. – Poza tym chłopak miał mocne alibi.

Co więc mogło się stać z dziewczynami? Zaczęto spekulować, że może zostały wciągnięte do sekty. Ernestyna była bardzo religijna...

– Sprawdzaliśmy to dokładnie, przejechaliśmy Polskę wzdłuż i wszerz, gdzie my nie byliśmy – zapewniał Krystian Wieruszewski, ojciec Ernestyny. – W 1993 r., by szukać córki w sektach, założyliśmy nawet Ruch Obrony Rodziny i Jednostki.

Rodzice Ernestyny Wieruszewskiej wzięli udział w programie „Magazyn kryminalny 997” Michała Fajbusiewicza. Tam zobaczyli zdjęcie córki. Bardzo ich zaskoczyło. Ernestyna miała na sobie kurtkę, którą zabrała do Zakopanego.

– Zostało zrobione tuż przed zaginięciem albo już po – przekonywali.

Robert Leśniakiewicz, emerytowany funkcjonariusz straży granicznej, na stronie internetowej pisze, że ma

pewne podejrzenia dotyczące zaginionych licealistek.

– Zostały porwane przez członków albańskiej lub serbskiej mafii zajmującej się dostarczaniem Polek, Słowaczek, Czeszek, Ukrainek oraz Rosjanek do włoskich, austriackich i niemieckich burdeli. W ramach prowadzonego przeze mnie rozpoznania realizowanego przez tzw. białą wywiad na terenie Słowacji udało mi się uzyskać informacje o rozbiciu przez tamtejszą policję serbsko-albańskiego gangu zajmującego się handlem kobietami. Niestety, mój raport w tej sprawie poszedł do kosza, bo wedle oficjalnego poglądu moich szefów – mafii w Polsce nie było i nie ma (!), a to był błąd.

Dziewczyny były atrakcyjne. Ernestyna miała długie, rude włosy, niebieskie oczy i 170 cm wzrostu. Nosiła okulary. Ania była niższa, miała zielone oczy. Tak jak

koleżanka przykuwała uwagę chłopaków. Grała na pianinie, była bardzo inteligentna.

Kiedy zdjęcia dziewczyn pojawiały się w mediach, policja otrzymywała mnóstwo telefonów. Koleżanki rzekomo poznała m.in. kelnerka w Szczecinie, kontroler biletów w Nowym Targu. Miały być widziane w Częstochowie, Zielonej Górze, a nawet w San Marino i Hiszpanii. Rodzice dziewczyn, chwytając się ostatniej deski ratunku, odwiedzali jasnovidów. Jeden z nich powiedział, że ▶

W 2022 r. sprawą zaginięcia Ani i Ernestyny zajęło się Archiwum X.

– Jeden z nich opowiadał, że brał udział w porwaniu dwóch dziewczyn – wspominał świadek. – Miały zostać wywiezione za granicę...

Żadnej z tych informacji nie potwierdzono.

Ponad miesiąc od zaginięcia dziewczyn, 4 marca 1993 r. ktoś włamał się do auta ojczyma Anny Semczuk. Zginęła tylko znajdująca się w samochodzie torba. Był w niej paszport i pamiętnik Ani.

– W pojeździe były cenne rzeczy – mówił jeden z policjantów. – Zginęła

10 lat po zaginięciu Ani i Ernestyny w Tatrach została zgwałcona i zamordowana studentka z województwa lubuskiego. Katarzyna zginęła w Dolinie Choczołowskiej. 22-letnia dziewczyna poszła tam z 38-letnim Pawłem H., który podał się za przewodnika tatrzańskiego. Był recydywistą kilka razy skazanym za gwałt. Kasię zgwałcił i zabił w jednym z szałasów w Dolinie Choczołowskiej. Zaczęto się zastanawiać, czy mężczyzna miał coś wspólnego z zaginięciem licealistek. Tak jednak nie było.

► przyjaciółki poszły w góry w towarzystwie trzech chłopaków. Miałą zostać wepchnięte do kanionu znajdującego się 4 km od Zakopanego.

– Obie nie żyją – przekonywał kolejny jasnowidz. – Leżą gdzieś koło schroniska. Jedna ma pękniętą czaszkę, druga umarła ze strachu na serce.

Kolejny jasnowidz stwierdził, że żyją. Nie są już razem. Jedna jest w Zakopanem, druga na północ od Warszawy.

Najbardziej prawdopodobną wersją wydarzeń jest to, że zostały porwane i wywiezione do agencji towarzyskiej za granicę. Rodzice dziewczyn, ale też policja dotarli do ludzi z półświatka. Penetrowanie tego środowiska nie dało jednak rezultatów.

– Policjanci co pewien czas się do nas odzywają – mówiła prasie mama Ernestyny. – Gdzieś znajdują kości, czaszki, proszą nas o próbki DNA. Nigdy nie odmawiamy, bo ciągle mamy nadzieję, że córka się odnajdzie.

Fundacja ITAKA zorganizowała akcję, w której rodziny zaginionych

piszą listy. Odczytują je znani aktorzy. List rodziców do Ernestyny czyta Anna Dymna. „Droga, jedyna córeczko Tinko. Minęło już 27 lat, jak nasz dom jest złowieszczo pusty. Bywa w nim wielu ludzi, ale niestety nie słychać twojego głosu. Przywołujemy z pamięci twój uśmiech, który wlewał w nasze serca tyle spokoju. Choć minęło wiele lat, ciągle nastuchujemy twoich kroków i czekamy. Snuliśmy plany, że zdasz maturę, skończysz studia, założysz rodzinę. Będziesz podporą dla nas na starość. W nowym domu jest twój pokój, nie zmieniły się meble, a twój ulubiony miś czeka na ciebie. Spoglądasz na nas z obrazu, kolejny raz oglądamy album z twoimi zdjęciami. Najgorszy jest czas świąt. Świadomość, że w innych domach rodziny siadają do stołu, wszyscy są razem, jest dla nas nieznośną torturą. Też siadamy do świątecznego stołu z twoim zdjęciem. Składamy sobie życzenia, dzielimy się opłatkiem czy jajkiem. Ale zamiast radości są łzy. Wiesz, córeczko, stwierdziłam, że nieprawdą jest, iż czas leczy rany. Modlimy

się, córeczko, każdego dnia, by Bóg przywrócił nam ciebie. Być może u schyłku naszego życia ktoś utuli nasz żal. I pozwoli zaznać rodzicielskiego szczęścia”.

W 2022 r. sprawą zaginięcia Ani i Ernestyny zajęło się Archiwum X. Policjanci znów szukają świadków, którzy pomogliby ustalić, co stało się z dziewczynami.

– Osobom, które mają jakieś informacje, gwarantujemy pełną anonimowość – zapewniał inspektor Mariusz Ciarka, rzecznik prasowy Komendy Głównej Policji. Mówił też o tym, że jeżeli ktoś obawia się, że mógłby za ujawnienie prawdy ponieść odpowiedzialność karną, może liczyć na rozmowy i negocjacje.



Fragment książki
Anny Gronczewskiej
*Zaginieni. Historie
ludzi, którzy
przepadli bez śladu*,
Wydawnictwo RM,
Warszawa 2024

Twoje 1,5% to ocean radości, który daje siłę i nadzieję chorym dzieciom

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zgodnie z przewidywaniami komentatorów Izrael bezceremonialnie zakończył rozejm – wznowił mordercze bombardowania i ofensywę lądową, atakuje szpitale. Setkami giną cywile, w tym dzieci. Równocześnie, co w jakimś sensie umykało uwadze opinii publicznej w ogromie ludobójczej agresji na Gazę, od miesięcy trwają intensywne działania na okupowanym Zachodnim Brzegu. W operacjach wojskowych giną ludzie, dokonywane są masowe aresztowania. Element przemocy państwa izraelskiego na terenach okupowanych stanowią antypalestyńskie pogromy i inne akty bezpośredniej agresji, których sprawcami są izraelscy osadnicy (nielegalni w świetle prawa międzynarodowego). Atakują oni mieszkańców palestyńskich osad i wiosek, w pobliżu których pobudowano izraelskie osiedla. Jak to z pogromami bywa, atakujący są objęci nawet

Ten atak jest kolejną odsłoną systemowej przemocy okupacyjnej wobec Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu, co dokumentuje cały film „Nie chcemy innej ziemi”. Wyjaśnienia zdarzeń domaga się Amnesty International.

Przed kilkoma miesiącami w Polsce na osoby, które podpisały apel o równe standardy w stosowaniu prawa międzynarodowego (Izrael/Palestyna), posypały się gromy środowisk proizraelskich, nieporuszonych zbrodniami ludobójstwa w Gazie, o które premiera Netanjahu oskarża Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, wysyłając za nim list gończy. Z dzisiejszej perspektywy widać, że nawet określenie „podwójne standardy” jest nieadekwatne, bo Izrael nie przestrzega żadnych standardów prawa międzynarodowego, zbrodniczą politykę przykrywa zaś szantażem Zagładą i szafowaniem oskarżeniami o antysemityzm.

W Oscara pogromem

nie dyskretną, ale wręcz nachalną ochroną żołnierzy izraelskich, którzy zresztą niejednokrotnie biorą udział w aktach przemocy.

Przed miesiącem palestyński reżyser Hamdan Ballal został nagrodzony Oscarem za pełnometrażowy dokument „No Other Land” („Nie chcemy innej ziemi”), który zrealizował wraz z Baselem Adrą, Yuvałem Abrahamem i Rachel Szor. Film, koprodukcja palestyńsko-norweska, opowiada historię przyjaźni i wspólnego działania palestyńskiego aktywisty Basela Adry i izraelskiego dziennikarza Yuvała Abrahama, autorką zdjęć jest izraelska operatorka Rachel Szor, a powstawały one przez prawie 20 lat. W minionym tygodniu grupa kilkudziesięciu osadników izraelskich, w obecności żołnierzy IDF, zaatakowała mieszkańców wioski, w której mieszka Hamdan Ballal. Reżysera przed jego własnym domem, w którym schroniła się żona z trójką dzieci, pobili ludzie ubrani w mundury armii izraelskiej. Jak mówią mieszkańcy wioski, od czasu nagrodzenia filmu Oscarem groźby pod ich adresem się nasiliły, ataki stały się bardziej intensywne. Po pobiciu reżyser został zatrzymany przez żołnierzy izraelskich i uwięziony w areszcie w pobliskiej bazie wojskowej, gdzie bez pomocy medycznej, z zastrzygniętymi oczami, spędził ponad dobę w celi.

Jak podaje Al-Dżazira, „osadnika (głównego sprawcę ataku) można zobaczyć z innymi zamaskowanymi mężczyznami na szeroko rozpropagowanym nagraniu wideo z sierpnia, na którym grożą Ballalowi. »To moja ziemia, dostałem ją od Boga«, mówi osadnik na nagraniu, w którym używa również wulgaryzmów i próbuje zmusić Ballala do walki. »Następnym razem nie będzie miło«, dodaje».

Na atak wobec reżysera nagrodzonego Oscarem film dokumentalny można też spojrzeć w kontekście innego przerażającego i przemilczanego zjawiska, czyli tego, jak bardzo niebezpieczna jest praca przedstawicieli mediów w Strefie Gazy. Od października 2023 r. życie straciło tam ponad 200 dziennikarzy i dziennikarek. Palestyńskie Centrum Praw Człowieka w raporcie napisało m.in.: „Izraelska armia celowo atakuje dziennikarzy. Od pierwszych dni konfliktu obserwowano wyraźne i zamierzone ataki na przedstawicieli mediów, w wyniku których wielu zginęło lub zostało rannych, a los części pozostaje nieznany. Ponadto siły izraelskie już w pierwszym tygodniu wojny celowo niszczyły biura i siedziby mediów, mimo ich wyraźnego oznakowania oraz znajomości ich lokalizacji. W ciągu miesięcy trwania wojny działania izraelskiej armii wobec dziennikarzy były otwarte i systematyczne. Obejmowały one bezpośrednie ataki na dziennikarzy w terenie, prowadzące do śmierci, obrażeń i aresztowań, a także próby dyskredytacji ich reputacji poprzez łączenie z działaniami militarnymi lub oskarżanie o udział w walkach, co narażało ich na zabójstwa, zatrzymanie lub prześladowania”.

Kamizelka z napisem Press nie jest już osłoną, w relacjach izraelskich zbrodniczych działań najczęściej jest wskazaniem celu. Należy też pamiętać, że trwa ścisła blokada Gazy, dziennikarze z zewnątrz ani żadne media nie są tam wpuszczani, giną Palestynki i Palestyńczycy, którzy relacjonują wojnę Izraela („najbardziej demokratycznej i humanitarnej armii Bliskiego Wschodu”) z Palestyńczykami. Standardy już dawno nie żyją, zostały zamordowane. ■



Blokada mostu w Nowym Sadzie po katastrofie budowlanej na dworcu kolejowym, która kosztowała życie 15 osób.
15 listopada 2024 r.

Dokąd zmierza „bałkańska Katalonia?”

Czy na zgliszczach imperium Tity powstanie kolejne państewko, niepodległa Republika Wojwodiny?

Chrystian Ślusarczyk

Kolejne, ósme już, postjugosłowiańskie państwo na mapie Europy? Dziś takiego scenariusza nie można wykluczyć, choć jeszcze w listopadzie 2024 r. wydawało się to politycznym science fiction. Chorację, Słowenię, Macedonię Północną, Czarnogórę, Bośnię i Hercegowinę, Serbię oraz Kosowo wiele różni: język, wiara, historia, tradycja. Podobne różnice w pigułce spotkamy w Wojwodinie. Tam na obszarze 10 tys. km kw. za oficjalne uznaje się sześć języków: serbski, węgierski, chorwacki, rumuński, słowacki i rusiński.

Między habsburskim Zachodem a Bałkanami

Skąd ta wyjątkowa mozaika? Dziś siejsza Wojwodina, w 60% zamieszkała przez Serbów, a w 17% przez Węgrów, przez lata leżała na pograniczu dwóch światów: habsburskich

Austro-Węgier oraz dominującego na Bałkanach imperium osmańskiego.

Na przełomie XVII i XVIII w., w odróżnieniu od sąsiedniej Serbii, Wojwodinę włączono do imperium Habsburgów. Zadecydował o tym król Jan III Sobieski. To od tych czasów mieszkańcy Wojwodiny mówią o sobie „obywatele Europy”, kwestionując jednocześnie wszelką bałkańskość. Jednak sąsiedni Węgrzy i inni obywatele tejże Europy, skupiając się na własnej walce o niezależnienie od Wiednia, odrzucali pretensje Wojwodińczyków do decydowania o sobie. Niechęć Madziarów wykorzystali Serbowie, którzy w 1691 r. uzyskali prawo do autonomii terytorialnej. Ta odległa data to początek serbskich wpływów w Wojwodinie. Prawie dwa wieki później mimo serbskich starań Wojwodinę i Banat w 1860 r. wcielono do Austro-Węgier.

W czasach Habsburgów w żyznej Wojwodinie osiedlały się wszystkie nacje zamieszkujące Królestwo

Węgier. A że było ich dużo, świadczy jej dzisiejsza wieloetniczność.

Gdy rozpadła się monarchia austro-węgierska, 1 grudnia 1918 r. Wojwodina została włączona do Królestwa Serbów, Chorwatów i Słowenów, a po zakończeniu wojny światowej – do Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii. Mimo że Tito wypędził znenawidzonych Niemców, w wojwodińskich miastach pozostało sporo przedstawicieli tej pokonanej nacji. Tym samym zachował się wielonarodowy, słowiańsko-węgiersko-germański charakter regionu. Upadek komunistycznej Jugosławii, w której od 1945 do 1980 r. rządził Tito, rozpoczął się w roku 1988. Co ważne, zaczął się w Nowym Sadzie – stolicy Wojwodiny. Załążkiem politycznej degrengolady była decyzja Slobodana Miloševicia o odwołaniu kierownictwa autonomicznej prowincji Wojwodiny. Należy pamiętać, że po wprowadzeniu w 1974 r. nowej jugosłowiańskiej konstytucji Wojwodina miała prawa

zbliżone do republik federacyjnych. Wydarzenie to szybko nazwano „rewolucją jogurtową”, bo budynki administracji publicznej zostały obrzucone przez demonstrantów... opakowaniami z jogurtem. Odwołując „nie swoich”, Milošević bardziej skupiał się na autonomicznym Kosowie i Metochii, regionie o dwukrotnie mniejszej niż Wojwodina powierzchni, który stawał się poważniejszym ogniskiem zapalnym.

Vučić opiłowuje nadzieje

W roku 1990 „Slobo” podjął decyzję, która w Wojwodinie mogła doprowadzić do krwawych zamieszek. Na szczęście tak się nie stało. Zniesienie przez Miloševicia autonomii Wojwodiny rozpoczęło trwający trzy lata konflikt zmieniający jej etniczny obraz. Przedstawiciele mniejszości uciekali i przed wojną, i przed mobilizacją wojskową. Gdy w roku 2000 upadł reżim Miloševicia, kwestia przywrócenia Wojwodinie autonomii znów stała się aktualna. Ale mieszkańcy Nowego Sadu i innych wojwodińskich miast musieli obejść się smakiem. Bo pierwsze lata nowego stulecia to początek autorytarnych rządów Aleksandra Vučića i pogłębiającej się centralizacji belgradzkich władz. Centralizacji, której ojcami stali się posłuszni Vučićowi politycy Serbskiej Partii Postępowej. Z roku na rok Belgrad wysyłał mieszkańcom Wojwodiny coraz więcej sygnałów, że do dawnej, titowskiej autonomii nie ma już powrotu. Dobitym tego przykładem może być decyzja Serbskiego Trybunału Konstytucyjnego, który w 2013 r. zakwestionował dwie trzecie nowego statutu Wojwodiny. Obawiając się separatystycznych działań, władze w Belgradzie zlikwidowały Wojwodińską Akademię Nauki i Sztuki, z istnieniem której nie mogły się pogodzić tzw. patriotyczne kręgi naukowe w Belgradzie. Władzom w stolicy nie spodobały się także niektóre wojwodińskie symbole. Zdaniem Belgradu Wojvodina nie mogła mieć tylko jednej flagi z trzema gwiazdkami, ponoć przypominającej tę unijną. Dodano więc drugą, która zyskała status oficjalnej. I zalecono, by używać jej częściej, bo to... tradycja serbska flaga z XIX w.!

Kolejnym ciosem dla mieszkańców Wojwodiny okazał się rok 2022, kiedy Nowy Sad był Europejską Stolicą Kultury. Dumni mieszkańcy miasta nad Dunajem wiązali z tym wyróżnieniem spore nadzieje. Mimo że popłynęły tam miliony euro, wiele projektów zostało zamkniętych w szufladach belgradzkich urzędników. Wielokulturowy charakter Wojwodiny pozostał praktycznie niewidoczny, bo tego zażądała wierzuszka z Belgradu. Takie podejście nasuwało na myśl pewne kosowskie analogie. Obok ulubionego „Kosovo je Srbija” wybrzmiewało coraz mocniej hasło „Vojvodina je Srbija”.

Wojvodina to od lat najlepiej rozwinięta gospodarczo i najbogatsza część Serbii oraz spichlerz kraju.

Równolegle z centralistycznym podejściem zaczęto promować programy i komentarze, w których nazwę Wojvodina zastępowano złowrogą „północną Serbią”.

Tragedia na dworcu i eskalacja żądań

Dzień 1 listopada 2024 r. na zawsze zapisze się w historii Serbii i Wojwodiny. W Nowym Sadzie doszło do katastrofy budowlanej na świeżo oddanym do użytku dworcu kolejowym – w wyniku zawalenia się zadaszenia nad wejściem śmierć poniosło 15 osób. Przebudowę stacji prowadziły dwie chińskie firmy. Według inżyniera Danijela Dašicia powodem katastrofy była zbyt ciężka stalowa konstrukcja ze szklanymi panelami, która przeciężyła zadaszenie. Tragedia ta doprowadziła do trwających do dziś potężnych ogólnoserbskich protestów. Odbывая się one pod hasłami: „Macie ręce we krwi” i „Korupcja zabija”.

W czasie wielotysięcznych demonstracji protestujący oskarżają rząd o korupcję, przestępczość, brak transparentności i zaniedbania. W remoncie dworca w Nowym Sadzie uczestniczyły również firmy z Węgier – bez przetargu i w ramach wyjątkowo nieprzejrzystych umów. Mieszkańcy Wojwodiny, domagając się dymisji rządu i prezydenta Vučića,

z dnia na dzień coraz odważniej dorzucają hasła niepodległościowe. W mediach społecznościowych już kilka dni po tragedii zaczęto spekulować, że gdyby nie centralistyczne i nietransparentne działania Belgradu, do tej tragedii by nie doszło. Wielu nowosadczyków chciało dać do zrozumienia, że „sami, we własnym kraju i z własną władzą zrobiliby to lepiej i bezpieczniej”.

Pewne próby domagania się większej autonomii czy wręcz niepodległości pojawiają się od kilkunastu lat. Jednak to, co obserwujemy ostatnio, nigdy wcześniej nie miało miejsca. Hasła niepodległościowe

widać nie tylko na wymyślnych graffiti, nie tylko w internecie, ale i w czasie antyrządowych manifestacji, głównie w Nowym Sadzie. Portal 021.rs opublikował zdjęcia wielkiego transparentu z napisem: „Republika Wojvodina”, który przez kilka godzin towarzyszył antyrządowej demonstracji. Takich banerów ostatnio pojawia się więcej. Marszałkini serbskiego parlamentu Ana Brnabić jako pierwsza przedstawicielka rządzących przyznała, że „żądaniom dymisji władz towarzyszą różne formy domagania się niepodległości Wojwodiny”.

Ješić i Bogdanović – wicherzyciele z północy

W Belgradzie wskazano zarazem „wicherzycieli”, głównych organizatorów proniepodległościowych akcji. To Goran Ješić i Boban Bogdanović. Pierwszy, po kilkakrotnych zatrzymaniach pod koniec ubiegłego roku, został nazwany przez znanego prawnika Seada Spahovicia więźniem politycznym. W dzisiejszej Serbii nie powinno to dziwić, wszak Ješić ogłaszał wszem wobec, że doprowadzi do końca reżimu Vučića. Pod koniec roku powołał do życia nowy projekt polityczny, o nazwie Solidarnost. Ten doświadczony, domagający się wejścia Serbii do Unii Europejskiej polityk uznawany jest w Belgradzie ▶



Członkowie opozycji podczas demonstracji w Nowym Sadzie przed wyborami nowego burmistrza. 24 lutego 2025 r.

▶ za „zagrożenie dla serbskiej integralności terytorialnej”. Jeśli podpadł też władzom za twierdzenie, że „Serbia powinna zrezygnować z organizacji EXPO 2027 w Belgradzie, bo kraju na to nie stać”. Polityk domaga się ujawnienia pełnej dokumentacji finansowej tego wielkiego przedsięwzięcia.

Media w Belgradzie prześcigają się zaś w obraźliwych komentarzach pod adresem Bobana Bogdanovicia. Przoduje w tym portal Informer.rs: „Marzący o secesji Wojwodiny Bogdanović to pupil ekstremisty z Kosowa Albina Kurtiego. To zwykły narkoman, którego chorwackie media złapały ostatnio, jak delektuje się kokainą”. Ten sam portal donosi, że „za sprawą Bogdanovicia ogłoszona zostanie niepodległość Wojwodiny”. Działalnością Bogdanovicia na portalu X i jego wpisami o wejściu Wojwodiny do UE i NATO mocno zaniepokojony jest prezydent Vučić.

Sport też wyznacza tożsamość

Jak złożonym problemem jest dzisiejszy podział etniczno-polityczno-historyczny Wojwodiny, mieli okazję przekonać się polscy piłkarze i ich kibice. W ciągu pół roku warszawska Legia, a potem Jagiellonia Białystok w Pucharze Konferencji spotykały się z serbską i wojwodińską zarazem drużyną FK TSC Bačka Topola. Ten występujący w serbskiej lidze klub z 14-tysięcznej miejscowości Bačka Topola został utworzony w 1913 r. przez Węgrów. I Węgrzy nie oddali go ani na chwilę. Dziś jest oczkiem w głowie premiera Orbána, a za

głównego sponsora ma potentata paliwowego MOL.

Przez dwie godziny kibicowania fani „Jagi” dostali ekspresową lekcję tożsamości ich rywali. Próbując przypodobać się miejscowym, kibice Jagiellonii skandowali to, co można usłyszeć na każdym węgierskim stadionie, czyli popularne „Ria, ria Hungaria!”. „Młyn” (najzagorzalsi fani) szybko odpowiedział tym samym. Ten prowęgierski okrzyk nie spodobał się jednak siedzącym na przeciwległej trybunie, którzy jeszcze głośniejszym wybucheli białostocko-węgierskie hasło. Innym akcentem politycznym meczu w sercu Wojwodiny było skandowanie przez polskich kibiców popularnego także nad Wisłą hasła „Kosovo je Srbija”. Tym razem protestów miejscowych nie było; fani Baćkiej Topoli dołączyli do białostoczan.

Trybuny małego stadionu doskonale odzwierciedlają podziały, ale i obawy całej, prawie dwumilionowej społeczności Wojwodiny. Bo częste twierdzenie Orbána, że „Węgry graniczą z samymi sobą”, budzą niepokój wielu Wojwodińczyków.

Możliwe scenariusze

Zanim premier Miloš Vučević, ulegając presji demonstrujących, podał się do dymisji, dał jasno do zrozumienia, że „integralność terytorialna Serbii nie zostanie naruszona”. Stanowisko prezydenta Vučića jest jeszcze bardziej stanowcze. W Dniu Państwowości, 15 lutego, zorganizował wielki wiec poparcia dla polityki swojej partii. W Sremskiej Mitrovicy

zebrały się tłumy. Prezydent kilka razy wykrzyczał, a tłum ochoczo powtarzał: „Vojvodina je Srbija!”.

Pragmatyczni mieszkańcy Wojwodiny zdają sobie sprawę, co się za tym kryje. Choć trudno o wiarygodne sondaże, dziś bardziej niż za realną secesją większość opowiada się za rozległą autonomią, taką jak w czasach jugosłowiańskich. Ale – jak informują wojwodińskie media – nie jest wykluczone, że obraźliwy i kpiący ton Belgradu spowoduje, że część Wojwodińczyków zechce pokazać mu plecy. I będą to zapewne ci najbardziej świadomi, którzy wiedzą, że Wojvodina to od lat najbogatsza i najlepiej rozwinięta gospodarczo część Serbii oraz spichlerz kraju. A przy tym miejsce gigantycznych inwestycji. Bo to Nowy Sad stał się największym placem budowy na Bałkanach Zachodnich. Nieprzejrzyste kontrakty i transakcje Serbii z udziałem Chin i Rosji należą również do największych projektów biznesowych w Wojwodinie. Proklamowanie niepodległości ucięłoby te niebezpieczne dla Wojwodiny działania.

Vučić wzrostu tendencji niepodległościowych w Wojwodinie obawia się też z innego powodu. Żądania Nowego Sadu mogą obudzić uśpio- ne dziś nadzieje na niepodległość w Dolinie Preszewa na południu Serbii (80 tys. mieszkańców, 71% to Albańczycy). Kolejnym zagrożeniem dla Belgradu może się okazać Sandżak. To liczący 360 tys. mieszkańców region na południu Serbii, tuż przy granicy z Czarnogórą. Dążący od 1991 r. do autonomii Sandżak zamieszkiwany jest głównie przez Boszniaków. Etniczno-terytorialne spory na terenie Serbii mogą więc rozgorzeć w każdej chwili.

Czy mała, ale bogata, prozachodnia Wojvodina może się stać Katalonią Bałkanów? W pewnym sensie już nią jest. Podobnie jak Madryt, a może i bardziej, Belgrad doskonale wie, że wszelkie ustępstwa terytorialne mogą otworzyć drogę do poważnych zmian na mapie Europy.

Chrystian Ślusarczyk

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczek

„Ten cały Proust dobry jest dla snobów nie mogących się wcisnąć na pańskie pokoje, a nade wszystko dla ludzi mających nadmiar czasu” – tak Atanazy Bazakbal w „Pożegnaniu jesieni” Witkacego tłumaczy Heli Bertz swoją niechęć do Proustowskiej frazy. Wyraża mniej więcej to samo, co niegdyś pan przetykający rury w łazience rzekł, zoczywszy mnie w godzinach roboczych przy laptopie. „– A czym się pan zajmuje? – Jestem pisarzem. – Ups. Ja tam nie czytam. Po mojemu tylko darmozjady mają czas czytać książki”. Zaiste, czas na to, by się rozkoszować gładkością zdań Prousta, nader nieśpiesznie zmierzających ku konkluzjom, być może czasem odnalezionym tylko dla klasy próżniaczej, a przecież to w zgodnym pojmowaniu krytyków literacka degustacja najwyższej próby, absolutne wyżyny przyjemności intelektualnej, jakich dostarczyć może literatura piękna.

doszło do tąpnięcia za sprawą Joanny Kuciel-Frydryszak, która postanowiła renegocjować warunki umowy na wciąż bestsellerowo sprzedające się „Chłopki”. Wydawca nie był do tego skory, autorka udała się na drogę sądową i ujawniła to w mediach, środowisko literackie zawrzało, pisarze powiedzieli, że mają dość wyzysku, wydawcy zrzucili odpowiedzialność na dystrybutorów, zagotowało się, zakotłowało i w ogóle nie wiadomo, panie, co z tego będzie. Bo jak się pisarze zbuntują i np. zastrajkują, czuję, że to raczej przyspieszy ich zastąpienie przez sztuczną inteligencję, niż zwiększy procenty ze sprzedaży książek. Wszelako dla jednych czasochłonne tworzenie wysublimowanej strawy duchowej jest także formą samozadowolenia – oni piszą dla siebie i pewnie nie przestaną tego robić hobbystycznie, dla drugich jednak tyranie za darmochę, żeby nakarmić odczytanego burżuazja, cwane wydawcę, a nade

Proustota życia literackiego

Owóż sam Marcel, dostarczyciel tego wykwintnego narkotyku dla dusz, zawartego w siedmiu tomach, był dziecięciem zamożnych mieszczan, w domu rodziców mieszkał przez całe życie, nigdy nie musiał się kłacać robotą, a z uwagi na wątłe zdrowie w ostatnich latach życia wszystkie dnie przesypiał, nocną aktywność poświęcając pisaniu powieści, ale sypialni w tym celu opuszczać nie musiał. Można zatem rzec, że gdyby nie śmiertelna astma, wskutek której przeżył ledwie pół wieku, miałby jako pisarz życie klawe – z wydawcami nie musiał się wyklócać o forszę, bo „W stronę Swanna” wydał sam, a już za „W cieniu zakwitających dziewcząt” dostał Goncourtów, więc potem chętnych oficy nie brakowało. Modelowy czytelnik „W poszukiwaniu straconego czasu”, o ile nie para się lekturą zawodowo w ramach prac akademickich, jest zatem człowiekiem, któremu czasu nie brakuje, jest wystarczająco bogaty w wolne godziny, by moczyc magdalenkę w herbatce lipowej i zanurzać się w kolejnych tomszyczach rozterek arystokratycznych rodów, ma też wciąż dosyć energii, by po kilku chwilach przy narracji tak niedynamicznej nie zasnąć. Panuje tu swoista równowaga między autorem a konsumentem jego dóbr – bogacz na utrzymaniu rodziców wypełniał sobie beżmiar wolnego czasu pisaniem, jego czytelnicy czynią to za pomocą lektury.

Owóż nie jest dobrze, kiedy w tym układzie równowaga się zaburza: czytelnicy łakną nowych powieści, aby w sposób szlachetny czas mitrężyć, wydawcy chcą ten popyt wykorzystać, więc podpisują umowy z pisarzami, lecz ci ostatni nie wyrabiają się, bo zaliczki wystarczają na miesiąc życia, a powieść pisze się średnio dwa lata, jeśli trzeba ją dzielić z pracą zawodową. W takiej nierównowadze oczekiwań trwało polski rynek książki, od kiedy sięgam pamięcią, aż tu nagle

wszystko wszelkie empikopodobne supermarkety potrzeb kulturalnych, nie jest celem życia. Ja na ten przykład przestałem pisać powieści, bo mnie na to nie stać. Za sprawą niezwykle szczęśliwego zbiegu okoliczności byłem przed 20 laty autorem bestsellerowym, lecz od wielu lat żyję wyłącznie z tekstów użytkowych i felietonów, bo za nie otrzymuję na czas adekwatną zapłatę.

Przeprowadźmy szczegółowe obliczenia: założmy, że chcemy, by pisarz rąbnął 400-stronicową (czyli ponad 600 stron „znormalizowanego maszynopisu”) wysokoartystyczną powieść historyczną. Założmy, że jednej trzeciej czasu potrzebuje na research w sieci, bibliotece lub nawet odwiedzając rzeczywiste miejsca. Założmy też, że żądamy od niego, by pracował pełnoetatowo, a zatem by siedział przy biurku 40 godzin w tygodniu. Jeśli będzie w stanie urobić cztery dopracowane strony dziennie, to naprawdę dobry wynik. Poświęcając się pracy nad książką bez reszty, osiągając tempo 80 stron na miesiąc, pisarz potrzebowałby więc z grubsza ośmiu miesięcy, aby książkę ukończyć. Nawet gdyby żył samotnie i oszczędnie, na czynsz, rachunki, żarcie czegoś ponad zupki chińskie i niepastelnice życie zejdzie mu z 5 tys. miesięcznie. Żeby coś sensownie zaoszczędzić, musiałby choć połowę z tego odkładać. A zatem, skromnie wyliczając wysiłek wydawcy i zakładając maksymalne zaangażowanie autora, minimalna zaliczka dla powieściopisarza powinna wynosić 6 tys. zł. W Polsce takie zaliczki przysługują tylko absolutnej czołówce autorów bestsellerowych. Ale łaska pańska na pstryku koniu jeździ – kiedy spadniesz z topu, nikt ci zapomogi na żywot pisarza pocziwego nie przyzna – tyle, coś zarobił u szczytu, musi ci wystarczyć na resztę życia. Pozostaje nam zatem czekać na nowego Prousta. ■

Francuskie miasteczka na celowniku karteli

Na sennej i dotąd bezpiecznej prowincji kwitnie handel narkotykami

Tomasz Skowronek

We Francji handel narkotykami rozprzestrzenił się na nowe terytoria: małe miasteczka. Kraj, który od dawna jest głównym europejskim rynkiem nielegalnych substancji, obawia się konsekwencji narastania tego problemu. W ciągu ostatnich kilku lat, jak twierdzą eksperci, handel narkotykami stał się bardziej zauważalny w miastach średniej wielkości i małych, które kiedyś wydawały się sennie i bezpieczne.

Morlaix: narkotyki w sercu Bretanii

Jednym z takich miejsc jest Morlaix w departamencie Finistère, zamieszkałe przez ok. 15 tys. osób. Miejscowość słynie z imponującej mariny, ratusza z balkonem, z którego w lipcu 1945 r. przemówienie wygłosił gen. Charles de Gaulle, oraz XVIII-wiecznej fabryki tytoniu, która została przekształcona w ośrodek kulturalny.

Niestety, w ostatnim czasie miasteczko musi stawić czoła rozwojowi handlu narkotykami i towarzyszącej mu przemocy.

„Mamy do czynienia z falą kokainy, to coś nowego – powiedział burmistrz Jean-Paul Vermot. – Wiedziałem, że będę musiał się z tym zmierzyć, ale nie na taką skalę. Mamy tu młodych ludzi z okolicznych wsi, którzy twierdzą, że bez kokainy nie ma już imprezy. Po raz pierwszy handel narkotykami i ich konsumpcja dotyczą nawet najmniejsze wioski”.

Miasteczko położone niedaleko portu Roscoff zawsze w mniejszym

lub większym stopniu zmagало się z problemem narkotykowym. Ale rok 2024 był przełomowy – doszły do tego handel ludźmi i obecność broni palnej w przestrzeni publicznej. Dowódca komisariatu policji w Morlaix, Renaud Moal, mówi o walce gangów. Jeden z dilerów chciał się usamodzielnic i „źle mu to wyszło”, jak komentuje Moal. Zaczęły się bójki, strzały w drzwiach domów rywali. „Sytuacja się pogarszała, ale odkąd ich aresztowaliśmy, jest spokój”, podsumowuje policjant. Burmistrz dodaje jednak: „W 2021 r. w Morlaix pojawił się tzw. model marsylski. Został natychmiast poinformowany. Grożono mi śmiercią. »Spalimy ratusz«, usłyszałem”. Dwa lata później na północy miasta zaczął działać nowy punkt handlu narkotykami.

Francja leży na skrzyżowaniu szlaków narkotykowych i jest dla handlarzy doskonałą lokalizacją. Konopie indyjskie trafiają tu z Maroka przez Hiszpanię, podczas gdy kokaina dostarczana jest z krajów Ameryki Południowej, takich jak Peru, Kolumbia i Boliwia, przez porty północnej Europy: Antwerpię, Rotterdam lub Hawr.

Dostęp do narkotyków stał się łatwiejszy niż kiedykolwiek. Numery telefonów dilerów można znaleźć na naklejkach w przestrzeni miejskiej. Nauczyli się oni technik marketingowych i promocyjnych, a kontaktują się za pośrednictwem aplikacji takich jak Snapchat, WhatsApp i Telegram. Od czasu pandemii COVID-19 upowszechniły się też dostawy do domu. „Uberyzacja” modelu biznesowego sprawiła, że kupowanie narkotyków jest tak łatwe jak zamawianie pizzy.

Dijon: od musztardy do narkowojny

Narkowojna dotarła także do miejscowości turystycznych, takich jak Dijon. Miasto słynie z brukowanych uliczek i średniowiecznego centrum, wołowiny bourguignon oraz musztardy. Stolica Burgundii jest bramą do jednego z najpiękniejszych regionów winiarskich na świecie. Ale za tą pocztówkową scenerią skrywają się zgoła inne obrazy – niektóre dzielnice, z dala od wzroku turystów, znalazły się w ogniu bezlitosnej wojny o terytorium toczoną między baronami narkotykowymi.

Wszystko zaczęło się w listopadzie 2023 r., kiedy 55-letni mężczyzna został trafiony zbłąkaną kulą, gdy spał w swoim domu w dzielnicy Stalingrad. Przemoc osiągnęła apogeum w marcu następnego roku, kiedy doszło m.in. do ataku na 19-latkę, śmiertelnie ugodzonego nożem w Talant na północno-zachodnich przedmieściach Dijon oraz do zastrzelenia 15-letniego chłopaka w punkcie handlu narkotykami w dzielnicy Belvédère. Matka młodej ofiary skomentowała: „Kiedyś chowaliśmy dziadków, a teraz mam wrażenie, że umiera coraz więcej młodych ludzi”.

Nathalie Koenders, pierwsza zastępczyni burmistrza, nie szczędzi pochwał swojemu regionowi, szczególnie specyficznemu klimatowi i uprawianym od wieków winnicom, które obecnie znajdują się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. „Dijon jest spokojne. Jakość życia jest u nas bardzo dobra – mówiła radiu France Bleu. – Nie oznacza to jednak, że nie mają miejsca tego



We Francji dostęp do narkotyków stał się łatwiejszy niż kiedykolwiek. Numery telefonów dilerów i ceny można znaleźć w przestrzeni miejskiej.

typu incydenty, które zdarzają się jak w każdym innym mieście”.

„Wiele dzielnic w miastach średniej wielkości stało się miejscem zbrojnych starć”, ostrzega Ofast, francuska agencja antynarkotykowa, a i mniejsze miejscowości nie są już wolne od porwań, przemocy, a nawet morderstw.

„Handel narkotykami i sporadyczna przemoc między rywalizującymi gangami istniały od dawna – powiedział prokurator z Dijon Olivier Caracotch w wywiadzie dla „The Telegraph” – ale w ciągu ostatniego roku przybrały one na sile”. Cedric Bovrises ze związku zawodowego policjantów w Dijon wyraził to dosadniej: „Marsylizacja do nas dotarła”.

Canteleu: zamieszane lokalne władze

W czerwcu 2024 r. rozpoczął się proces burmistrzynie normandzkiego miasteczka Canteleu i jej zastępcy, oskarżonych o współudział w handlu narkotykami. Obrazuje on skalę problemu – pokazuje, w jaki sposób baronowie narkotykowi wkroczyli do niektórych mniejszych społeczności we Francji, a nawet mieli wpływ na ich przedstawicieli.

Jak to się zaczęło? Na początku 2024 r. w Paryżu przed sądem stanęło 19 osób podejrzanych o handel narkotykami w 14-tysięcznym miasteczku w Normandii. Oskarżonymi byli m.in. socjalistyczna burmistrzynie Mélanie Boulanger, wybrana w 2014 r., i jej zastępca Hasbi Colak. Oboje odpowiadali za współudział w handlu kokainą, heroiną i marihuaną.

Według policji Canteleu od jakichś 15 lat było centrum ogromnej operacji narkotykowej prowadzonej przez rodzinę Mezianich. Śledczy szacują, że Meziani zarabiają ponad 10 mln euro rocznie na swoim biznesie, głównie dzięki importowi kokainy. „Do Francji napływa bardzo dużo kokainy, więc produkt musi mieć możliwość przepływu. W niektórych rejonach kokaina wyparła marihuanę”, powiedział Jérôme Durain, senator Partii Socjalistycznej i współprzewodniczący komisji śledczej ds. handlu narkotykami.

W Canteleu część tego handlu miała miejsce w Cité Verte, niezamównej dzielnicy, w której wychowała się rodzina Mezianich. Colak znał niektórych jej członków, ci zaś wykorzystywali jego pozycję jako urzędnika, aby ułatwić sobie prowadzenie działalności.

Francja wypowiada wojnę narkotykom

Obecny rząd od czasu dojścia do władzy zajmuje twarde stanowisko w sprawie narkohandlu. Minister sprawiedliwości Gérald Darmanin niedawno powiedział, że zamierza umieścić w izolatkach 100 największych handlarzy narkotyków przebywających obecnie w więzieniach, „tak jak to się robi z terrorystami”.

Nie ulega wątpliwości, że dyskusje na temat polityki narkotykowej w przyszłości nie będą się ograniczać do tradycyjnych punktów zapalnych, czyli przedmieść Paryża czy Marsylii – drugiego co do wielkości miasta Francji i bastionu przestępczości zorganizowanej.

Deklaracje władz zdają się odzwierciedlać nastroje ogółu społeczeństwa. Przestępczość i przemoc są głównymi zmartwieniami Francuzów – tak wskazują badania Ipsos z września 2024 r. i YouGov z listopada tego samego roku. W tym drugim trzy czwarte z 1019 ankietowanych osób zgłosiło, że jest „zaniepokojonych” handlem narkotykami w kraju.

Jak wybielić cały naród

Republika Południowej Afryki, do niedawna symbol walki z instytucjonalnym rasizmem, jest dziś na celowniku amerykańskiej prawicy

Mateusz Mazzini

Grup zawodowych i etnicznych, instytucji, a nawet idei, które według administracji Donalda Trumpa stanowią zagrożenie dla cywilizacji białego człowieka, jest tyle, że łatwo w tej spirali nienawiści się pogubić. Nie mają też sensu próby racjonalizacji tego zachowania, bo jest ono motywowane wyłącznie ideologią i osobistymi traumami protagonistów tej ofensywy. To zresztą działanie jak najbardziej celowe, zarówno w formie, jak i w treści. Już w 2019 r., pod koniec pierwszej kadencji Trumpa, naczelny ideolog ruchu MAGA i dzisiejszy propagator izolacjonizmu Ameryki Steve Bannon powiedział w wywiadzie dla telewizji PBS, że republikanie powinni „zalać strefę” (*flood the zone*), poruszając się z „prędkością kagańca” (*muzzle velocity*). Te frazy brzmią enigmatycznie, ale opisują dość banalną

nic, bo dominuje uczucie przybicia, trwałej porażki i braku sprawczości wobec władzy.

Tyle, jeśli chodzi o teoretyczny wstęp do próby zrozumienia działań Trumpa, J.D. Vance’a czy Elona Muska. Oczywiście są między nimi znaczące różnice, ale wszyscy z całego serca nienawidzą starego porządku politycznego, normatywnego czy ekonomicznego. I nie zawahają się przed wykorzystaniem każdego dostępnego instrumentu w celu zniszczenia go, a przynajmniej zrównania z ziemią jego symboli.

MAGA przeciw „tęczowej demokracji”

Takim symbolem jest niewątpliwie Republika Południowej Afryki w swoim obecnym kształcie. Brytyjski tygodnik „The Economist” kilka tygodni temu napisał nawet, że w oczach Trumpa to „DEI w formie całego państwa”. Nawiązał w ten sposób

najlepszych kandydatów z rynku pracy, wstrzymując postęp technologiczny. Równość uznano już w tym środowisku za sztuczny koncept, w dodatku nikomu niepotrzebny, wręcz kontrproduktywny. Trump i Vance są niechętni wszelkim uniwersalizmom, więc międzynarodowy system ochrony praw człowieka jest im całkowicie zbędny. Uznają go za wymysł skrajnej lewicy i niszczą wszystkie jego osiągnięcia. RPA zaś, znana również jako „tęczowy naród”, jedna z najważniejszych na świecie wielorasowych demokracji, jest niewątpliwie właśnie tym – osiągnięciem powojennego systemu opartej na normach i zasadach.

Komentatorzy, nawet ci, którzy obecnych amerykańskich przywódców znają osobiście, nie doszli jeszcze do zgody co do tego, jaką rolę w kształtowaniu się obecnych poglądów liderów ruchu MAGA odegrała RPA. Innymi słowy, trudno przesądzać, czy niechęć do „tęczowej demokracji” jest skutkiem czy przyczyną tego, co robi amerykańska władza – ale może też być jednym i drugim. Nie ulega wątpliwości, że jakiś wpływ ten czynnik wywarł i nie można go ignorować. Przeciwnicy nadawania mu sporego znaczenia, tacy jak raczej sceptyczny wobec ruchu MAGA publicysta „New York Timesa” Ezra Klein, przestrzegają przed nadmiernym psychologizowaniem działań Muska, Vance’a czy Petera Thiela, jednego z najciekawszych intelektualnie miliarderów technologicznych, założyciela PayPala. Klein sam przyznaje, że nie ma jeszcze wyrobionego zdania na temat doświadczeń afrykańskich technologicznego skrzydła MAGA, ale już Kara Swisher, jedna z najbardziej szanowanych amerykańskich

Politycy i wyborcy spod znaku MAGA równość uznają za sztuczny koncept, w dodatku nikomu niepotrzebny, wręcz kontrproduktywny.

strategię polityczną, w jakimś sensie analogiczną do słynnego motta Marka Zuckerberga i innych start-upowców o „szybkim poruszaniu się i niszczeniu status quo”. Chodzi o to, by zmieniać, atakować, uderzać w kilkanaście czy kilkadziesiąt celów jednocześnie, nawet jeśli robi się to bezładu i składu. Osiąga się wówczas dwa efekty: chaosu informacyjnego i napięcia emocjonalnego. Pierwszy powoduje, że nie wiadomo już, na co reagować, bo następuje inflacja kryzysów. Drugi – że nie reaguje się na

oczywiście do *diversity, equity and inclusion*, czyli różnorodności, równości i włączania – zestawu polityk publicznych, rozwiązań administracyjnych oraz norm społecznych wprowadzonych głównie w świecie anglosaskim, by polepszyć sytuację mniejszości. Politycy i wyborcy spod znaku MAGA zwalczają DEI na każdym kroku, uważając to zjawisko za dowód upadku zachodniej cywilizacji. Sam Elon Musk, urodzony przecież w RPA, wielokrotnie mówił, że polityki równościowe eliminują



dziennikarek technologicznych i niedysiejsza znajoma Muska, uważa, że młodość spędzona w Pretorii jest absolutnie fundamentalnym elementem jego dzisiejszego pojmowania rzeczywistości – i krucjatę przeciwko równości.

Bańka Muska

W tej historii każdy szczegół ma znaczenie. Musk urodził się w Pretorii, administracyjnej stolicy RPA, siedzibie rządu tworzącego reżim apartheidu. Fakt, że była to Pretoria, a nie Kapsztad czy Durban, miasta o bogatej historii kolonialnej i różnicowanej populacji, a także o mniejszej przestępczości w przestrzeni publicznej, jest bardzo ważny. Pretoria, podobnie jak sąsiadujący z nią Johannesburg, to twory miejskie całkowicie sztuczne, wybudowane z powodu znajdujących się tam złóż paliw kopalnych i metali ziem rzadkich oraz właśnie w celach administracyjnych. Apartheid z definicji segregował społeczeństwo do granic możliwości, a w Pretorii ta segregacja była najbardziej widoczna. Mieszkało tu najmniej czarnoskórych obywateli kraju i tzw. koloredów, osób mieszanego pochodzenia etnicznego, z korzeniami afrykańskimi i azjatyckimi lub wywodzących się

z wysp Oceanu Indyjskiego. Tu było najwięcej biurokratów, żołnierzy, policjantów i biznesmenów, bez jakiegokolwiek fermentu społecznego. I właśnie nad tym miastem góruje gigantyczny Voortrekker Monument, druga największa (po piramidzie w Gizie) konstrukcja wybudowana na kontynencie afrykańskim przez człowieka.

Wychowany w RPA Musk mógł gardzić nie tylko czarnymi, ale i lokalnymi białymi. Żył w bańce wewnątrz bańki.

Ten budynek jest ogromnym, brutalistycznym mauzoleum oddającym hołd białej supremacji w RPA. Upamiętnia tzw. Wielki Trek, konkwistadorską pielgrzymkę białych w głąb kraju z położonej na jego zachodzie Kolonii Przylądkowej. Wtedy Kapsztad rządzony był przez Brytyjczyków, którzy Burom, białym mieszkańcom tego obszaru, nie chcieli za bardzo pozwalać na ekspansję terytorialną. Ci więc zbuntowali się wobec administracji kolonialnej, zapakowali dobytek na wozy i ruszyli na północny wschód. To mit założycielski RPA czasów apartheidu – bohaterzy, miłujący wolność pionierzy, którzy budowali chwałę tego narodu, zmagając się z trudnym

W RPA nie ma żadnego obszaru, w którym czarnym żyłoby się lepiej niż białym. Kapsztad, czerwiec 2024 r.

ukształtowaniem terenu, przeciwnościami losu i przede wszystkim z rdzennymi plemionami, z którymi toczyli wojny. Mimo to podbili całe wybrzeże, zaprowadzając jedne z najbardziej opresyjnych porządków w historii cywilizacji.

Musk jednak z tymi ludźmi, a nawet ich potomkami, nie ma nic wspólnego. Owszem, urodził się w RPA, ale jego matka była Kanadyjką. Z Kanady zresztą trafił potem do USA. Jego dziadkowie ze strony matki słynęli z radykalnych, otwarcie faszystowskich poglądów i według dostępnych źródeł właśnie w poszukiwaniu takiego ustroju

wyjechali do państwa, którego podstawą była segregacja rasowa. Ojciec Muska, Errol, był jak na tamte czasy człowiekiem bardzo bogatym. Mieszkańcy RPA, którzy pamiętają rodzinę z tamtych lat, czy wypowiadający się anonimowo w internecie absolwenci liceum, do którego chodził obecny miliarder, wskazują jednak, że mity narodowe, nawet te z czasów

apartheidu, nie tłumaczą dzisiejszego zachowania Muska. Elon np. nie mówi w afrikaans, tylko po angielsku – lokalnego języka nigdy się nie nauczył, nawet jeśli teoretycznie był on w czasach reżimu obowiązkowy. Nauczanie w nim było na bardzo przeciętnym poziomie, więc ci, których było stać na najlepszą edukację – czyli Muskowie – mogli sobie pozwolić na to, żeby ten wymóg po prostu ignorować. W rezultacie Musk mógł gardzić nie tylko czarnymi, ale też lokalnymi białymi. Żył w bańce wewnątrz bańki.

Wiele mówi się o jego doświadczeniu upadku tego porządku, podobnie jak wstydu za rozpad ZSRR przypisuje się nienawiść Władimira ▶

► Putina do liberalnego Zachodu. Problem w tym, że to narracja nieprecyzyjna. Musk bowiem wyjechał do Kanady po ukończeniu liceum, w 1989 r. Apartheid już wtedy chylił się ku upadkowi, ale jeszcze nie poddał się całkowicie. Późne lata 80. to okres chaosu, zamieszek, pacyfikowanych w brutalny sposób demonstracji. To z takiej rzeczywistości, a nie z kraju pokojowych przekształceń demokratycznych, wyjeżdżał Musk. I tym właśnie był dla niego upadek jedynego znanego mu świata. Z tego względu miliarder

wszystko – bo mógł. Był już wtedy tym, kim według opinii publicznej stał się dopiero w Dolinie Krzemowej – „suwerenną jednostką”, jak opisał to kilka lat temu dziennik „The Guardian”. Tak właśnie myślą o sobie dzisiaj on, Peter Thiel, David Sacks, ale pewnie też Sam Altman, choć on akurat publicznie Trumpa nie popiera (jeszcze). Sacks jest miliarderem, oficjalnym doradcą prezydenta ds. sztucznej inteligencji. Urodził się w Kapsztadzie, wyjechał z kraju, gdy miał pięć lat. Z kolei Peter Thiel spędził część dzieciństwa

obszaru, w którym czarnym żyłoby się lepiej niż białym.

Ale nie o taką opresję chodzi. Wspomniana już Kara Swisher w rozmowie z Ezrą Kleinem wypowiedziała zdanie, które najlepiej podsumowuje światopogląd Muska. „Kiedy wywodzi się z radykalnego uprzywilejowania, równość wydaje się opresją”. Poszerzenie dostępu do praw, nawet tych najbardziej podstawowych, prowadzi do tego, że ludzie wyjątkowo bogaci, z nieograniczonym dostępem do władzy, trochę przywilejów muszą oddać. I nie rozumieją, dlaczego mieliby to robić. Skoro dotychczas niczym się nie dzielili i wszystko dobrze funkcjonowało, po co to zmieniać? Zwłaszcza jeśli zmiany niszczą piękne budynki i dewastują zdobycze cywilizacji?

Dlatego krucjata przeciwko RPA jest tak naprawdę papierkiem lakmusowym technologicznego autorytaryzmu, który powoli cementuje swoją pozycję w Stanach Zjednoczonych. Tu nie ma mowy o jakiegokolwiek powszechności praw, o dbaniu o drugiego człowieka, nawet o demokracji. To wszystko pojęcia blokujące dalszy rozwój – co w ideologii Muska oznacza transhumanizm, wysłanie ludzi na Marsa i zamianę Ziemi albo w śmietnisko, albo w permanentny obóz pracy dostarczający zasoby „suwerennym jednostkom” na czerwonej planecie. To już nie jest żadne science fiction, to publiczne plany zaprowadzenia totalitarnych rządów na całej planecie, nie tylko w Stanach Zjednoczonych. W przeciwnym razie zdaniem MAGA cywilizacja upadnie, a biali zostaną zastąpieni przez czarnoskórych, mułmanów, ludzi „gorszego sortu”. Upadek zaczyna się więc od powstania takich miejsc jak RPA. Trzeba jednak pamiętać, że to nie jest jedyna wielorasowa demokracja na świecie. Są nią też Stany Zjednoczone – Musk musi najpierw przejąć kontrolę w swojej adoptowanej ojczyźnie. A to wcale nie musi być łatwe – w kraju 330 mln obywateli i co najmniej takiej samej liczby problemów.

Krucjata przeciwko RPA jest tak naprawdę papierkiem lakmusowym technologicznego autorytaryzmu.

nigdy nie doświadczył zbiorowego przepracowania winy za apartheid, pogodzenia się z własnym udziałem w popieraniu dyktatury.

Z punktu widzenia przeciętnego czytelnika uprzywilejowanie, w którym Musk spędził pierwsze lata życia, będące przecież formacyjnymi, jest trudne do wyobrażenia. Za nic nie ponosił odpowiedzialności. Nikogo nie słuchał. Ignorował emocje, jak wszyscy wokół niego. Robił to

w Namibii i RPA, a więc dwóch krajach, w których kilkuprocentowa biała mniejszość kontrolowała praktycznie wszystkie zasoby państwa. Tu nie chodzi tylko o to, że byli biali i w jakimś stopniu przywiązali się do krajów, w których dojrzewali, a które potem przeszły ogromną transformację ustrojową i społeczną. Diabeł tkwi w szczegółach – każdy z tych białych mężczyzn żył w niewyobrażalnym uprzywilejowaniu, a potem wyjechał. Upadku nie doświadczył, słyszał o nim tylko od znajomych i rodziców, w mocno zmitologizowanej wersji.

Równość, która jest opresją

Dlatego dzisiaj Musk na platformie X pisze regularnie, że biali farmerzy w RPA są poddawani systemowej opresji i łamane są ich prawa. To ciekawe stwierdzenie, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że biali stanowią tam tylko 7,1% populacji i kontrolują ok. 72% całego PKB. Przeciętny majątek czarnej rodziny jest 20-krotnie mniejszy od średniego majątku rodziny białej. Średnie wynagrodzenie białych jest czteropółkrotnie wyższe. Biali mają niższą śmiertelność, dłużej żyją w dobrym zdrowiu, są lepiej wykształceni, bezrobocie jest wśród nich pięciokrotnie niższe niż u czarnych. Poza faktem, że prezydentem kraju jest czarnoskóry Cyril Ramaphosa, nie ma żadnego



Polski Kongres Klimatyczny: albo się zdekarbonizujesz, albo zginiesz!

Bronisław Tumitowicz

Takie zdanie na zakończenie Polskiego Kongresu Klimatycznego wygłosił Jakub Safjański, dyrektor Departamentu Energii i Zmian Klimatu Konfederacji Lewiatan, patrona kongresu, organizacji skupiającej 4,1 tys. firm. Było to, jeśli wierzyć organizatorom, największe w Polsce spotkanie biznesowe dotyczące inwestycji mających wpływ na osiągnięcie celów klimatycznych. Zgromadziło wielu uczestników m.in. z sektora energetycznego, budownictwa, samorządów lokalnych itd. W ponad 20 panelach dyskusyjnych wypowiedziało się niemal 150 ekspertów z Polski i zagranicy.

Zakres poruszanych tematów obejmował: inwestycje publiczne, dekarbonizację przemysłu, tzw. zielone finanse, nową energetykę i nowe technologie. Zwrócono uwagę, że

w historii Ziemi. Przeszłość kluczem do przyszłości". Ich zaproszenie, a znani są z głoszenia poglądu o tzw. kłamstwie klimatycznym, nie spodobało się innym prelegentom. W prasie pojawiła się opinia: „Zapraszanie takich gości na kongres klimatyczny to mniej więcej jak zapraszanie płaskoziemców na kongres astronautyki lub antyszczepionkowców na konferencję epidemiologiczną”.

Kongres zakończył się raczej optymistycznie. Zieloną transformację energetyczną porównywano do transformacji gospodarczej z początku lat 90. Tamta trudna lekcja pozwala sądzić, że teraz też się uda. Przedstawiciel Konfederacji Lewiatan pochwalił Europę i Polskę, że potrafiła szybko uwolnić się od surowców energetycznych z Rosji. Dziś znacząco



Kongres to największe spotkanie biznesowe dotyczące inwestycji mających wpływ na osiągnięcie celów klimatycznych.

W sprawach klimatu, energetyki i środowiska spotykamy się z wieloma dezinformacjami i teoriami spiskowymi.

celem ogólnym działalności gospodarczej przyjętym w UE jest stopniowe zmniejszanie emisji gazów cieplarnianych, by do 2050 r. osiągnąć neutralność klimatyczną. Niezależnie od tego, czy jest to możliwe, przynajmniej dla Polski, kongres miał przygotować listę postulatów biznesu dla rządu, które należy uwzględnić w procesie przyspieszenia zielonej transformacji polskiej gospodarki.

Trzeba jednak pamiętać, że takie hasła jak zdekarbonizacja, zielona transformacja czy neutralność klimatyczna nie są powszechnie akceptowane. Jeszcze przed rozpoczęciem kongresu podważono sens wystąpień w debatach dwóch profesorów: hydrologa Piotra Kowalczaaka oraz geologa Leszka Marksa, którzy mieli zabierać głos w panelu „Zmiany klimatu

już wzrosła pula energii uzyskiwanej z fotowoltaiki. Również perspektywy rozbudowy energetyki wiatrowej rysują się obiecująco. Dalida Gepfert, wiceprezeska Grupy Enea, wicelidera polskiego rynku elektroenergetycznego w zakresie produkcji energii, uspokoiła obserwatorów przemian w branży, że z punktu widzenia biznesu nie wykonuje się żadnych nieracjonalnych posunięć, o czym świadczy np. decyzja o budowie nowego bloku węglowego w Koźlenicach. Gepfert nie ukrywała jednak, że przez jakieś 10 lat ekonomicznie może być trudno (wyższe ceny energii, gazu, prądu), ale zielona transformacja w perspektywie długofalowej wyjdzie nam wszystkim na dobre.

Ekonomistka Julia Patorska, pełniąca funkcję liderki zespołu ds.

zrównoważonego rozwoju w globalnej firmie doradczej Deloitte, stwierdziła zaś, że nasze położenie geograficzne pozwoliło dzięki transformacji lat 80. i 90. znaleźć się na dobrej pozycji wśród 180 krajów na świecie, wyprzedzić wiele bogatszych państw, wejść na ścieżkę wzrostu – także poziomu życia obywateli, czego namacalnym dowodem jest np. długość życia Polaków.

W podsumowaniu senator Adam Szejnfeld, przewodniczący Rady Programowej Polskiego Kongresu Klimatycznego, nawiązał do zaproszenia na prezydenta USA Donalda Trumpa. Jego poglądy w kwestii zmian klimatycznych i działalności ruchów ekologicznych były znane, a teraz nakazał on m.in. odcięcie organizacji ekologicznych od finansowania i zainteresowanie nimi FBI. Także u nas w sprawach klimatu, energetyki i środowiska spotykamy się z wieloma dezinformacjami, teoriami spiskowymi, niechęcią czy obawami, ale – zdaniem senatora – powinniśmy to przetrzymać.

Dr Matthew Walker

Długi sen oposa

Wszystkie zbadane dotąd gatunki zwierząt śpią albo zapadają w stan podobny do snu

Kiedy istoty żywe zaczęły spać? Czy sen wykształcił się dopiero wraz z małpami człekokształtnymi? A może występował wcześniej, u gadów albo ich wodnych przodków, ryb? Jeżeli nie dysponujemy wehikułem czasu, najlepszą metodą znalezienia odpowiedzi na to pytanie jest przeanalizowanie snu w różnych zakątkach królestwa zwierząt, od istot prehistorycznych do ewolucyjnie najmłodszych. Takie badania dają nam niezwykle cenną możliwość zajrzenia daleko w głąb danych historycznych i oszacowania momentu, kiedy sen po raz pierwszy zaszczcił swoją obecnością naszą planetę. (...)

Wszystkie bez wyjątku zbadane dotąd gatunki zwierząt śpią albo zapadają w stan niezwykle do snu podobny. Dotyczy to również owadów, np. much, pszczoł, karaluchów i skorpionów; ryb, od małego okonia po największego rekina; zwierząt wodno-łądowych w rodzaju żab; a także takich gadów, jak żółwie, warany z Komodo czy kameleony. Wszystkie one zapadają w prawdziwy sen. Jeżeli wejdziemy wyżej po szczeblach drabiny ewolucji, przekonamy się, że śpią wszystkie rodzaje ptaków i ssaków: od ryjówka do papug, kangurów, niedźwiedzi polarnych, nietoperzy i oczywiście nas, ludzi. Sen jest zjawiskiem uniwersalnym.

Nawet bezkręgowce w rodzaju prymitywnych mięczaków i szkarłupni czy jeszcze bardziej prymitywnych robaków zapadają od czasu do czasu w swego rodzaju sen zwany czule letarżkiem. Podobnie jak ludzie nie reagują wtedy na bodźce zewnętrzne. Również podobnie jak my, robaki zapadają w sen szybciej i pograżają się w nim głębiej, kiedy zostaną go na jakiś czas pozbawione; uczeni mierzą głębokość tego snu intensywnością bodźców potrzebnych do wybudzenia tych stworzeń.

Jak „wiekowy” jest zatem sen? Robaki pojawiły się w czasie eksplozji kambryjskiej, czyli co najmniej 500 mln lat temu. I one, i sen poprzedzają wszystkie kręgowce formy życia, w tym dinozaury, które, jak by z tego

wynikało, prawdopodobnie również spały. Wyobraźcie sobie diplodoka i triceratopsa moszczących się wygodnie na całonocny spoczynek!

Jeżeli cofniemy się jeszcze dalej w procesie ewolucji, odkryjemy, że nawet u najprostszych organizmów jednokomórkowych, żyjących dłużej niż 24 godziny, np. bakterii, można wyróżnić fazy aktywności i bierności pokrywające się z cyklem jasności i ciemności na naszej planecie. Wzór ten uważamy obecnie za pierwotną formę naszego rytmu dobowego, a co za tym idzie, stanu czuwania i snu.

Wiele wyjaśnień tego, dlaczego w ogóle śpimy, odwołuje się do powszechnego, choć może błędnego, przekonania, że musimy zapadać w sen, aby naprawić to, co uległo zaburzeniu w stanie czuwania. A gdybyśmy tak odwrócili to rozumowanie?

Rekord w królestwie zwierząt dzierży nocek myszouchy, który zalicza oszałamiające 19 godzin snu na dobę.

Skoro sen jest tak pożyteczny – tak fizjologicznie korzystny we wszystkich aspektach naszego istnienia – powinniśmy raczej zapytać: dlaczego życie w ogóle się przebudziło? Przyjmując taką perspektywę, można wysunąć całkowicie odmienną teorię: sen był pierwotnym stanem życia na naszej planecie i to dopiero ze snu zrodziło się przebudzenie. (...)

Niezależnie od tego, która teoria jest prawdziwa, wiemy z całą pewnością, że sen powstał w zamierzonych czasach. Pojawił się wraz z pierwszymi formami życia na naszej planecie. Podobnie jak inne pierwotne cechy życia, np. DNA, pozostał wspólną cechą łączącą przedstawicieli królestwa zwierząt.

Ale nawet jeśli sen łączy od dawna wszystkie zwierzęta, występują wśród nich w tym względzie ogromne różnice.

Ślonie przeznaczają na sen o połowę mniej czasu niż ludzie, czyli zaledwie cztery godziny na dobę. Tygrysy i lwy – 15 godzin dziennie. Nocek myszouchy przebija wszystkie inne ssaki, budząc się na zaledwie pięć godzin na dobę i przesypiając 19. Całkowity czas snu to jedna z najbardziej wyraźnych różnic między organizmami.

Można by sądzić, że tak wyraźne różnicowanie w zapotrzebowaniu na sen będzie miało jakieś oczywiste wyjaśnienie. Ale tak nie jest. Żaden z prawdopodobnych kandydatów – rozmiary ciała, bycie drapieżnikiem lub ofiarą, dzienny albo nocny tryb życia – nie wyjaśnia zwykle różnic

w długości snu u różnych gatunków. Wydawałoby się, że zwierzęta z jednej kategorii filogenetycznej będą poświęcały na sen podobną ilość czasu z racji bliskiego genetycznego pokrewieństwa. Taką właśnie zależność obserwujemy w przypadku innych podstawowych cech, np. wykorzystania narządów zmysłowych, metod reprodukcji czy nawet poziomu inteligencji. Tymczasem sen wymyka się takiej przewidywalnej kategoryzacji. Wiewiórki i koszatniczki należą do tego samego rzędu (gryzoni), tymczasem jeśli chodzi o sen, nie mogłyby się bardziej różnić. Te pierwsze śpią dwa razy dłużej – wiewiórki 15,9 godziny, koszatniczki 7,7 godziny. Niemal identyczną



Ślonie przeznaczają na sen o połowę mniej czasu niż ludzie – zaledwie cztery godziny na dobę. Tygrysy i lwy – 15 godzin dziennie.

długość snu można z kolei znaleźć u przedstawicieli całkowicie odmiennych rzędów. Skromna świnka morska i stojący wysoko na drabinie ewolucji pawian, należące przecież do całkowicie różnych porządków filogenetycznych, nie wspominając o rozmiarach, śpią dokładnie tyle samo: 9,4 godziny.

Czym w takim razie możemy wyjaśnić różnice w długości snu (a być może również w zapotrzebowaniu na niego) u różnych gatunków czy nawet w obrębie podobnych genetycznie rzędów? Nie jesteśmy pewni. W miarę trafnym prognostykiem wydaje się zależność między rozmiarami i złożonością układu nerwowego oraz całkowitą masą ciała – w tym sensie, że większa złożoność mózgu w porównaniu z rozmiarami ciała przekłada się na dłuższy sen. Choć zależność ta jest słaba i nie zawsze się potwierdza, sugeruje, że jedną z ewolucyjnych funkcji wymagających dłuższego snu jest obsługa coraz bardziej złożonych układów nerwowych. Kiedy po upływie tysięcy lat ewolucja stworzyła swoje (jak dotąd) największe dzieło, czyli mózg, zapotrzebowanie na sen wzrosło w odpowiedzi na potrzeby tego najcenniejszego urządzenia fizjologicznego.

Ale to nie wyjaśnia wszystkiego – w najmniejszym stopniu. U wielu gatunków długość snu zdecydowanie odbiega od przewidywań tej reguły. Na przykład opos, który waży niemal tyle samo co szczur, śpi o połowę dłużej, czyli mniej więcej 18 godzin na dobę. Oposowi brakuje zaledwie godziny do rekordu w królestwie zwierząt dzierżonego obecnie przez nocka myszouchego, który, jak wspominałem, zalicza oszałamiające 19 godzin snu na dobę.

Na pewnym etapie historii badań nad snem uczeni zaczęli się zastanawiać, czy całkowita liczba minut poświęcanych na sen nie jest niewłaściwą miarą w poszukiwaniu przyczyn tak ogromnych różnic w długości snu. Zaczęli podejrzewać, że w wyjaśnieniu tej zagadki pomoże im ocena jakości snu, a nie jego ilości (czasu). Wysunięto hipotezę, że zwierzęta, u których występuje sen lepszej jakości, mogą zaspokoić wszystkie związane z nim potrzeby w krótszym czasie, i na odwrót. Był to znakomity pomysł, tyle że odkryliśmy raczej odwrotną zależność: istoty śpiące dłużej, zapadają w głębszy, „lepszy” jakości snu. Trzeba jednak przyznać, że sposób

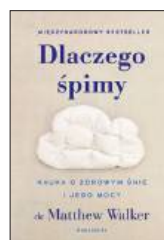
mierzenia jakości we wspomnianych badaniach (poziom braku reakcji na bodźce ze świata zewnętrznego i ciągłość snu) jest raczej kiepską miarą prawdziwej biologicznej jakości snu, której nie potrafimy na razie zmierzyć u wszystkich gatunków. Kiedy uda nam się tego dokonać, nasze rozumienie zależności między ilością i jakością snu w królestwie zwierząt pozwoli zapewne rozszyfrować zagadkową na razie mapę różnic w długości czasu snu.

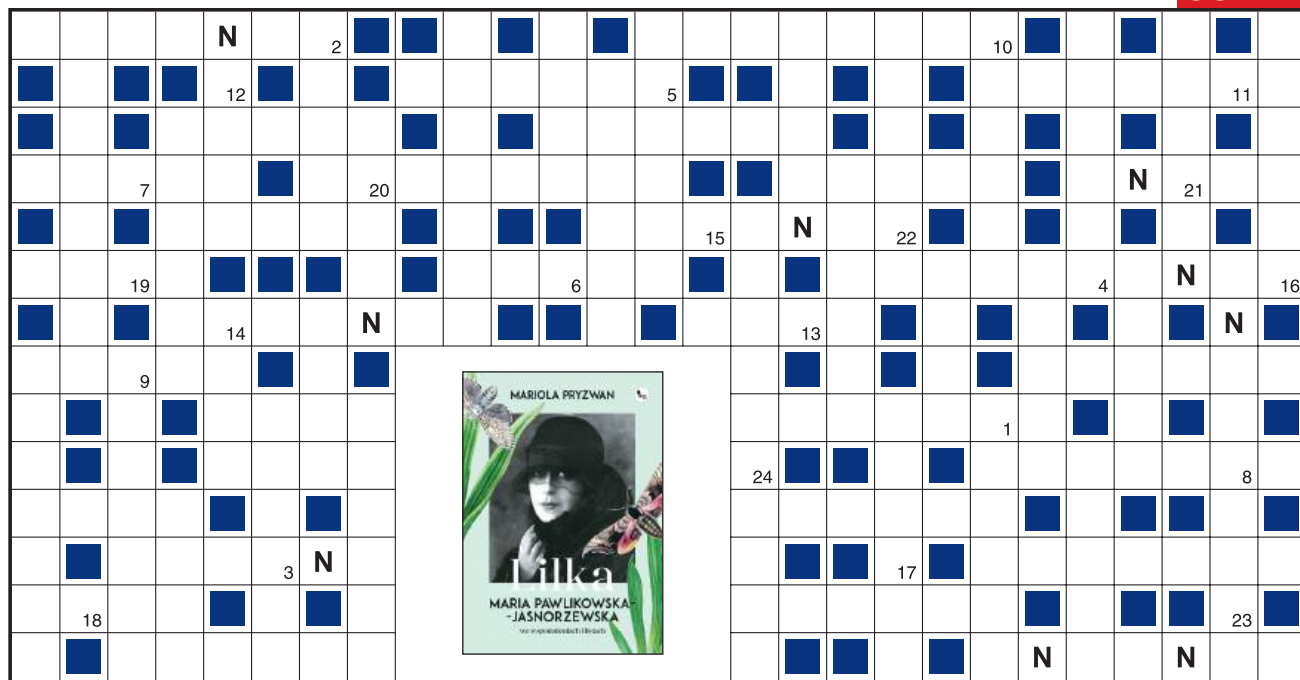
W chwili obecnej nasze najbardziej precyzyjne wyjaśnienia tego, dlaczego różne gatunki potrzebują odmiennych ilości snu, obejmują szereg czynników w rodzaju diety (wszystkożerność, roślinożerność, mięsożerność), równowagi między drapieżnikami i ofiarami w danym środowisku, obecności i charakteru sieci społecznych, tempa metabolizmu i złożoności

układu nerwowego. Moim zdaniem wynika z tego, że w trakcie ewolucji sen został ukształtowany przez wiele czynników i że jest próbą pogodzenia wymogów aktywnej walki o przetrwanie (np. polowania lub zdobywania pożywienia w możliwie najkrótszym czasie, minimalizowania wydatków energetycznych i ryzyka związanego z różnymi zagrożeniami), zaspokajania regeneracyjnych potrzeb organizmu (np. szybsze tempo metabolizmu wymaga większego „sprzątania” w czasie snu) i spełniania bardziej ogólnych wymogów wspólnoty, w której żyje dany organizm.

Tak czy inaczej, nawet najbardziej wyrafinowane równania nie potrafią przewidzieć skrajnych przypadków na mapie snu: gatunków, które śpią za długo (np. nietoperze) albo za krótko (żyrafy, którym wystarcza cztery-pięć godzin). Mam poczucie, że tych odlegających od normy gatunków nie należy traktować jako niewygodnych przypadków, ale jako jeden z możliwych kluczy do rozwiązania zagadki zapotrzebowania na sen. (...)

Fragmenty książki dr. Matthew Walkera *Dlaczego śpimy. Nauka o zdrowym śnie i jego mocy*, tłum. Jacek Konieczny, Marginesy, Warszawa 2025





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- zbrodnia w nim – pod wpływem wzburzenia
- nazywany salamandrą meksykańską
- ze spalonego teatru – kiepska
- najpracowiwszy działacz
- miał zaczarowaną lampę
- córka wielkiego księcia Giedymina
- czarno-biały ptak morski

- mięsista roślina lecznicza
- gliniane naczynie na wino, oliwę
- brak ruchów mięśni twarzy, jej maskowość
- imię Towlesa, autora „Dżentelmena w Moskwie”
- daleki przodek
- ma je akwedukt i kruczane

- prezydent RP z lat 1947-1952
- partacz
- przetykany złotą lub srebrną nitką
- mrowie z zimna lub z emocji
- właśnie wybrany na urząd
- koncepcja filozoficzna Wincentego Lutosławskiego
- ministra, cieni lub osobliwości
- gulgoczący samiec z koralami
- kontrola i organ kontrolujący
- imię Mohyły, hospodara mołdawskiego
- sztuka walki z Okinawy
- kto ma głowę na nim, ten mądry
- bawi na arenie
- księga z surami

- kolorowy grafit w oprawce
- kto jest pod nią, temu brakuje pieniędzy
- „...dzikiej róży w Ciemnych Smreczynach” Kasprowicza
- starcie dwóch drużyn sportowych
- pracowała w kopcu
- sztuczna – urządzenie do hemodializy
- żywy, kontrolny lub cudowny
- rozrzuć ziarno po polu
- polsko-czeska rzeka graniczna
- dogłada welnistego stada
- nazwisko obecnego prymasa
- dolna część rozpiętego płaszcza
- odpowiednik kopyt u krowy, łosia
- do śledzenia ruchu lotniczego
- zbrojny bunt przeciw władzy

- metalowa miniaturka auta
- poprawa fotografii
- wojskowe polecenie
- rabarbar
- odwzorowywanie przedmiotu na płaszczyźnie
- niemieckie wino musujące
- krasnal, gnom
- osoba niezwykle podobna do drugiej
- plantacja z „Przemienięto z wiatrem”
- spokrewniona z gryką zwyczajną
- droga, szlak komunikacyjny
- tłusty w chlewie
- odłóg
- ściana skalna lub załom w murze
- zaciśnięte w złości
- żona brata matki
- „Gry i... ludu polskiego” Ludwika Jerzego Kerna
- sąsiaduje z Gliwicami i Bytomiem
- plama po zalaniu
- cyfra jak nic

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1215”. Do rozlosowania książki „Lilka” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 kwietnia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1212” z nr. 11: Z kamienia oleju nie wytoczysz.
Nagrody otrzymują: Tyberiusz Gajda z Sulęcinka, Grzegorz Józwiak z Legnicy, Ewa Nasadowska z Golubia-Dobrzynia.

Zawód wysokiego ryzyka

Wiceminister Andrzej Szejna został wystany na urlop i nie wiadomo, czy z niego wróci. Pisaliśmy o tym tydzień temu. Najpierw w MSZ była stuprocentowa pewność, że po informacjach o problemach z rozliczeniem kilometrówek, ale też z chorobą alkoholową, skoro obydwie sprawy są dla Szejny dyskwalifikujące, Sikorski pozbędzie się go z ministerstwa. Ale minęło kilka dni i nic. Wygrała wtedy opinia, że to świadome działanie – Szejna w każdej wypowiedzi chwalił swojego ministra, więc po co ten miałby go z MSZ wypychać? I wydawało się, że przejdzie to w stan przeczekania, ale zareagował premier.

Nawiasem mówiąc, fakt, że sprawa choroby alkoholowej raczej w MSZ nie wzbudziła wielkiego oburzenia, ma swoje uzasadnienie. W tym resorcie dostęp do alkoholu zawsze był łatwy. Na placówkach – sklepy wolnocłowe oferowały trunki po atrakcyjnych cenach. W centrali – każdy ambasador, gdy przyjeżdżał, wręczał dyrektorom, z którymi współpracował, butelkę miejscowego specjału. Do tego dochodzą spotkania, przyjęcia, degustacje... Okazji bywa aż nadto. Wątroba musi się poświęcać dla ojczyzny.

To jest zresztą specyfika tego zawodu. Na przykład Niemcy wyliczyli, że problemy alkoholowe dotyczą 20% ich dyplomatów. Czy polscy są gorsi?

Opowiadane są więc historie o ambasadorach alkoholikach, którzy potrafili zamykać się w gabinecie na cały dzień. Gorzej, gdy takiemu „nieuważnemu” dyplomacie przyszło wybrać się poza mury ambasady bądź konsulatu...

W 2010 r. ambasador RP w Serbii Andrzej Jasionowski miał wypadek na autostradzie. Jechał subaru na dyplomatycznych numerach z prędkością ponad 100 km/godz., stracił panowanie nad pojazdem,

zjechał na przeciwny pas ruchu i zderzył się kolejno z trzema samochodami. Serbski portal Blick podał, że „według naocznych świadków ambasador był pod widocznym wpływem alkoholu”. On sam później tłumaczył, że był trzeźwy, ale w wyniku uderzenia stracił przytomność.

Wątpliwości nie było w Vancouver. Tam polski konsul generalny Tomasz Lis, jadąc czarnym volvo i będąc pod wpływem alkoholu, uderzył w samochód straży pożarnej. I pojechał dalej. Ale zbyt daleko nie odjechał, może kilkaset metrów, bo utknął w ulicznym korku. Strażacy go dogonili i zatrzymali. Konsul dobrowolnie oddał się w ręce policji. Tłumaczył, iż wypił, ponieważ był zasmucony informacją, że policjanci, którzy rok temu porazili paralizatorem Polaka Roberta Dziekańskiego, nie odpowiedzą za jego śmierć.

Inaczej tłumaczył się Witold Misiak, polski dyplomata w Mińsku, gdy Białorusini nagrali go pijanego w restauracji, a film wyemitowali najpierw w internecie, a potem w telewizji. Misiak – odpowiedzialny w ambasadzie za bezpieczeństwo – mówił, że do kieliszka coś mu dosypano.

Ale i tak najpiękniejsze jest tłumaczenie pracownika naszego konsulatu w Kaliningradzie, którego zatrzymano (w Polsce na szczęście!), kiedy pijany prowadził samochód. Pytany, dlaczego to zrobił, odparł: „Życie jest życiem”.

Choć ta refleksja mocno konkuruje z toastem, który miał wznieść w roku 2012 r. Radosław Sikorski na spotkaniu ambasadorów w Warszawie (media o tym pisały): „A kto nie pije...” Na resztę słów litościwie spuśćmy zasłonę milczenia. To podobno miał być dowcip. Nie wyszedł.

Attaché

Kostium Pameli Anderson z serialu „Słoneczny patrol” na wystawie w The Design Museum w Londynie, poświęconej strojom i akcesoriom pływackim. 24 marca 2025 r.



PENETRACJE



ANGORA

JACEK DUBOIS,
ADWOKAT

Prokuratura robiła wszystko, by doprowadzić do tego, aby Jarosław Kaczyński nie poniósł żadnej odpowiedzialności z tytułu swoich działań. Do sprawy została wytypowana pani prokurator, która tę sprawę zaczęła prowadzić niezwykle stronniczo. Po przesłuchaniach pana Birgfellnera wiadomo było, jaką on dysponuje wiedzą, dlatego szybko – w tajnym lokalu Ministerstwa Sprawiedliwości – doszło do spotkania Zbigniewa Ziobry z Jarosławem Kaczyńskim. Wytypowali to dziennikarze. Zauważyli Jarosława Kaczyńskiego wchodzącego do pomieszczeń ministerstwa. Pani prokurator robiła wszystko, by tej sprawie ukreślić łeb, podjęła więc działania mające na celu zastraszenie pana Birgfellnera i zniechęcenie go do kontynuowania postępowania. Przesłuchania trwały niezwykle długo, łącznie ponad 60 godzin. Prokuratorka wzywała Austriaka do stawienia się w terminach dla niego niedogodnych i nakładała finansowe kary, które w wyniku złożonych zażaleń sąd oczywiście uchylał. Nie było najmniejszych wątpliwości, że stosowanie kar miało wywierać presję na Austriaka.



MONDE
diplomatie

STEFAN ZGLICZYŃSKI,
DYREKTOR PUBLIKACJI

Polska jest takim dziwnym krajem, w którym trudno zajmować się historią Holokaustu i antysemityzmem, a jednocześnie krytykować Izrael. Tak nie dzieje się ani w USA, ani w samym Izraelu, czego dowodem są wypowiedzi uznanych historyków Holokaustu, wydawanych również w Polsce. Raz Segal, izraelski profesor studiów nad Holokaustem i ludobójstwem na Uniwersytecie Stockton w New Jersey, pisze wprost o Gazie, że „jest książkowym przykładem ludobójstwa”. (...) W naszym kraju badaczy Zagłady obowiązuje moralny nakaz bezwzględnego wspierania Izraela i milczenia w sprawie cierpień Palestyńczyków. (...) Gaza już dziś wygląda jak Aleppo, Mariupol albo warszawskie getto w 1943 r., a izraelskie barbarzyństwo ludobójstwem nazwały w swoich szczegółowych raportach m.in. Amnesty International i Lekarze bez Granic (których kilku pracowników zginęło od izraelskiego ostrzału).



na szczybie

PROF. ARKADIUSZ NOWAK,
DYREKTOR OGRODU BOTANICZNEGO PAN W POWSINIE

Mamy nawet tzw. Bieszczady oraz Tatry. W części wschodniej ogrodu jest specjalnie usypana skarpa z roślinnością polonin, a na zachód od nich – czyli tak jak jest w rzeczywistości – mamy całą połąć roślin tatrzańskich, otoczonych kosodrzewiną i limbami. W naszych „Tatrach Wysokich” mamy też źródłko wybijające spod wierchółka, które bystrym potokiem spływa w dół. Mija po drodze typowe tatrzańskie zbiorowiska roślin, z gęsiówką alpejską czy warzuchą tatrzańską. (...) W banku nasion mamy nasiona ok. 100 cennych gatunków endemitów lub subendemitów, bo nie wszystkie są strictly polskie. Przechowujemy je w oparach ciekłego azotu, czyli w temperaturze poniżej minus 170 stopni. Gdyby więc coś w przyszłości stało się z naturalnymi populacjami, to jesteśmy w stanie odtworzyć każdy z tych gatunków.



VIVA!

ANDA ROTTENBERG,
KURATOR SZTUKI

Miałam taki problem, że lubiłam być sama i zmierzałam do samostanowienia, a jednocześnie chciałam być w związku. No i coś musiało wygrać. Ja chciałam być w związku i byłam w kilku. Próbowałam zbudować dom jak typowa kobieta. Tylko mi się nie udawało. Próbowałam oddawać pole mężczyźnie, ale wcześniej czy później wychodziło, że to ja jestem samcem alfa. Upatrywałam sobie mężczyznę, on nie wiedział, że jest na celowniku. Wszystko odbywało się w mojej głowie, ale pomagało mi to wyjść z związku, w którym byłam.

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

M O D O Ć T S Ó Z I M I W K U

A S Z Ź C I E O Z E K A I E

S A W O S U J W W E Ł O Z I

MŁDOŚĆ TO SÓŁ ZIEMI W OKU, NASZE ŻYCIE TO CZEKANIE, SAM WIOSŁU W SWĘJ ŁOŻY



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl
listy@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłula,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Gluska, Rafał Pyszyn
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Aby język giętki...

ANDRZEJ MLECZKO O SOBIE

Jestem chorobliwie pracującym Kozirozcem, który rysować musi, inaczej się uduś.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

O DARIUSZU WIECZORKU

Na informowaniu przełożonego – w osobie Czarzastego – zrobił karierę...

KUBA WOJEWÓDZKI

O ANDRZEJU DUDZIE

W Kanale Zero sparodiował Zenka Martyniuka. Szlachetna chwila przerwy od parodiowania urzędu.

ARTUR BALAZS O PIŚ

Jego członków łączy przede wszystkim strach przed rozliczeniami za skalę nadużyć, korupcji, zwykłego złodziejstwa.

PŁK KRZYSZTOF PRZEPÍÓRKA

O MARIUSZU BŁASZCZAKU

To jest zdrada tajemnicy państwowej, a za zdradę się siedi.

KATARZYNA KUBACKA-SEWERYN

O PRAWDZIWEJ MIŁOŚCI

Wielką wartością jest to, że można bez bólu i bez poczucia, że traci się częstą siebie, pójść na kompromis.

BARTŁÓMIEJ TOPA O BODŹCACH

Wykonuję proste ruchy: od 30 lat nie mam telewizora. Nic w domu z ekranu nie miga i nie gada.

GRAŻYNA WOLSZCZAK O OPTYMIZMIE

Łatwiej jest żyć, gdy nie traktuje się siebie zbyt poważnie.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Duchy przeszłości



Poza czasem

Julia Kuźniar Niczym rzeka

To pierwsza indywidualna wystawa Julii Kuźniar, absolwentki Wydziału Malarstwa krakowskiej ASP. W 2024 r. obroniła pracę dyplomową wykonaną pod kierunkiem dr. Artura Kapturskiego. Ukończyła także studia na Wydziale Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki. Zafascynowana przyrodą i zaznajomiona ze sztuką dawną, tworzy obrazy o zagadkowej symbolice, często intuicyjne, wyróżniające się tajemniczym nastrojem.

Poznawalny zmysłowo świat stapia się w nich ze wspomnieniami, wyobrażeniami przeszłości, widzianymi wcześniej przedstawieniami.

Galeria Artemis
Kraków, ul. Poselska 15
do 5 kwietnia



W mojej głowie walczą wściekłe psy



Otchłań ciszy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OD PIĘKNOŚCI Z OKŁADEK „VOGUE'A”
DO IKONY EUROPEJSKIEGO POP-ARTU

N

BIOGRAFIA

Niki de Saint Phalle

I

K

REŻYSERIA

Céline Scallette

I

W ROLACH GŁÓWNYCH

Charlotte Le Bon John Robinson Damien Bonnard

W KINACH OD 4 KWIETNIA



FESTIVAL DE CANNES
SÉLECTION OFFICIELLE 2024
UN CERTAIN REGARD

TEATR XL ZAPRASZA NA SPEKTAKLE W KWIETNIU

4, 5 kwietnia

piątek, sobota

godz. 20:00

FERAJNA. ZUPEŁNIE INNY ŚWIAT

Tragikomedia warszawska na faktach (16+)

Autor i reżyseria: Tomasz Ostach

Występują: Weronika Dzierżyńska, Anna Jastrzębska, Filip Gołąb, Jakub Mikulak, Mateusz Wiśniewski

11, 12 kwietnia

piątek, sobota

godz. 20:00

PEŁNIA W SKORPIONIE

Astro-komedia kryminalna

Autor i reżyseria: Andre de la Cruz

Występują: Diana Karamon, Katarzyna Hodana, Grzegorz Jarek

24, 26 kwietnia

czwartek, sobota

godz. 20:00

MIŁOŚĆ SEKS I POWROTY

Scena z forum, spektakl z udziałem widowni (18+)

Autor i reżyseria: Diana Karamon

Występują: Katarzyna Hodana, Julia Buwała, Grzegorz Jarek, Tomasz Ostach

25 kwietnia

piątek

godz. 20:00

BIZNES OD KUCHNI

Tragikomedia, zawiera elementy interakcji (18+)

Autor i reżyseria: Diana Karamon

Występują: Julia Bochenek, Miłosz Broniszewski, Maciej Adam Łabaz, Tomasz Ostach



Teatr imienia
Artystów
Zaangażowanych

Rezerwacje:
+48 600 800 753
rezerwacje.teatrxi@teatrxi.com

Bilety do zakupu w kasie teatru
oraz na stronie internetowej
Teatrxi.com

